

PORUSZAJĄCY WYWIAD Z NAUKOWCEM

– Szczepienie dzieci na COVID-19
to skandal – mówi doktor Witczak



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 16/523 17–23 KWIETNIA 2023
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Gdzie się podziała
stara polska szkoła
realizmu politycznego?



NAUKA I SZTUKA,
CZYLI MALARSKIE
INSPIRACJE
MIKOŁAJA
KOPERNIKA

Kongres Pamięci Narodowej
– dodatek specjalny IPN

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 16>
Nakład: 52 000 egzemplarzy

JAK NAS KORUMPUJE BRUKSELA

Radni Zamościa już nie bronią
arcybiskupa Jędraszewskiego.
Kolejne samorządy ulegają
szantażowi UE



Narodowy Bank Polski informuje:



NBP otrzymał nagrodę potwierdzającą skuteczność dbania o wartość polskiej waluty



NARODOWY
BANK POLSKI



National Bank
of Ukraine

CENTRAL
BANKING

Profesor Adam Glapiński, Prezes NBP, tak skomentował przyznania nagrody:

„W imieniu Narodowego Banku Polskiego, którym mam zaszczyt kierować, pragnę wyrazić radość, że laureatami najnowszej edycji nagrody Central Banking's Currency Manager Award zostały dwa, ściśle ze sobą współpracujące banki centralne – Narodowy Bank Polski oraz Narodowy Bank Ukrainy. Jest to nagroda potwierdzająca skuteczność dbania o wartość polskiej waluty i zarządzanie pieniądzem przez Narodowy Bank Polski.

Chociaż współpraca między naszymi bankami trwa od dziesięcioleci, nabrała ona szczególnego charakteru i znaczenia w obliczu bestialskiej napaści Rosji na Ukrainę, która wywołała m.in. wysoką inflację, zakłócenia przepływów finansowych, a także napływ ogromnej liczby

uchodźców z Ukrainy, spośród których około 1,5 mln wciąż znajduje schronienie w Polsce.

W reakcji na kryzys wywołany rosyjską agresją Narodowy Bank Polski podjął szereg działań pomocowych mających na celu wsparcie obywateli Ukrainy poprzez ułatwienie bankowi centralnemu Ukrainy utrzymanie ciągłości funkcjonowania systemu finansowego, takich jak: linia swapowa na parze USD/UAH do wysokości 1 mld USD, pomoc rzeczowa, włączenie kwestii poparcia dla Ukrainy do agendy prac międzynarodowych instytucji czy wreszcie program wymiany hrywien na złote, skierowany do obywateli ukraińskich uciekających przed wojną. Dzięki tej ostatniej inicjatywie w okresie od 25 marca do 9 września 2022 r. przeszło 100 tys. uchodźców z Ukrainy

wymieniło hrywiny na złote, uzyskując środki na utrzymanie i przeżycie w tych najtrudniejszych dla ich kraju chwilach.

Ta bezprecedensowa operacja pomocowa stała się wzorem do naśladowania dla innych krajów europejskich.

Cieszymy się, że jury wyraziło uznanie dla inicjatywy Narodowego Banku Polskiego, przyznając nagrodę Central Banking's Currency Manager Award – działaliśmy w duchu solidarności z naszym sąsiadem i troski o stabilność makroekonomiczną w regionie. Nie ustając w podziwie dla naszych ukraińskich przyjaciół za ich bohaterską postawę w obliczu wojny oraz pozostając w gotowości do dalszej pomocy, Narodowy Bank Polski wyczekuje czasów pokoju, który nastąpi po – mamy nadzieję – rychłym zwycięstwie Ukrainy”.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Premier ostrzega Chiny

Wizyta premiera Mateusza Morawieckiego w USA i jego spotkanie z wiceprezydent Kamalą Harris przez wielu zostało w Polsce uznane za sukces. Czy słusznie? Na pewno tak uważa sam szef polskiego rządu, choć to akurat zaskoczeniem nie jest. Napisał on: „Mówi się, że w polityce nie ma przyjaźni, a są jedynie interesy – ale myślę, że pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską jest coś więcej niż tylko interesy. Warszawa i Waszyngton to dwa bieguny cywilizacji zachodniej”. Stwierdzenie niezwykle śmiałe, biorąc pod uwagę, że drugi biegun cywilizacji zachodniej według premiera reprezentuje jeden z najbardziej „przebudzonych” i radykalnych polityków amerykańskich. Lewacki ekstremizm Kamali Harris sprawił, że nikt nie wspomina o niej jako o potencjalnej kandydatce na urząd prezydenta USA po ewentualnej rezygnacji jej pryncypała, Joe Bidena.

Jednak ważniejsze były inne stwierdzenia polskiego polityka na temat polityki Chin, odnoszące się do wojny na Ukrainie. Otóż Mateusz Morawiecki najpierw uznał, że Chiny „co najmniej flirtują z Rosją”, a następnie ogłosił, że „dostawy broni z Chin do Rosji byłyby przekroczeniem Rubikonu”. Czytałem kilka razy te słowa, zawsze z tym samym uczuciem niepewności. Co to znaczy, że Chiny „przekroczą Rubikon”, sprzedając Rosji broń? Czy jeśli Pekin zdecyduje się na taką sprzedaż (swoją drogą wielu specjalistów twierdzi, że Chiny potajemnie dostarczają broń rosyjskiemu dyktatorowi), to premier Morawiecki wypowie im wojnę? Nie jestem w stanie pojąć podobnej retoryki. Skoro, jak przyznał sam premier, Chiny są supermocarstwem, to czy jest roztropne publiczne grożenie im? Chyba że w oczach premiera Polska też już jest supermocar-

stwem, bo przecież obiecuje, że będzie miała najsilniejszą armię w Europie.

Jak większość polskich polityków premier stwierdził, że „Putin nie zatrzyma się na Ukrainie”, co oznacza, że „Rosję trzeba powstrzymać”. Nie wspomniał jednak, skąd bierze się ta pewność; podobnie przeszedł do porządku dziennego nad kosztami powstrzymywania Rosji. Zamiast tego ogłosił, że Polska jest liderem nowej Europy (która pamięta rosyjski komunizm). Podobnie jak w przypadku ostrzeżenia Chin pojawia się pytanie, czy polski premier opisuje sytuację rzeczywistą czy wymarzoną. Czy Polska faktycznie jest liderem Europy Środkowo-Wschodniej, a właściwie całej? Wydaje się, że nie.

Według „Financial Times”: „USA, Niemcy i Węgry opierają się wysiłkom państw takich jak Polska i kraje bałtyckie, aby zaofiarować Ukrainie głębsze więzi z NATO i jasne deklaracje poparcia przyszłego członkostwa”. Chodzi o lipcowy szczyt NATO w Wilnie. To zaskakujące doniesienia, bo okazuje się, że zwolennikiem udzielania gwarancji bezpieczeństwa Ukrainie nie są nawet Stany Zjednoczone. Może to wynikać dodatkowo z bardzo trzeźwego niż w Warszawie oglądu sytuacji militarnej na Ukrainie. Z ujawnionych dokumentów Pentagonu wynika, że ukraińska armia znajduje się w stanie znacznie gorszym, niż można to usłyszeć w Polsce. O ile USA nie okazują publicznie swojego sceptycyzmu, o tyle w słowach nie przebiera inne państwo nowej Europy, podobnie jak Polska pamiętające rosyjski komunizm, czyli Węgry. – Mówienie o przystąpieniu Ukrainy do NATO jest całkowicie nierealne – stwierdził kilka dni temu minister spraw zagranicznych Węgier Péter Szijjártó. Jednocześnie Węgrzy próbowali

zablokować zaproszenie na szczyt NATO przedstawicieli Ukrainy.

Nie da się też ukryć, że podobnie krytyczne stanowisko wobec militarnej pomocy Ukrainie zajmują prezydenci Chorwacji czy Bułgarii. Ten ostatni, Rumen Radew, nie tylko sprzeciwia się rozmowom o członkostwie Ukrainy w NATO, lecz także przed kilkoma tygodniami wezwał rząd w Sofii do zaprzestania wysyłania sprzętu wojskowego na Ukrainę i zmuszenia Kijowa do rozpoczęcia rozmów pokojowych z Moskwą. Radew powiedział, że „należy wznowić wszelkie wysiłki dyplomatyczne, by szukać pokojowego rozwiązania konfliktu”, oraz dodał, iż Rosja „wielokrotnie deklarowała już, że jest gotowa do rozpoczęcia negocjacji i rozmów pokojowych”. Trzeba też w tym kontekście wspomnieć o głośnym wywiadzie prezydenta Emanuela Macrona dla „Politico”, którego udzielił po powrocie z Chin. Jak wiadomo, stwierdził w nim, że Europa musi się uniezależnić od USA. W dokumencie, który prezydent Francji podpisał w Pekinie, nie znalazły się zresztą żadne konkrety na temat agresji rosyjskiej. Więcej – nie pojawiło się tam nawet słowo „Rosja”!

Wszystko to razem pokazuje, że wbrew deklaracjom premiera Polska staje się coraz bardziej osamotniona. Trudno mówić, że jest liderem nowej Europy, skoro po drugiej stronie są nie tylko Węgry, lecz także prezydenci Chorwacji czy Bułgarii. Jeszcze trudniej nie zauważyć stanowiska Niemiec czy Francji – ta ostatnia otwarcie krytykuje Waszyngton, te pierwsze zachowują postawę wyczekującą. Brak entuzjazmu do wojny z Rosją – a mówię to wyjątkowo eufemistycznie – wykazuje od samego początku Turcja.

Naprawdę nie mogę zrozumieć entuzjazmu polskiego premiera. ©



TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PIENIĄDZE ZA ULEGŁOŚĆ
Bruksela naciska na samorządy

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TRZECIE MIEJSCE
Konfederacja rośnie w siłę

22 PIOTR SEMKA
LEWICA NA BOCZNYM TORZE

24 ZUZANNA DĄBROWSKA
KARA MA ODSTRASZAĆ

26 ROZMOWA
Z DR. N. MED. PIOTREM WITCZAKIEM
**SZCZEPNIENIE DZIECI NA COVID-19
TO SKANDAL**

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
MAŁE PIWO CZY WIELKI PROBLEM

KULTURA

34 JERZY MIZIOŁEK
KOPERNIK I UNIWERSUM SZTUKI
Nauka i sztuka

38 PIOTR GOCIEK
ŻYWIOT MALCOLMA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

47
**KTO CHCE
NARZUCIĆ POLSCE
„TĘCZOWĄ AGENDĘ”
I JAK SKUTECZNIE SIĘ
PRZED TYM BRONIĆ?**



OPINIE

64 ROZMOWA
Z JANEM SADKIEWICZEM
**GDZIE SIĘ PODZIAŁA
STARA POLSKA SZKOŁA REALIZMU
POLITYCZNEGO?**
Żaden naród nie jest wolny od romantyzmu

69 MARIUSZ DZIERŻAWSKI
**ZNISZCZYĆ WOJTYŁĘ.
POWODY ATAKU**

70 ROZMOWA Z MARKIEM MORANO
JAK WYŁĄCZYĆ WIELKI RESET

HISTORIA

72 SEBASTIAN LIGARSKI
IŚĆ PO SŁONECZNEJ STRONIE
Niezależne obchody powstania w getcie warszawskim

DODATEK SPECJALNY IPN



75
KONGRES PAMIĘCI NARODOWEJ

ŚWIAT

86 MACIEJ PIECZYŃSKI
KŁUB WŚCIEKŁYCH ROSJAN
Kto jest w Rosji gorszy od Putina

88 WITOLD REPETOWICZ
**PLAN OSTATECZNEJ
ZAGŁADY ORMIAN**

91 TOMASZ ROWIŃSKI
**BENEDYKT XVI
– NONKONFORMISTA**

EKONOMIA

94 JAKUB WOZIŃSKI
SEKRETY CENY GAZU

STYL

98 JOANNA BOJAŃCZYK
**BALENCIAGA. STUDIUM WZLOTU,
UPADKU I ODNOWY**
Powrót do korzeni?

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Brusela),
Tomasz Cukierlik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (dobrać zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **M. Lasyk/Reporter**, **Adobe Stock**; oprac. graf. **Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż): **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Czy nasz rząd chce wejść w tę wojnę?”, „DRz” nr 11/2023

Czytając wywiad z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, miałam przed oczyma członków mojej adopcyjnej rodziny, którzy niestety przekazali mi swoją straszną traumę wojenną. Co trzecia osoba cywilna nie przeżyła: wywózka, więzienia, obozy, rozstrzelania czy zarzabiania.

To nie tylko Wołyń, lecz także Galicja Wschodnia. Już we wrześniu nasi bliscy, leśniczy Wiktor Bobowscy z ciężarną żoną Ireną, posłuchali usilnej namowy sąsiadów Hucułów i uciekli na Węgry. Państwo Bobowscy to rodzice Antoniego (1944–2010), skazanego na pięć lat więzienia działacza Solidarności, członka Prezydium Regionu Podbeskidzie.

Młodzi rezerwiści na Kresach wstępowali do AK i próbowali ratować, kogo tylko się dało, nie tylko przed hitlerowcami. Byli tragicznie osamotnieni, nie było „drogiego wodza”, choć swój „życia los rzucali na stos”.

Tatuś w listopadzie 1943 r. objął Komendę Inspektoratu Stanisławów. Wcześniej pełnił obowiązki komendanta samodzielnego obwodu Stanisławów – miasto. Chciał pomścić ojca, teścia i siostrę.

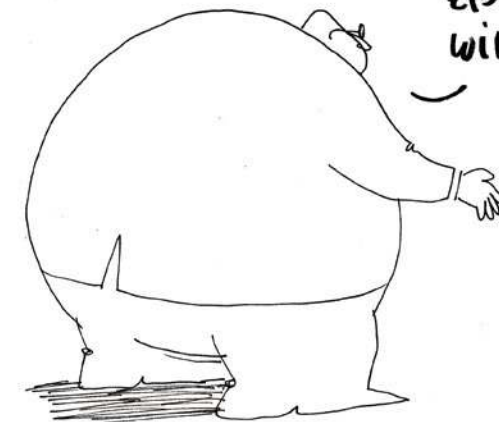
Wolność Ukrainy ma bardzo wysoką cenę, bo okupiona jest krwią tysięcy Polaków, Żydów i oczywiście Ukraińców. Pięknie, że poprawiamy historyczne błędy i udzielamy gościny, ale nie zapominajmy o tym, że cmentarze tworzą historię, a ich często nie ma. W Gorganach i Czarnohorze z licznych wspaniałych architektonicznie schronisk Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego został najwyżej zarys fundamentów.

Nam nie wolno mówić. To, co zawsze było niepoprawne politycznie, obecnie nazywa się obciachem, objawem zafacania i braku patriotyzmu. Babcia z córkami sześć tygodni koczowała u rodziny w dworcowej służbówce, czekając na transport bydłym wagonem do Polski na tzw. Ziemie Odzyskane, zakazano jej nawet podchodzić do własnego domu.

Przypominają się słowa postaci z „Wesela”, dotyczące rabacji 1846 r.: „Myśmy wszystko zapomnieli; mego dziadka piłą rżnęli...”

Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

No do brzoze... udało się sprowadzić
zboże z Ukrainy. Teraz trzeba ustalić,
kto jest temu
winien...



c e z e t y z e y) c t o r z



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ślązakowcom nie pykło

W końcu poznaliśmy wyniki spisu powszechnego. Najbardziej „gorącymi” danymi, na które czekali zwolennicy i przeciwnicy sporu o tożsamość Ślązaków, były dane o tym, ilu mieszkańców regionu uważa się za osobny naród śląski, a ilu uważa, że nie ma sprzeczności między polskością a tożsamością śląską. Ankieterzy GUS dali respondentom możliwość podania pierwszej, czyli głównej tożsamości, a także możliwość tożsamości drugiej, dodatkowej identyfikacji. Jakie uzyskano rezultaty? 359,9 tys. osób wybrało jako pierwszą tożsamość polskość, jednocześnie podając jako drugą tożsamość śląskość. Krótko mówiąc, nie widzą oni sprzeczności między polskością a śląskością. Jako jedyną tożsamość śląską podało znacznie mniej osób, bo tylko 231,8 tys. Porównajmy te wyniki z poprzednim spisem powszechnym z 2011 r. Wówczas tożsamość śląską jako pierwszą podało 418 tys. ludzi, a jako drugą, obok polskości – 391 tys. Oznacza to, że liczba osób uznających się

za Ślązaków jako przedstawicieli osobnego narodu, w opozycji do polskości, spadła o 186,2 tys. osób.

Ten mało korzystny dla siebie wynik zwolennicy autonomii natychmiast zaczęli na rozmaite sposoby przedstawiać jako sukces. Podkreślano, że spis wykazał, że łączna suma osób podających śląskość jako pierwszą lub drugą tożsamość wynosi 585,7 tys.

Ta metoda wrzucania do jednego worka tych uczestników sondażu, którzy zadeklarowali wyłącznie tożsamość śląską razem z tymi, którzy nie widzą rozbieżności między polskością a śląskością, to sprytny zabieg. I znów wiele warszawskich mediów nieorientujących się w śląskich niuansach „kupilo” ten chwyt propagandowy. Cała ta sprawa pokazuje, że ruch „regionalistów” pozbawiony oparcia w rządzącej wiele lat na Górnym Śląsku Platformie traci siłę oddziaływania. Mimo to politycy PO i Lewicy na Śląsku nadal podlizują się Ślązakowcom. Ale ten nadmuchiwany na siłę balon powoli traci powietrze.

Jeden z liderów RAŚ, Jerzy Gorzelik, niedawno znów zademon-

strował, że w niczym nie odchodzi od swojego ekstremizmu. Świadczy o tym reakcja Gorzelika na obietnicę Donalda Tuska uznania godki śląskiej za język regionalny w ciągu pierwszych stu dni hipotetycznych rządów Platformy po jesiennych wyborach. Gorzelik zaatakował złożenie przez Tuska wieńców pod pomnikiem powstań śląskich na Górze św. Anny koło Opola. „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek” – pisał działacz RAŚ. „Jednym język regionalny, drugim gloryfikacja przemocy i łamania prawa pod pomnikiem, który komuniści wzniesli polskiemu nacjonalizmowi”.

Jeśli ktoś z czytelników nie pojmuje sensu słów Gorzelika, to śpieszę wyjaśnić – owa „gloryfikacja przemocy i łamania prawa” to hołd dla wystąpienia śląskich powstańców przeciwko pruskiej władzy. PO nie da się wyleczyć ze swego czapkowania przed środowiskiem ślązakowskim. O wiele ważniejsze jest to, że ideologia odrębnego narodu śląskiego przestaje kusić swoją oryginalnością. Nerwowe reakcje autonomistów na wyniki spisu tylko to jeszcze wyjasnia. ©



INFLACJA W POLSCE WCIĄŻ WYSOKA

Inflacja w marcu 2023 r. wyniosła 16,1 proc. rok do roku – podała w piątek Główny Urząd Statystyczny. To nieco niższa wartość niż szybki szacunek, który wynosił 16,2 proc., ale dane mocno rozczarowały, bo część ekonomistów spodziewała się spadku poniżej 16 proc. To zaś oznacza, że inflacja wcale nie spada tak szybko, jak prognozował rząd. W stosunku do lutego ceny towarów i usług wzrosły aż o 1,1 proc. Najmocniej zdrożała żywność, wyraźnie wzrosły też ceny odzieży i obuwi. (jap) ©

dwaj panowie G

Znudzeni leniwą atmosferą życia politycznego w dniach po Wielkanocy obróciliśmy swój wzrok ku kulturze i sztuce. Na jednej z uczelni artystycznych niebawem mają się odbyć wybory władz tej szacownej akademii. I coraz głośniejszym wybrzmiewa postulat, by wprowadzić parytet orientacji seksualnych. I tu możecie być zaskoczeni. Nie chodzi o docenienie gejów i lesbijek. Wręcz przeciwnie. Uciskaną mniejszością czują się heteroseksualiści. Dość powiedzieć, że na dwóch rocznikach uczelni nie ma ani jednego mężczyzny, który interesowałby się płcią przeciwną. Sami geje.

Stan ten wywołuje niejaką frustrację wśród żeńskiej części braci, a właściwie siostr studentek. Jak powszechnie wiadomo, okres studiów to czas, w którym ludzie łączą się w pary celem osiągnięcia czegoś, co określone jest sukcesem reprodukcyjnym. A tu dupa błąda: płeć męska interesuje się wyłącznie płcią własną. Z tego powodu wśród studentek dochodzi już do prawdziwych aktów desperacji. Dwie z nich potajemnie postanowiły wstąpić w szeregi Wojsk Obrony Terytorialnej. I są absolutnie zachwycone. Wprawdzie nieźle dostają w kość, ale uwielbiają, z jakim spotykają się ze strony samców naładowanych testosteronem, łagodzi im wszelkie niedogodności służby.

Cala ta historia przypominała nam o innym wzmożeniu – na Nowogrodzkiej. Nie chodzi o parytety ani działania sztabu wyborczego, lecz o donosy. Jak zawsze w roku wyborczym ich liczba radykalnie się zwiększa. Bohaterami są zwykle lokalni konkurenci do miejsc na listach do Sejmu. No i taka refleksja: myśleliśmy, że z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę w tym roku najmodniejsze będą zarzuty o bycie ruską onucą. Nic z tego. Tak jak dawniej króluje oburzenie, że konkurent, zamiast spać z własną żoną, sypia z cudzym mężem.

Wielki Post za nami. No to czas na powrót do jedzenia. Nawet Włosi nie dają rady wyżyć tylko na pomidorach. A co dopiero chłodny Donald z północy. I tak bazarowy pomidorowy domokrążca musiał rozszerzyć dietę. Donald Pomidor teraz jest Małym Piekarczykiem,



FOT. ROBERT CARZINSKI

który krąży po Polsce, pytając, z czyjej maki zrobiony jest polski chleb. W domyśle: nie z polskiej, tylko ukraińskiej. Nie wiedzieliśmy, że z Donalda taki nacjonalista gospodarczy. A pamiętamy, jak mówił, że kapitał i towary nie mają narodowości.

Miejsce opróżnione na polskich bazarach przez Donalda Pomidora zajęli duet czerwonych paprykarzy. Posłowie lewicy Tomasz Trela i Krzysztof Gawkowski tropią bowiem paprykową drożynę równie zacięcie, jak Donald tropił drożynę pomidorową. Napisali byśmy: „życie nie znosi próżni”, ale próba wypełnienia próżni nawet przez dwie wspólnie działające próżnie nie czyni wielkiej różnicy.

Szczerze mówiąc, wolelibyśmy, żeby do tropienia papryki zabrał się inny duet: kochany poseł Szczerba i kochany poseł Joński. Dlaczego? Z lenistwa. Bo widzicie, jak Trela i Gawkowski coś gaworzą, to trzeba sprawdzić, czy aby nie mają racji. A to zajmuje cenny czas. A w przypadku duetu Joński-Szczerbski nic nie trzeba sprawdzać.

Zresztą Panowie G. postanowili raz na zawsze przeciąć dyskusje na temat cen papryki. I ogłosić, że drożyna sięgnęła już 100 zł. Nie za kilogram – za sztukę. Otóż umówiliśmy się, że właśnie po tyle będziemy paprykę od siebie nawzajem kupować. Kto da więcej?

Wracając do miejsc opróżnionych lub nie przez chłodnego Donalda, wiecie zapewne, że wielu ludzi PeŁo pragnie, by opróżnił on fotel szefa partii. Ale Donald nie chce. W dodatku Rafcio Trzaskowski vel Czajkowski też nie chce wypełniać tej próżni. Stąd pomysł trzaskowików, by dokonać reaktywacji trupa. To znaczy tchnąć nowe życie w Koalicję Łobywatełską. Bo ona mogłaby mieć innego lidera niż PeŁo. Na przykład Rafcia. W ten sposób bez usuwania Donalda dzielny Rafcio zostałby OberDonaldem. W dodatku pełniąc funkcję, która jest czysto tytułarna. A takie właśnie Rafcie lubią najbardziej.

Tymczasem opatrność kontynuuje pomoc dla PiS, prowadząc polityków i ekspertów Eine Totalopposition do mediów oraz szeroko otwierając im usta. Trudno nie zwrócić uwagi na występ ekonomisty Grabowskiego Bogusława, który ogłosił, że aby wygrać wybory, „politycy muszą się mijać z prawdą”. Od dawna obserwujemy polityków, zwłaszcza Eine Totalopposition, więc chcielibyśmy dopowiedzieć: jedni muszą, inni po prostu chcą.

Wypowiedź Grabowskiego zapisujemy w historii jako „Paradoks Grabowskiego”. Zastąpi ona znany wcześniej Paradoks Epimenidesa. Ów kreteński filozof i poeta zasłynął zdaniem: „Wszyscy Kreteńczycy są kłamcami”. Jeśli mówił prawdę, to jednocześnie kłamał, gdyż Epimenides sam był Kreteńczykiem. I tak dalej. Jeśli więc Grabowski mówi, że politycy muszą kłamać, by pokonać PiS, to sam, jako polityk, kłamie. I tak dalej.

Tymczasem w „Rzepie”, naczelnym organie Grzegorza Hajdabombera, zadebiutował nowy autor. Młody i obiecujący. Nazywa się Jacek Kurski. Były szef TVP występuje jako przedstawiciel Polski w Radzie Dyrektorów Banku Światowego i pisze o gospodarce. Wiadomość została podana w rozmaitych mediach pod hasłem: „Kurski felietonistą Rzeczypospolitej”. Wiemy, że zrozumienie, czym charakteryzuje się felieton, przekracza możliwości niektórych uczniów szkół średniej. Ale dlaczego ta niemoc dotknęła także szerokie rzesze starszych kolegów? ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Macron i podkowa

Za dawnych czasów opowiadano dziatkom umoralniającą bajkę o leniwym kowalu, który niedbale przybił podkowę. Przez to podkowa odpadła, przez to koń się przewrócił, przez to załamała się szarża i przegrano bitwę (skracam). I tak oto z powodu niedbałości i nieobowiązkowości jednego kowala upadło królestwo. Współczesność ubrała tę samą opowieść w język „matematyki chaosu” i powiedzenie, że trzepot motyla nad Amazonką może wywołać burzę w Europie.

W każdej wersji kojarzy mi się to ze spektakularnym wysadzeniem w powietrze relacji Unii Europejskiej z Ameryką prezydenta Macrona, postulatem „strategicznej autonomii” UE wobec

konfliktu amerykańsko-chińskiego. W sytuacji, gdy oba te państwa toczą „proxy war” za pośrednictwem Rosji i Ukrainy, a wielu wieszczy rychłe starcie bezpośrednio o kontrolujący większość światowej produkcji półprzewodników Tajwan, deklaracja ta jest spektakularnym wypowiedzeniem lojalności wobec sojusznika, od którego, prawdę mówiąc, jest współczesna Europa na różne sposoby uzależniona. Oczywiście być może Macronowi roi się, jak kiedyś u nas Rydzowi i Beckowi, że UE jest równorzędnym z USA i Chinami mocarstwem i może „siedzieć na dwóch stołkach”, ale dla ludzi poważnych oczywiste jest, że jeśli Francja – i w ogóle UE – nie będzie klientem USA, to będzie klientem

Chin. Reakcja Ameryki jest więc oczywista.

Ale co to ma wspólnego z podkową, względnie motylem? Myślę, że Macron nie odważyłby się na te słowa, gdyby sprawa zarzutów wobec Trumpa nie przekonała go, że USA osuwa się w głęboki wewnętrzny konflikt i tym samym polityczną niemoc – zupełnie tak samo, jak Putina popchnęło do wojny paniczne wycofanie się Ameryki z Afganistanu. Gdyby przed laty Donald Trump wiedział, jaki to łańcuch wydarzeń uruchomi i jak odcisnie się hm... pofolgowanie sobie na geopolitycznych sojuszach, może by mu ręką drgnęła, zanim zadzwonił po panią do towarzystwa. Ale widocznie nie opowiedziano mu w dzieciństwie stosownej bajki... ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak rośnie potęga

Wielki Elektor był pradiadkiem Fryderyka Wielkiego. Wykorzystując potop szwedzki, uwolnił się spod suwerenności Rzeczypospolitej, a jego syn związał się jako „junior partner” z Habsburgami i dzięki temu uzyskał koronę królewską, ostrożnie przyjmując tytuł „króla w Prusach”. Wnuk Wielkiego Elektora, Fryderyk Wilhelm I, stworzył armię, która przetrwała dwa wieki, choć sam prowadził politykę pokojową. Jego jedynym podbojem było odebranie Szwedom Pomorza Szczecińskiego. Prawnuk Wielkiego Elektora – Fryderyk Wielki – w serii wojen uczynił z Prus mocarstwo europejskie, choć były momenty,

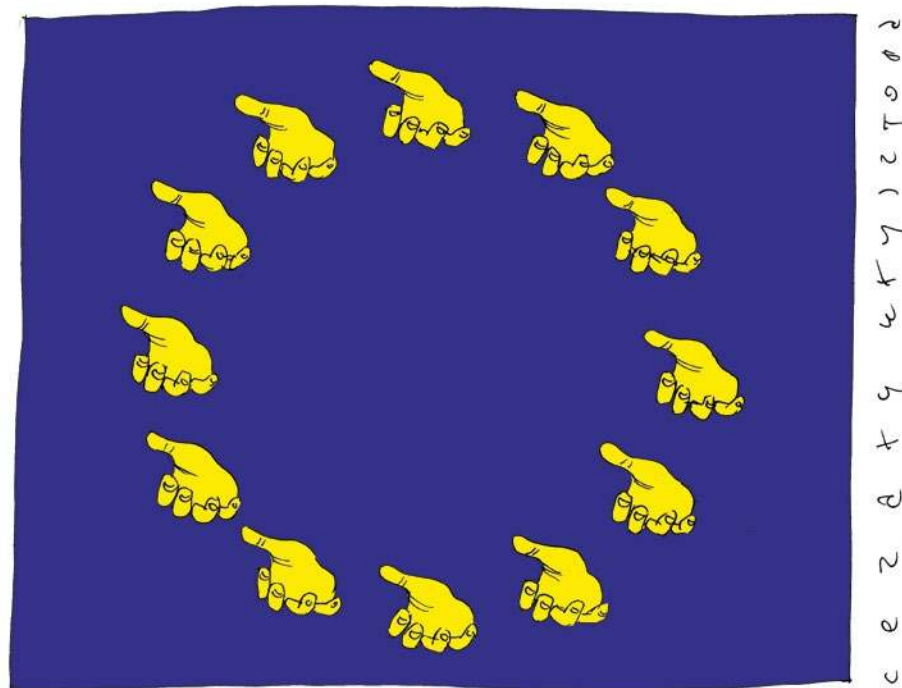
gdy jego państwo stało na krawędzi rozbioru (co nie byłoby niczym dziwnym w wypadku tak hybrydowego tworu).

Wielkość państwa buduje się przez pokolenia, ostrożnie wykorzystując nadarżające się, a czasem przygotowane, koniunktury, nie poganiając jednak historii. Sukcesy trzeba utrzymywać, w dobrej polityce nigdy nie są zachętą do łapczywości.

Uwielbiamy ideę jagiellońską i tradycję Jagiellonów. Ich prawdziwą ideą była polityka dynastyczna. Kojarzoną z nimi tolerancję w rozszerzającym się państwie wprowadził już Kazimierz Wielki. On sprawiedliwie traktował prawosławnych

poddanych po włączeniu do Korony Rusi Halicko-Włodzimierskiej. Władysław Jagiełło, po ślubie z wujeczną wnuczką Kazimierza, przywrócił polską suwerenność nad Prusami, których zachodnią część – Pomorze Gdańskie – włączył bezpośrednio do Korony jego drugi syn. Kazimierz Jagiellończyk wprowadził też swego najstarszego syna na trony Czech i Węgier, jednocząc w obrębie jednej dynastii Europę Środkową, Trójmorze. To dzieło zburzyła bitwa pod Mohaczem i śmierć Ludwika Jagiellończyka. Szczęście (a jeszcze bardziej nieszczęście) w polityce odgrywa istotną rolę. Tym bardziej polityką powinna rządzić zasada non nocere. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Francja arogancja

Emmanuel Macron jest mężem swojej żony. Mężem stanu niestety nie jest. Napytał sobie wielkiej biedy w kraju, forsując podwyższenie wieku emerytalnego z 62 do 64 lat. Francja wyszła na ulice. We Włoszech, gdzie Francuzów niespecjalnie kochają, a na emeryturę idzie się w wieku 67 lat, wywołało to złośliwe komentarze. Wynika z nich, że Francuzi są narodem rozbastwionym do granic, a na dodatek ze strachu przed Marine Le Pen wybrali sobie fatalnego prezydenta. Ale to sprawy Francuzów.

Gorzej, że Macron w ostrym ataku bezbrzeżnej megalomanii zabrał się do mocarstwowej polityki międzynarodowej. Znawcy francuskiej duszy i genetyki

wskazują na okoliczność łagodzącą. Ponoć każdy Francuz rodzi się z megalomanią i arogancją o intensywności i rozmiarach w innych narodach niespotykanych, może pomijając kompletnie skołowanych ruskich.

Wbiłem w wyszukiwarke: „Macron – Putin”. Z rezultatów wynika, że francuski wymoczek stracił ze 100 godzin, gaworząc z KGB-istą. Ubzdurał sobie, podobnie jak drugi as europejskiej polityki – kanclerz Scholz, że zaprowadzi pokój na Ukrainie. Obaj w odpowiedzi zobaczyli wyprężony środkowy palec interlokutora.

Ostatnio francuski wymoczek wybrał się do Chin, zebrząc, by prezydent Xi Jinping zatrzymał Putina. Oferował w zamian neutralność Unii, jeśli wybuchnie wojna chiń-

ska-tajwańsko-amerykańska. Co więcej, sugerował, że Unia rozluźni związki z Waszyngtonem. Może powinien jeszcze zaoferować Niemcy, gdzie go właśnie wygwizdano. Tak czy inaczej Macron znów obejrzał wyciągnięty środkowy palec, tym razem Xi Jinpinga.

Poraża megalomańska koncepcja geopolityczna Macrona: Unia pod wodzą Francji, jedyne mocarstwa nuklearnego w gronie państw członkowskich, pójdzie jakąś „trzecią drogą”, która na pewno nie prowadzi do Białego Domu. Naturalnie tych rojeń francuski arogant z unijnymi partnerami nie uzgodnił, choć miał w Chinach pod boki Ursulę von der Leyen.

Na samą myśl o maszynistach dwóch „lokomotyw Unii” można się zapłakać – tak dają do pieca. ©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

FOT. PAMEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

GWIAZDOBZDUR



RAPORT Z WIELKANOCNEGO „FRONTU”

Wiem, że już po, ale nie mogę nie nawiązać jeszcze do Wielkanocy. A zresztą, nie ma się z czego tłumaczyć, bo przecież radość ze Zmartwychwstania nie ma terminu ważności! Ale do rzeczy – kilka słów o celebryckich mądrościach okółowielkanocno-kościelnych, bo wiem, że umierają państwo z ciekawości. Aktorka Zofia Zborowska pytana o to, jak spędzi te święta, złożyła jasną deklarację: „Na pewno nie w kościele”. Dalej stwierdziła, że dla niej uroczyste śniadanie wielkanocne to śniadanie jak każde inne i nie ma się co ekscytować. – Spotykamy się na śniadania, ale jest to bardziej dla osób, które są wierzące, i robimy to dla nich w formie pozaszanowania ich wiary i tradycji, natomiast my z mężem absolutnie nie jesteśmy osobami wierzącymi, osobami, które pójdą do kościoła i będą podchodzić do tych świąt w sposób szczególny – podkreśliła. – Dla nas jest to po prostu śniadanie jak każde inne, tylko w większym gronie – dodała Zborowska. Z kolei Joanna Klepko, znana szerzej jako Cleo, Słowianka od Donatana, również w kontekście Wielkanocy wyznała, że „z koszyczkiem pójdzie tata, bo ja nie wiem, czy zdążę na samą święconkę, ale jak dojadę, to wybiorę się z nim”. „Przygotuję mazurka. Będzie na słodko zdecydowanie. Nie wiem dlaczego, ale jajka smakują jakoś inaczej w święta. Są jakby lepsze” – przyznała Cleo w rozmowie z „Super Expressem”. Wokalistka poruszyła

temat wiary. Chociaż, jak przyznała, nie uczęszcza regularnie do kościoła, to nie jest to jej zdaniem problem. „Dochodzę do wniosku, że wiara polega też na tym, że odczuwam obecność Boga po prostu wszędzie. Jeżeli chcę się wyciszyć, to idę do kościoła poza mszą, żeby się pomodlić i chwilę pokontemplować” – przekonuje Klepko. No to teraz czekamy na przemyslenia bożonarodzeniowe...

BŁĄD STRATEGICZNY LISA

Tomasz Lis naraził się już tak wielu osobom, łącznie z kolegami z branży, co doprowadziło do mocnego nadszarpnięcia wizerunku niegdyś najbardziej wpływowego polskiego dziennikarza, że otwieranie konfliktu z byłą żoną mógłby sobie darować. Komentator nie ma jednak widocznego instynktu zachowawczego i postanowił opowiedzieć światu o wadach Kingi Rusin. A dokładniej o braku umiejętności/chęci kulinarnych. – Byłoby błędem taktycznym i strategicznym, gdybym publicznie wchodził z Kingą w polemiki, ale nie mogę nie zauważyć, że jednak przez siedem lat życia obiady jadłem zawsze w stołówce, poza weekendami. A w weekendy jedliśmy razem w restauracjach – wyznał w podcaście Żurnalisty. Lamenty biednego Tomka nie pozostały bez odpowiedzi. Rusin zaszerwowała instagramowym obserwatorom filmowe porównanie. „Zamiast gotować, obejrzałam wczoraj po raz n-ty »Sprawę Kramerów«. Mistrzostwo świata! I ten moment, kiedy Ted tłumaczy synkowi, z jakiego powodu odeszła jego mama... – zaczęła. „Myślę,

że powodem, dla którego mama odeszła... było to, że przez długi czas... starałem się, żeby była pewną osobą. Pewnym rodzajem osoby. Pewnym rodzajem żony, którym myślałem, że powinna być. A ona po prostu taka nie była” – napisała Kinga Rusin, cytując sugestywnie dialog ze swojego ukochanego filmu. Ciekawskim, którzy nie widzieli „Sprawy Kramerów”, polecam zerknąć w opis fabuły, mając w tyle głowy Kingę i Lisa. Sympatycznie.

FAZY PO ŻABIE

Odurzanie się różne ma oblicza. Celebryci lubią próbować nowości, a im bardziej są one egzotyczne, tym lepiej. Podróżniczka i instagramerka Anna Skura, która obecnie rezyduje na Bali i kreuje się na ekspertkę do spraw tej pięknej wyspy, zafundowała sobie na 38. urodziny wyjątkowy prezent. Była to „podróż”, czyli – jak poinformowała influencerka – „the journey”. Postanowiła bowiem wziąć udział w popularnej wśród gwiazd „ceremonii bufo”, do której wykorzystywany jest jad meksykańskiej żaby. Skura „doznała kosmicznej jedności, dostępu do niedualnej świadomości i głębokich doświadczeń duchowych”. – Ceremonia bufo, w której uczestniczyliśmy, całkowite rozpuszczenie ego i wywołane przez nie doświadczenie „jedności ze Wszechświatem” pokazuje wolność i nową perspektywę, która pozwala uwolnić się od ograniczających schematów, oceny i uścisku starych traum i bardzo otwiera serduszek na miłość do świata. Piękne, chociaż wcale niełatwe przeżycie – opowiedziała influencerka. – Czuję, że odchodzę, ale nie do końca – opisuje. – Pamiętam, aby zachować pojęcie przestrzeni i ludzi wokół mnie. Wiem, gdzie ja jestem. Widząc, że wrażenia będą znacznie bardziej „wysokie”, relaksuję się i cieszę podróżą. Łzy radości i przytulenie się. Zalewam się łzami przez następne 20 minut. Łzy radości, troski o siebie – kontynuowała Ania. Instagramerka wyprodukowała jeszcze na temat „ceremonii bufo” masę instagramowej treści, ale wszystko brzmi tak samo. W sumie jak tak się człowiek wczyta, to Skura przeżyła egzotyczny, ale wciąż tylko haj. Znaczący się „the journey.” @



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwa awantura o zboże, której do końca nie rozumiemy, iż nie chce nam się w to zagłębiać. Jak widzimy, iż w coś zaangażowani są rolnicy, to odruchowo się trzymamy z daleka – nie lubimy wsi, kojarzy nam się z przemocą wobec zwierząt, patriarchatem i pełnymi kościołami.

Natomiast, jak wiecie, od lat zajmujemy się zmianą ścieżek na mapach mentalnych Polaków i pracą nad ich mindsetem, dlatego też w trwającym „Sporze o zboże” (ale wymyśliśmy xD) upatrujemy szansy na odejście od szkodliwych nawyków żywieniowych.

Co prawda, zboże jest wegańskie, ale w końcu zawiera gluten. Dlatego nas perspektywa wysokich cen zbóż albo nawet jego braku na rynku nie martwi. Gdybyśmy mieli u władzy siły odpowiednio bezkompromisowe, świadome i postępowe, natychmiast wdrożony zostałby program „Polska bezglutenowa” i w miejsce pszenicy czy żyta promowalibyśmy rośliny strączkowe czy kapustne, typu jarmuż.

Dlatego też bądźcie spokojni – na zbożu, skąd by ono było i jakiej jakości, świat się nie kończy.

Ależ fantastyczny pomysł poznaliśmy! Otóż jeden z bogatych aktywistów zza oceanu, tzn. z Ameryki, uznał, iż rząd powinien móc zabierać własność prywatną w ramach walki z globalnym ociepleniem.

Zakładamy, że jakby miało dojść do tego projektu, to nie miałyby to doty-

czyć jakichś Billów Gatesów czy Elonów Musków. Przecież wiadomo, iż żeby jakakolwiek idea mogła się przyjąć i upowszechnić, należy rozpocząć jej realizację na jak najniższym poziomie, w tym wypadku u nizin społecznych i tzw. klasy średniej.

Wiadomo, iż ratując planetę, najpierw należałoby zabrać Januszowi z podkarpa-



cia jego kopącego poloneza, a następnie zlikwidować ostatnie pekaesy kursujące dwa razy na dobę z jego wsi do ośrodka powiatowego, iżby Janusz nie zajmował się niepotrzebnymi podróżami, lecz spokojnie siedział na tyłku, nie ruszając się zaledwie i nie emitując za przeproszeniem gazów cieplarnianych.

Tak sobie myślimy, iż kolejnym krokiem może być np. rekwirowanie osobodzieci, iż mamy problem z przeludnieniem planety, a także rekwirowaniem wszystkiego, co w jakikolwiek sposób emituje cokolwiek.

A jakbyście sobie pomyśleli, iż to niemożliwe, to przypomnijcie sobie, jak trzy lata temu nie można było koło siebie chodzić po ulicach, zamknięte były nawet kościoły i nie można było wejść do lasów xD.

Apropos emisji, czujecie już w powietrzu ten swąd rozpalonych tysięcy polskich grilli? My też jeszcze nie, ale mamy świadomość nieuchronnego. Robi się coraz cieplej, niebawem majowy weekend, więc Janusze masowo wylegną do swoich ogródków, na swoje działki, łąki, pola i polany i będą smażyć i jeść wszystkie te swoje karkówki, kielbasy, kaszanki i co tam jeszcze z tych biednych osobozwierząt udało się im uzyskać.

To jest zatrważające, iż pomimo licznych kampanii edukacyjnych, światopoglądowych, firmowanych przez największe autorytety z zakresu weganizmu i wegetarianizmu, a także zrównoważonego rozwoju, proceder ten nadal ma się dobrze i nie wygląda na to, aby jego popularność w następnych latach spadła.

Dlatego wydaje nam się, iż strategia, jaką powinniśmy wobec tego przyjąć, powinna być podobna do strategii opozycji walczącej z pis – tak długo straszyć mięsem i je obrzydzać, aż sukces naturalnie sam przyjdzie. No bo w końcu przyjąć musi, prawda? ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Odmaszerować!

Panie Zbigniewie, ja się tam w pana exposé nie wtrącam, ale jedno bym chciał, żeby pan tam wybił: Rosja musi całkowicie przegrać i żaden inny wariant nas nie interesuje.

Jasne, panie prezesie, zgadzam się.

To dobrze, bo kto się nie zgadza, ten ta, no... ruska skarpetka. Onuca chyba.

O, właśnie, nie mogłem sobie przypomnieć, ale wiedziałem, że coś z nogą.

A jakby... No wie pan, to jest skrajnie mało prawdopodobne,

właściwie niemożliwe, dla każdego to jest jasne, ale jakby jednak się tak zdarzyło, że Rosja nie przegra całkowicie? A może nawet tak ociupinkę wygra? Może bym jakiś mały akapicki, zdanko... No, dwa słówka jednak powiedział na ten temat?

Co pan tutaj – jakiś defetyzm sieje?! Odmaszerować! ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To pierwsza od dziesięciu lat władza, która zamiast dbać o Polaków, notorycznie ich oszukuje”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



Leśni ratownicy

Gdy nasz pupil – skrzydlaty, czworonożny czy pełzający – zachoruje lub stanie się mu krzywda, idziemy z nim do najbliższego weterynarza. Co jednak, gdy sytuacja taka wydarzy się w naturze?

Oczywiście odpowiedź nasuwa się sama – istnieje bowiem coś, co nazywamy doborem naturalnym, za którego sprawą osobniki chore i słabsze stają się często ofiarami tych większych i silniejszych. Są jednak sytuacje, gdy dzikie zwierzę cierpi z winy człowieka, zazwyczaj w wyniku działań

nieumyślnych. Wtedy, kierowani odpowiedzialnością i wyrzutami sumienia, staramy się mu pomóc. Ale jak to zrobić i gdzie szukać specjalisty?

Na takie sytuacje przygotowani są wszyscy ci, którzy mają wielkie serce dla naszych dzikich „braci mniejszych”. Oczywiście na pierwszy plan wysuwają się

weterynarze, którzy pomagają zgodnie ze swą wiedzą i sztuką, jednak to niekoniecznie oni są tymi pierwszymi, którzy mają styczność z poszkodowanym zwierzęciem. Leśni ratownicy przywdziewają bowiem zielone mundury, a niekoniecznie lekarskie kitle w tym kolorze.

ZAWSZE GOTOWI NA POMOC

Tak się składa, że Lasy Państwowe już od lat, czasem nawet od kilkunastu, jak w przypadku Leśnego Ośrodka Edukacji i Rehabilitacji Zwierząt w Kole, który

działa przy Nadleśnictwie Piotrków (województwo łódzkie), starają się tworzyć miejsca, gdzie rekonwalescencję przechodzą nawet poważnie ranne zwierzęta. W takich miejscach, z dala od zgiełku cywilizacji, przechodzą one nie tylko niekiedy żmudny proces powrotu do zdrowia, lecz także poważne zabiegi. Do ośrodka w Kole trafiają poszkodowane zwierzęta różnych gatunków – od małych jeży, poprzez spore w swych rozmiarach sowy czy bieliki, aż do największych ssaków naszych lasów, czyli jeleni i łosi. To często ofiary wypadków komunikacyjnych lub rolnych. Te pierwsze mają często nikłe szanse na przeżycie zderzenia z pojazdem, lecz jeśli już im się to uda, to wymagają długiej i skomplikowanej opieki. Te drugie bywają mniej poturbowane, co nie znaczy, że potrzebują mniejszej troski. Jedne i drugie znajdują jednak dach nad głową i przyjaciół w osobach leśnika i jego współpracowników.

Ośrodek w Kole jest placówką, która nie powstałaby bez pasji i miłości. Specjalistyczna wiedza leśna prowadzących tę placówkę idealnie współgra z pewną dawką wiedzy medycznej i całą masą empatii, bez której praca, jaką oni wykonują, nie byłaby możliwa. W sukces przychodzi im jeszcze jedna rzecz – otwartość wobec innych. Miejsce to bowiem nie na darmo w swej nazwie ma słowo „edukacja”. Tutaj nie tylko leczy się zwierzęta, lecz także uczy się ludzi, jak być wobec nich lepszymi. Ośrodek ten stanowi bazę edukacyjną, jedną z niewielu tego typu w Polsce, która dzięki staraniom leśników pozwala na tak bliski i głęboki kontakt z naturą, której zwierzęta są najbardziej namacalną częścią. To ostatnie stwierdzenie to nie pusty frazes, ponieważ zajęcia edukacyjne, które mają w ośrodku miejsce, pozwalają na bezpośredni kontakt z dzikimi zwierzętami. I choć te, które w zajęciach z ludźmi biorą udział, nigdy już na łono natury nie wrócą, ponieważ są często na ludzką pomoc skazane do końca swego życia, bytują w warunkach jak najbardziej zbliżonych do naturalnych, leśnych. A to znaczy, że czasem, gdy na kontakt z człowiekiem ochoty nie mają, potrafią go skutecznie ignorować – jednak w ośrodku nikt ich do niczego nie zmusza, więc nawet zwierzęcy introwertycy znajdą tu dla siebie miejsce.



Las Państwowe już od lat, czasem nawet od kilkunastu, jak w przypadku Leśnego Ośrodka Edukacji i Rehabilitacji Zwierząt w Kole, który działa przy Nadleśnictwie Piotrków (województwo łódzkie), starają się tworzyć miejsca, gdzie rekonwalescencję przechodzą nawet poważnie ranne zwierzęta



Ośrodek w Kole, choć szczytający się wieloletnią tradycją pomocy zwierzętom, jest miejscem na wskroś nowoczesnym. A to za sprawą transformacji i modernizacji, którą tu przeprowadzono ostatnimi czasy. Dzięki inwestycjom z własnych funduszy nadleśnictwa, przy wsparciu środków z Regionalnych Programów Operacyjnych, ośrodek wyposażono w nowoczesną salę operacyjną oraz zaplecze leczniczo-edukacyjne, jest tu także obecny weterynarz. W planach jest także rozbudowa wolier i schronień dla zwierząt, a także jeszcze szersze udostępnienie tego miejsca dla wszystkich, którzy chcą poznać leśnych mieszkańców z naprawdę bliska, a niekoniecznie mogą uczestniczyć w organizowanych tu zajęciach i spotkaniach. A o popularności tego miejsca niech świadczy to, że potrafi tu przyjechać w ciągu roku kilkanaście tysięcy odwiedzających. Nie bez znaczenia pozostaje także to, że miejsce to wypromował na całym świecie niejaki odzieniec Chrumek, który podczas dzichych godów, czyli huczki, ruszył w poszukiwaniu chętnej do amorów samicy (lochy). Jego przygoda skończyła się jednak szybko, ponieważ zamiast chętnej damy znalazł... wyrzucone nieopodal gospodarstwa rolnego owoce z wypędu wina. Efektem jego uczty na tym „pożycie” było upojenie alkoholowe, wraz z którym przyszła międzynarodowa sława w mainstreamowych mediach. Świadczy o niej kilka tysięcy Chrumków maskotek, które cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem.

To jednak niejedynie takie miejsce, w którym leśnicy pomagają zwierzętom. Na stronach Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska (<https://www.gov.pl/web/gdos/wykaz-osrodkow-rehabilitacji-zwierzat>) widnieje „Wykaz ośrodków rehabilitacji zwierząt”. Są w nim umieszczone placówki zarówno przy nadleśnictwach, jak i technikach leśnych, znanych zazwyczaj z pomocy niesionej ptakom szponiastym, czyli sokołom, myszołowom czy jastrzębiom. Znajduje się tam też wiele innych miejsc, w których są ludzie pełni empatii i dobrej woli, którym problemy naszych dzikich braci są nieobce.



ROLNICY PROTESTUJĄ PRZECIW TRANSPORTOM UKRAIŃSKIEGO ZBOŻA

Polscy rolnicy kontynuują protesty przeciwko wwozowi zbóż z terenów Ukrainy, przez które polskie zboże istotnie straciło na wartości. W ubiegłym tygodniu przez kilka dni demonstrowali m.in. w okolicach Hrubieszowa. W środę chcieli zablokować szerokotorową linię kolejową w Hrubieszowie, którą do Polski wjeżdża zboże z Ukrainy, ale policja im to uniemożliwiła. Głównym postulatem demonstrantów jest przywrócenie cła na produkty rolno-spożywcze z Ukrainy. Rolnicy żądają również budowy silosów na zboże. Na zdjęciu: uczestnik demonstracji rolników przy przejeździe kolejowym w Hrubieszowie, 12 kwietnia. (jap) ©

FOT. WOJTEK JARCZO/PAP



Pieniądze za uległość



Paweł Chmielewski

Coraz częściej radni samorządowi odwołują uchwały, które sprzeciwiały się ideologii LGBT. Motywacja jest jasna: chcą dostać pieniądze z UE. Rząd oficjalnie nie zajmuje żadnego stanowiska, ale działacze PiS skutecznie wspierają politykę ustępstw

Arcybiskup Marek Jędraszewski powiedział w homilii o „tęczowej zarazie”. Samorząd Zamościa podjął uchwałę w jego obronie. Teraz się z niej wycofał

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Latem 2019 r. metropolita Krakowa abp Marek Jędraszewski w niezwykle głośnej i szeroko komentowanej homilii przestrzegał Polaków przed zjawiskiem, które określił mianem „tęczowej zarazy”. Mówił o ideologii LGBT, za którą skrywa się neomarksizm. Konstatacje hierarchy były w zasadzie oczywiste: każdy wie, że w batalii o „gejowską dumę” nie chodzi bynajmniej o jakieś „równe prawa” czy nawet przywileje dla mniejszości seksualnych, ale o próbę przemodelowania fundamentów porządku cywilizacyjnego, na których oparte są zarówno Polska, jak

i wciąż jeszcze w pewnym zakresie cała zachodnia wspólnota.

Nie dziwi, że wypowiedź metropolity Krakowa wywołała wściekłą furję lewicy – a z drugiej strony obronę ze strony ludzi przywiązanych do normalności. Wśród nich znaleźli się także radni z Zamościa. W sierpniu 2019 r. przyjęli uchwałę „w sprawie ataków na ks. abp. Marka Jędraszewskiego”, podpisując się pod nauczaniem hierarchy i podobnie jak on zwracając się przeciwko szaleństwu ideologii LGBT. Niestety, w środę w Wielkim Tygodniu uchwałę odwołali. Motywacji nie ukrywali: pienią-

dze. „Potrzeba uchYLENIA uchwały wynika z ryzyka utraty środków unijnych dla miasta” – stwierdzono wprost w propozycji cofnięcia uchwały.

SUWERENNA DECYZJA – ALE CZYJA?

Decyzja jest wynikiem kampanii prowadzonej od lat przez tęczowych aktywistów, wspieranych intensywnie przez Unię Europejską. To późne pokłosie niesławnej akcji propagandowej – kłamstw o rzekomych „strefach wolnych od LGBT” w Polsce czy publikacji hołubionego przez Brukselę „Atlasu nienawiści”. Hunwejbini seksualnej rewolucji





to na sesji i wmieszał radę miasta w wysoką politykę” – stwierdził.

Wydaje się, że Błazewicz nie tylko mówi we własnym imieniu, lecz także reprezentuje faktyczne – choć nieoficjalne – stanowisko PiS. Rzecznik rządu Piotr Müller proszony w mediach o ocenę postępowania zamojskich radnych stwierdził, że trudno jest mu „komentować decyzje w poszczególnych miastach”, bo chodzi tu o „suwerenne prawo radnych”. Tłumaczenie rzecznika można byłoby przyjąć, gdyby chodziło o decyzję dotyczącą organizacji wywozu śmieci albo wysokości jakichś lokalnych opłat, ale nie wtedy, gdy idzie o poddawanie się przez samorząd nieuprawnionemu szantażowi ideologicznej lewicy unijnej. Tu cho-

**Stanowiska wymierzone
w ideologię LGBT lub
po prostu w obronę rodziny
przyjęło wiele samorządów**

dzi właśnie o „wysoką politykę”, jak to określił Błazewicz: takie manipulowanie przez Brukselę władzami samorządowymi, by realizowały politykę nie własną czy narodowego rządu, ale „unijną”.

Désintéressement Müllera można byłoby oczywiście próbować bronić nadchodzącymi wyborami. Ewentualne odebranie środków Zamościowi opozycja łatwo wykorzystałaby w kampanii wyborczej jako przykład nieudolnej polityki PiS, który tyle mówi o porozumieniu z Brukselą, a w praktyce – no, patrzcie tylko państwo... Problem jednak w tym, że, po pierwsze, sprawa jest zbyt poważna, by zaśłaniać się drobnymi elementami wyborczej gry, a po drugie – nie chodzi o jeden incydentalny przykład uległości samorządu wobec nacisków UE, ale o regularny proceder – i to funkcjonalnie wspierany przez PiS.

UNIJNY STRASZAK DZIAŁA

Uchwały, oświadczenia czy stanowiska wymierzone bezpośrednio w ideologię LGBT lub też stające po prostu w obronę naturalnej rodziny przyjęło w ostatnich latach wiele jednostek samorządowych w reakcji czy to

skutecznie przekonali radnych Zamościa, że jeżeli uchwała pozostanie w mocy, to stracą unijne pieniądze. W grę wchodziły m.in. 12 mln zł z programu na rzecz aktywizacji bezrobotnych, które miały trafić do powiatowego urzędu pracy, i inne, bliżej niesprecyzowane środki.

Radni nie mieli pewności, że „ostrzeżenia” tęczyowych aktywistów są wiarygodne. Jak podały lokalne media, radca prawny miejskiego urzędu wskazywała, że wszystko rozbija się o sądy ocenne dotyczące tego, czy uchwała jest dyskryminująca czy nie jest. Radni woleli jednak dmuchać na zimne. 5 kwietnia

za wycofaniem uchwały zgłoszowało sześciu z nich, w tym przewodniczący z PiS – Piotr Błazewicz. Dwóch było przeciw, pięciu wstrzymało się od głosu, ośmioro nie wzięło w głosowaniu udziału, choć byli na sesji. W efekcie stanowisko zostało uchylone.

Jak tłumaczył Błazewicz, możliwość utraty unijnych środków jest „nauczką dla wszystkich”, żeby na sesjach rady nie podejmować spraw, „które nie dotyczą samorządu”. „To jest w pewnym sensie przyznanie się klubu PiS, że popełnił błąd. Nie dlatego, że stanął w obronie arcybiskupa, tylko dlatego, że postawił

■ na kolejne pomysły instytucji UE, czy to na politykę niektórych prezydentów miast, z Rafałem Trzaskowskim i jego niesławną Deklarację LGBT+ na czele. Część z nich odwołała jednak swoje decyzje, właśnie pod wpływem obawy o utratę środków z Brukseli.

W styczniu tego roku z uchwały w obronie naturalnego porządku wycofali się radni Białegostoku. Apelowali o taki krok marszałek województwa podlaskiego Artur Kosicki (PiS), powołując się na konieczność pozyskania pieniędzy z UE. Ten sam motyw wskazywał starosta białostocki Jan Perkowski (PiS). „Jeżeli tej uchwały byśmy nie zmienili, to nie wiem, czy jest sens składania projektów i płacenie za pisanie wniosków o te środki” – tłumaczył. Białostoccy radni przyjęli nowe stanowisko, w którym jako rada powiatu poparła „zasady horyzontalne UE”, takie jak „równoważony rozwój, równość szans i niedyskryminacja”. Co się kryje za tymi sloganami, nie trzeba czytelnikom „Do Rzeczy” tłumaczyć: to właśnie neomarksistowska ideologia.

Już wcześniej, bo jeszcze w 2021 r., na podobny krok zdecydowali się radni sejmiku województwa małopolskiego. Rezygnację z uchwały przeciwko ideologii zaproponowała Koalicja Obywatelska, a większość radnych z PiS nie próbowała się przeciwstawić: 15 z nich wstrzymało się od głosu, tylko siedmiu było przeciw.

W tym samym roku ze swojej uchwały wycofali się radni sejmiku świętokrzyskiego, troszcząc się o możliwość otrzymywania europejskich funduszy strukturalnych i inwestycyjnych. Przeciwno był radny Solidarnej Polski, troje radnych PiS wstrzymało się od głosu. Marszałek Andrzej Bętkowski (PiS) tłumaczył, że chodziło o „zgodzenie się z pewnymi sugestiami, jakie płynęły z Brukseli”.

To samo zrobili radni sejmiku podkarpackiego. Podkarpaciu w 2020 r. wskutek przyjęcia uchwały o ideologii LGBT cofnięto środki z Funduszu Norweskiego. Marszałek województwa Władysław Ortyl (PiS) przekonywał, jeżeli pieniądze mają jednak zostać wypłacone, to trzeba uchwałę odwołać. Ostatecznie uchwała przeciwko „promocji i afirmacji ideologii tzw. ruchów LGBT” została zamieniona na uchwałę „Podkarpacie jako region utrwalonej tolerancji”. „Środki unijne są nam potrzebne” – tłumaczył przewodni-

czący sejmiku Jerzy Borec (PiS). Z uchwał wycofano się także w wielu innych miejscach (jak choćby Tuchów, Kraśnik czy Jordanów); w innych przyjęte oświadczenia unieważniono decyzjami sądów.

STANOWISKO PIS

W początkowym okresie przyjmowania uchwał w obronie rodziny i przeciw LGBT wydawało się, że partia rządząca tę linię popiera. Minister edukacji Przemysław Czarnek wyrażał nawet dumę z powodu decyzji sejmiku województwa małopolskiego, który początkowo nie godził się na szantaż i nie chciał wycofać przyjętej uchwały.

Niestety, postawa PiS zaczęła się zmieniać. Już we wrześniu 2021 r. do samorządowców pismo wysłało Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, sygnowane przez wiceministra Waldemara Budę. „Chciałbym podkreślić konieczność przestrzegania zasad horyzontalnych

Walkę z uchwałami w obronie rodziny i przeciwko LGBT prowadzi również rzecznik praw obywatelskich

wynikających z przepisów unijnych. Jedną z nich jest zasada zapobiegania wszelkiej dyskryminacji” – pisał polityk. I apelował: „Żaden projekt, który nie spełnił powyższego kryterium, nie mógł zostać wybrany do dofinansowania [...]. Zwracam się do samorządów, których organy uchwałodawcze przyjęły tego typu dokumenty, o ich analizę i weryfikację, czy nie zawierają one zapisów, które niekiedy – nawet wbrew intencjom organów stanowiących – mogłyby potencjalnie stać się przedmiotem nadinterpretacji w tym zakresie”.

Buda zdystansował się nawet od Samorządowej Karty Praw Rodzin, dokumentu, który przygotował Instytut Ordo Iuris we współpracy m.in. z Centrum Życia i Rodziny oraz innymi organizacjami społecznymi. W karcie nie ma ani słowa na temat LGBT. Lewica atakowała ją jednak za to, że mówiła o prawach rodziny. Wiceminister przyznawał, że tego rodzaju ataki to wprawdzie „nadinterpretacja”, niemniej jednak wskazywał na konieczność dokonywania

„stosownych modyfikacji”, jako że „fundusze europejskie... przynoszą wymierne korzyści wszystkim obywatelom naszego kraju”. Część z wymienionych wcześniej decyzji o odwołaniu uchwał zapadła krótko po rozesłaniu przez Budę listu.

KRUCJATA RZECZNIKA

Walkę z uchwałami w obronie rodziny i przeciwko LGBT prowadzi też rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek, wybrany w 2021 r. głosami opozycji – i większości posłów PiS (wstrzymało się 40 z nich, jedna posłanka była przeciw). Kilka miesięcy temu Wiącek wysłał do gmin i powiatów apel o uchylanie przyjętych tekstów, które uznał za dyskryminujące. Rzecznik powoływał się na wyroki sądów administracyjnych i twierdził, że uchwały miałyby „naruszać godność i dobre imię oraz prawo do życia prywatnego określonej grupy mieszkańców jednostki samorządowej”, w związku z tym stwarzając „wrogą, uwłaczającą i zastraszającą atmosferę” wokół tzw. osób LGBT. To z kolei miałyby skutkować „ryzykiem przemocy wobec tych osób”.

Przestępstwa z nienawiści wobec gejów czy lesbijek w Polsce są wprawdzie skrajnie rzadkie, w przeciwieństwie do analogicznych przestępstw wobec katolików, nierzadko księży, a jednak Marcin Wiącek to właśnie homoseksualistów wziął na sztandary swojej walki o prawa obywatelskie. W apelach RPO pojawia się jednak także taki argument, który wpisuje jego działalność w jedną linię z listem Budy: unijne pieniądze. Według rzecznika pozostawienie przyjętych uchwał może mieć dla samorządów złe skutki finansowe. „Uchwały te, jako niezgodne z zasadą niedyskryminacji, wyrażoną w Konstytucji RP oraz w prawie unijnym, stanowią m.in. przeszkodę w dostępie do środków z funduszy UE” – dowodził Wiącek.

CO MÓWI NA TEN TEMAT SAMA UE?

Czy Unia Europejska rzeczywiście może karać polskie samorządy, stosując wobec nich dyskryminację ze względu na reprezentowane wartości? W traktatach nie ma na ten temat ani słowa. Bruksela nie posiada mandatu do narzucania Polsce ideologii LGBT, a co za tym idzie – do karania Polski za odrzucanie tej ideologii, tym więcej w formie czysto afirmatywnego podkreślenia przywiązania do naturalnej rodziny

(jak czyni to przyjęta przez wiele samorządów Samorządowa Karta Praw Rodzin). Mimo wszystko Unia próbuje takie kompetencje sobie przywłaszczyć – zapisując promocję tęczącej agendy w różnorodnych dokumentach. Przykładowo w „Umowie o partnerstwie z Polską ws. funduszy spójności”, którą polskie władze negocjowały do czerwca 2022 r., przewidziano udzielanie wsparcia „wyłącznie projektom i beneficjentom, którzy przestrzegają przepisów antydyskryminacyjnych”, o których mowa w stosownych rozporządzeniach Parlamentu Europejskiego i Rady. Zaznaczono wyraźnie, że „wsparcie w ramach polityki spójności nie może być udzielone” tym jednostkom samorządu, które podjęły „jakiegokolwiek działania dyskryminujące, sprzeczne z zasadami, o których mowa”. Traktaty swoją drogą, negocjowane ad hoc umowy o współpracy – swoją. A przecież to tylko drobny element tego, co instytucje UE już robią i co dopiero planują.

Na przykład w grudniu 2022 r. Komisja Europejska przedstawiła projekt rozporządzenia, które – gdyby weszło w życie – miało by zmuszać Polskę i inne państwa członkowskie UE do akceptowania adopcji dzieci przez pary gejowskie i lesbijskie, jeżeli taka adopcja nastąpiłaby w kraju, w którym jest legalna. Niemożliwe? Niekoniecznie. Tego rodzaju operacje często dokonują się przy współudziale wymiaru sprawiedliwości, niezależnie od stanowiska opinii publicznej. Rażącem tego przykładem jest Austria. W 2017 r. austriacki Trybunał Konstytucyjny uznał za nielegalny zakaz zawierania małżeństw jedнопłciowych, uzgadniając tym samym austriackie prawodawstwo z brukselską normą. Nikt nie pytał o zdanie obywateli.

Promocja LGBT jest de facto jednym z ważniejszych celów Brukseli. W unijnej „Strategii na rzecz równości osób LGBTIQ w UE na lata 2020–2025” wprost pisze się m.in. o planach wprowadzania we wszystkich państwach członkowskich UE całej palety rozwiązań prawnych honorujących uroszczenia środowisk tęczyowych. Bruksela czyni też podchody pod wprowadzanie tęczącej ideologii do szkolnictwa. W polskich województwach przyjęto już wymagane przez Unię zapisy, zgodnie z którymi wsparcie finansowe będą otrzymywać jedynie te jednostki, które realizują „edukację włączającą”, czyli nakierowaną „integrację” różnorodnych

Uzależnianie Polski od pieniędzy UE wiąże się z naciskami na rezygnację z polskiej tożsamości

mniejszości, również seksualnych. Na razie pozostaje to bez skutków praktycznych, ale ziarno zostało zasiane.

Inna sprawa, że unijnym działaniom towarzyszy też niekiedy pusty blef. Tak było choćby w lipcu 2020 r., kiedy komisarz ds. równości Helena Dalli ogłosiła, że Komisja Europejska odrzuciła sześć polskich wniosków o granty w ramach projektu „Europa dla obywateli”, właśnie ze względu na przyjmowanie m.in. Samorządowej Karty Praw Rodzin. Dopiero po kilku miesiącach Dalli przyniósł, że wbrew swoim słowom funduszy nie straciły wcale te jednostki samorządowe, które przyjęły prorodzinny dokument. Kłamiąc, chciała najpewniej wywrzeć presję i skłonić radnych do pospiesznego odrzucenia karty.

PROBLEM STRUKTURALNY

Większość samorządowców, którzy przyjęli uchwały w obronie rodziny i przeciwko LGBT, jak dotąd nie wycofała się ze swoich decyzji. Ze strony rządu powinni otrzymać wsparcie – tego jednak nie widać. Wprost przeciwnie, różnorodne nieformalne naciski zdają się wskazywać, że rząd premiera Mateusza Morawieckiego także w tej sprawie preferuje „ugodowość” i „politykę porozumień”.

Jest oczywiście, do czego ta polityka doprowadzi. Unia Europejska będzie w przyszłości jeszcze chętniej używała instrumentu finansowego szantażu, jeżeli okazuje się, że bywa skuteczny. Samorządowców trzeba wzywać do wytrwałości – ale to jeszcze za mało, bo problem jest strukturalny. Część z nich po prostu się ugnie. Miliony z Brukseli to często aż nazbyt konkretny argument. To samo dotyczy polityki na szczeblu rządowym – również władze centralne idą na kompromisy, chcąc otrzymać unijne środki, z wiadomym skutkiem (patrz: KPO). Podobne mechanizmy można zresztą obserwować również w innych krajach Unii Europejskiej, wyraźnie słabszych od kilku państw nadających główny ton.

Trzeba postawić sprawę jasno: uzależnianie Polski od unijnych pieniędzy wiąże się już dziś, a w przyszłości będzie wiązać się coraz bardziej, z naciskami na rezygnację z polskiej tożsamości na rzecz przyjęcia nowej rewolucyjnej tożsamości. I nie zawsze te naciski będzie udawało się odpierać, z biegiem czasu być może coraz rzadziej, po ewentualnej zmianie władzy – pewnie w ogóle. Nie ma żadnej perspektywy na zmianę kierunku polityki UE.

Największe kraje unijne mają inną niż Polska kulturę duchową. Fundamenty konstytuujące ich społeczeństwa są częściowo wprost wrogie wobec chrześcijaństwa, częściowo – także wobec zdrowego rozsądku. Niczego z tym nie zrobimy. Unia pozostanie taka, jaka jest, a zgoda na pogłębianie integracji tylko zaostrzy problem. Krok po kroku będziemy kształtować się na podobieństwo unijnego mainstreamu. Stąd racją stanu wydaje się być konsekwentne przyjęcie twardej linii, która nie przewiduje żadnych kompromisów w kwestiach wartości.

Te sprawy można bagatelizować jako drugorzędne, ale w długiej perspektywie przecież to właśnie one decydują o rozwoju. Prosty przykład, wzięty z jednej z najbardziej dziś palących dziedzin – w jaki sposób rozbudujemy wojsko, jeżeli zgodnie z unijnym paradygmatem będziemy umacniać antyrodzinną narrację, otwartą na LGBT i aborcję, a wrogą wobec wielodzietności (dzieci szkodzą przecież klimatowi)? Oczywiście – w żaden, bo nie będzie kandydatów, nie tylko do ochotniczej, lecz także do zasadniczej służby, jeżeli chcielibyśmy ją przywrócić. Możemy mieć pieniądze na sprzęt oraz infrastrukturę, ale to na nic, jeżeli zabraknie ludzi. To samo dotyczy wielu innych obszarów, kluczowych dla Polski. Obrona tożsamości opartej na naturalnym porządku i chrześcijaństwie nie jest zastępczą polityczną nawałką, ale rdzeniem budowy stabilnej przyszłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

WIĘCEJ O PROBLEMIE Z IDEOLOGIĄ LGBT W DODATKU SPECJALNYM „KTO CHCE NARZUCIĆ POLSCE »TĘCZOWĄ AGENDĘ« I JAK SKUTECZNIE SIĘ PRZED TYM BRONIĆ?» NA STRONIE 47



Rafał A. Ziemkiewicz

W przyszłym Sejmie nie będzie można stworzyć żadnej większości parlamentarnej bez udziału Konfederacji. Dla lewicowo-liberalnych mediów i ich ekspertów to naruszenie porządku świata

Powrót Konfederacji do nienotowanych od czasu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, dwucyfrowych notowań w sondażach wyborczych zbiegł się w czasie z uwiędnięciem politycznego projektu Hołowni i ugrzęźnięciem w niemożności przez Lewicę. W efekcie notowania na poziomie 11–13 proc. wystarczają obecnie konfederatom do zajęcia w rankingu popularności partii trzeciego miejsca. Ta sytuacja wprawiła lewicowo-liberalny salon w panikę, a w panice zwykle nie myśli się jasno.

Rzecz oczywiście nie tyle w tym, że poparcie dla Konfederacji rośnie (choć i to już dla Salonu horrendum), ile czym kosztem rośnie: nie przez odpyły wyborców od PiS, tylko od szeroko rozumianej opozycji lewicowo-liberalnej, głównie od ruchu Polska 2050. I nie przez odpyły przekupionych świadczeniemi albo zmobilizowanych obroną papieża emerytów z prowincji, ale wyborców najmłodszych i przeważnie wielkomiejskich. Zaprzecza to wizji świata powszechnie wyznawanej w medialno-intelektualnym zapleczu PO i jej akolitów: w starciu sił reakcji i postępu „młodzi” muszą być po tej drugiej, jedynie słusznej stronie! Właśnie ta wiara w nieuchronność postępu niesionego przez młodych warunkuje postawę salonowych „elit”: reakcja może w sprzyjających okolicznościach zatriumfować na chwilę, spowolnić parowóz dziejów i uwieść ludzi dzięki populizmowi, błędowi popełnionym przez przywódców postępu (np. brak jednej listy „oboza demokratycznego”). Ale determinizm dziejów sprawia, że może to być tylko krótki epizod.

Tymczasem po ośmiu latach czekania na nieuchronny, stale zapowiadany jako „już za chwilę” moment wielkiego antypisowskiego buntu społecznego, pod



Trzecie miejsce

hasłami przywrócenia elit sprzed roku 2015, okazało się, że nie tylko PiS wciąż nie traci poparcia, lecz także młody elektorat zabiera jedynie słusznym politykom partia jeszcze bardziej – w oczach owych elit – „pisowska” niż sam PiS!

PUSTKA PO „DZIADERSACH”

Salon zdołał się już pogodzić z tym, że ludzie tacy jak Leszek Balcerowicz czy nawet sam Adam Michnik stali się dla młodych działaczy i sympatyków szeroko rozumianego antypisu „dziadersami”. Nie było to tak bolesne dopóty, dopóki wydawało się, że ich miejsce w hierarchii społecznych autorytetów zajmą jeszcze bardziej radykalni wyznawcy jedynie słusznej wizji świata: działacze partii Razem, wychowankowie „Krytyki Politycznej”, liderzy „ruchów miejskich”, organizacji „kobiet” i „społeczności LGBT”. Tymczasem lansowani przez Salon nowi bohaterowie okazali się nie tylko niezdolni do przyciągania tłumów, lecz także niekiedy wręcz tak dla nich odstręczający, że trzeba ich było szybko usuwać ze świecznika (jak Martę Lempart czy Margotę), a suto futrowane i intensywnie promowane w mediach intelektualne delegatury liberalnej lewicy na młode pokolenie wyprodukowały głównie niszowe dziwolągi, kończące swe medialne kariery w kłatkach MMA (jak Jaś Kapela czy Maja Staśko). Za to, jak diabeł

z pudełka, wyskoczył Mentzen i okazał się na TikToku popularniejszy od wszystkich lansowanych w głównym nurcie mediów „buntowników” razem wziętych.

Dla rozwoju sytuacji ważne jest, że w streszczonym powyżej sposobie myślenia Salonu, medialno-intelektualnego zaplecza lewicowo-liberalnych polityków, nie ma zupełnie miejsca na politykę. Nie sposób w reakcjach na nagłą utratę szans na większość parlamentarną (nawet tę zwykłą – o konstytucyjnej już dawno nikt nie marzy) szukać analizy elektoratów, ich oczekiwań, grup docelowych i sposobów dotarcia. Gdyby zresztą szeroko pojmowany anty-PiS był do takiego myślenia zdolny, nie byłoby możliwe ośmioletnie wypieranie przez PO ponoszonych od 2015 r. klęsk wyborczych i stanowcza odmowa wyciągnięcia z nich wniosków. Fakt, że według wielu najnowszych sondaży w przyszłym Sejmie nie będzie można stworzyć żadnej większości parlamentarnej bez udziału Konfederacji, nie jest dla lewicowo-liberalnych mediów i ich ekspertów faktem politycznym. Jest, jako się już rzekło, naruszeniem porządku świata.

A ponieważ z naruszeniem porządku świata nikt się nie chce godzić, bo oznacza to konieczność bolesnego przyznania się do fałszywej wiary i do jej weryfikowania, pierwszą i najsilniejszą reakcją jest wyparcie. To niemożliwe, żeby poglądy



Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak zaczęli odbierać wyborców głównie Hołowni
FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

reakcyjne porywały ludzi z zasady, jako młodzież i jako przedstawiciele cywilizacji wielkomiejskiej, będących społeczną bazą idei postępowych. Najwidoczniej ludzie deklarujący poparcie dla Konfederacji nie wiedzą, co naprawdę popierają: dali się po prostu oszukać. Trzeba więc Konfederację zdemaskować. Ot, co.

PROPAGANDA JAK PREZENT

To nie jest kwestia przemyśleń, tylko odruchu. Natychmiastową reakcją na stwierdzenie, że partia polityczna, dotąd uznawana za część „tamtej Polski” i mogąca rosnąć tylko kosztem PiS (a to nawet dobrze, niech się „reżimowe” głosy podziela), wcale nie znajduje się w miejscu, które jej wyznaczono, była dojmująca chęć poinformowania całego świata, że to strasznymi faszyści, obciach, nienawiść itd. Spontanicznie, nie czekając na żadne analizy, media i politycy liberalnej lewicy wyciągnęli „piątkę Mentzena” i mykły Berkowicza, zdemaskowali Konfederację jako „partię, której programem jest nienawiść do ludzi”, i partię, przez którą „wyrzucą nas z Europy” – jednym słowem, sięgnięto po wszystkie te same chwytły, na których bazuje od lat propaganda antypisowska. Bez cienia zastanowienia, dlaczegożby to, co nie zadziałało już wiele razy, tym razem miało zadziałać.

Ta kampania propagandowa w istocie jest dla Konfederacji prezentem, zapew-

niając jej „zasięgi” przy jednoczesnej gwarancji, że zarzutów nikt nie potraktuje serio. Zwalczanie Konfederacji pod hasłem „to też PiS” nie może dać skutków w sytuacji, gdy jej siłą jest właśnie to, że jest postrzegana jako jedyna partia „nie-PiS i nie-PO”. Oczywiście nie ma jeszcze solidnych badań, które by przesądzały, czym uwodzi partia Mentzena i Bosaka swych zwolenników, ale wszystko wskazuje, że odpowiedź jest właśnie taka: popierają ją ludzie, którzy chcą „czegoś innego”.

Gdy Mentzen i Bosak konsekwentnie krytykują i rządzących, i lewicowo-liberalną część opozycji, używając konstruktów „PO-PiS” (dla zwolenników politycznych plemion brzmiaćcego wręcz absurdalnie), oskarżenia ze strony Platformy, że są gotowi wejść w koalicję z PiS, a ze strony PiS, że zwiążą się z obozem PO, tylko ich uwiarygadniają i budują. Tak naprawdę jedynym, co mogłoby w tej chwili złamać dobrą passę Konfederacji, byłoby spektakularne przyłączenie się do jednego bądź drugiego obozu, co wydaje się mało prawdopodobne.

ŁABĘDZI ŚPIEW HOŁOWNI

Jednym z dowodów jest to, że Konfederacja odebrała wyborców głównie Hołowni – ten zaś był przez kilka ostatnich lat depozytariuszem nastrojów, najogólniej mówiąc, „antysystemowych”, chcących „czegoś nowego”. Zapewne bezpośrednim impulsem dla nich było deklarowane połączenie Polski 2050 z PSL, partią chyba najbardziej „systemową” i najdalszą od bycia „nową jakością”, jak tylko można to sobie wyobrazić. Jednak na swój upadek Hołownia pracował już długo – jeśli słowo „pracował” jest tu na miejscu, w istocie bowiem chodziło o to, że nic nie robił. Dany mu przez historię czas zmarnował na bezsensowne, celebryckie opowieści na społecznościówkach, nie sformułował żadnej oferty wykraczającej poza „teraz ja”, nie okazał żadnej tożsamości. Gdy nagle stara się naśladować Konfederację, zapowiadając obniżenie podatków, a składając wiadomo, że może być tylko „przystawką” PO, ścigającej się z PiS w obietnicach mnożenia socjału, jest to łabędzi śpiew.

A przecież niedawno jeszcze Hołownia nie tylko pewien był trzeciego miejsca na sondażowym podium, lecz także roił o rozdawaniu kart na opozycji.

Związani z nim politycy dawali upust tym marzeniom publicznie: skoro Tusk poszedł na lewo i uwikłał się w walkę z partią Czarastego o tęczowo-feministycznych radykałów, to Polska 2050 i PSL jako jedyni reprezentanci „miękiego centrum” mogą wziąć w wyborach nawet 20 proc. Inna sprawa, że mimo tak optymistycznego zapatrywania się na szanse sojuszu ugrzęźli w jego realizacji na poziomie niustającego obietcywania „chcemy, negocjujemy, już prawie jesteśmy zgodni”, dodatkowo irytując swych zwolenników tą nieudolnością, będącą zresztą częścią ogólnej nieudolności kandydatów do „jednej listy opozycji”. Sojusz nie został zawarty, a i tak zaszkodził – przykład, że wbrew przysłowiu można ciastka nie zjeść, a i tak go nie mieć.

Najniższe miejsce na podium uważała też za swoje, szczególnie wobec słabnięcia Hołowni, Lewica. Ale w jej wypadku wyjście z roli „przystawki” PO, co najwyżej mogącej obiecywać, że wymusi na niej jakieś radykalne posunięcia, jest bodaj jeszcze trudniejsze niż u Hołowni. Dzięki aktywności Salonu i jego mediów, w najlepszej wierze starających się rozprzeczować postępowe idee, Lewica stała się w oczach młodych normalsów niszą świrów, zajętych talmudycznymi sporami, czy wolno na kobiety mówić „osoba z macicą”, i zwalczaniem najpopularniejszego słowa w polszczyźnie jako „diskryminującego sekslorking”. Pewne dotarcie ma tylko do młodych kobiet, przerażonych wchodzeniem w dorosłość, obietnicą zapewnienia im łatwej aborcji jako swego rodzaju hamulca bezpieczeństwa.

Te młode kobiety stały się ostatnią nadzieją Salonu. No dobrze, PO i inne „nasze” partie słabną w sondażach, a rosną w siłę „faszyści”, uwodząc młodych – ale uwodzą tylko młodych mężczyzn, a kobiety tego pokolenia wciąż są „nasze”. Ta nadzieja też może się okazać złudna. Mężczyźni są po prostu bardziej aktywni politycznie, a to, że Konfederacja nie przedstawiała dotąd swoich działaczek i powodów, dla których także i one działają w Ruchu Narodowym czy Nowej Nadziei, nie oznacza, że nie może tego zrobić. Wydaje się, że wypieranie rzeczywistości nie będzie mogło trwać długo i że lewicowo-liberalne autorytety muszą się przygotować na długą i pełną frustracji smutkę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Jeśli się jest ugrupowaniem 8–10-procentowym, to można brać to, co dają więksi. A ci więksi, na których czele stoi Donald Tusk, w małym stopniu liczą się z interesami Lewicy

Polscy postępowcy nie mają zbyt wielu powodów do radości. Nikt specjalnie nie przejmuje się ich poglądami na temat jednej listy opozycji, a młodych wyborców, którzy zawsze dawali Lewicy nadzieję na zwycięstwo, sprząta im sprzed nosa Konfederacja. Lider Platformy Obywatelskiej, Donald Tusk, demonstracyjnie lekceważy lewicowy blok, a PiS zdaje się dla wyborców prosojalnych znacznie solidniejszych gwarantem zachowania „500+” i innych świadczeń socjalnych niż nieprzekraczający 10 proc. w sondażach sojusz Włodzimierza Czarzastego, Adriana Zandberga i Roberta Biedronia.

CZARZASTY – WUJEK DOBRA RADA

„Mamy trudny czas, jest dużo emocji. Ktoś musi zachowywać rozsądek na końcu. Apeluję do liderów partii opozycyjnych: cofnijcie się krok, wylejcie sobie troszeczkę zimnej wody na głowy” – tak niedawno mówił w Radiu Zet współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Lider lewicy wybrał ton jednego sprawiedliwego wołającego na puszczy. Czarzasty wyraźnie starał się wykonać gest pod adresem Tuska, który na spotkaniu w Żywcu także straszył PSL i Polskę 2050: „Jeśli oni w najbliższych dniach nie zrozumieją, że trzeba to robić natychmiast, to wyborcy zdecydują. Już za kilka miesięcy zobaczymy to w sondażach, na dwa–trzy miesiące przed wyborami, że ci, którzy chcą tylko wejść, tylko być – oni znikną. I będziemy mieli jedną listę”.

Problem w tym, że takie czapkowanie Czarzastego przed Tuskiem nic w relacjach lewica – PO nie zmienia. Wielki Donald wyraźnie lekceważy lewicowców i, jak się zdaje, żywi jakąś osobistą abominację do osoby Czarzastego.

Lewica na bocznym torze

**NISKA INFLACJA
SPRAWIEDLIWA
GOSPODARSTWO**



Lewica nie ma pomysłu na kampanię, a jej liderzy są pozbawieni charyzmy. Od lewej: Robert Biedroń, Magdalena Biejat i Włodzimierz Czarzasty FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Co pozostaje liderowi postępowców? Stałym lejtmotywem występow Czarzastego w mediach jest idea podpisania przed wyborami umowy, która będzie regulowała sposób, w jaki koalicja opozycji będzie rządzić. Hasła takie brzmią rozsądnie, ale nie uwzględniają jednego podstawowego czynnika – Donald Tusk nie ma ochoty ujawniać szczegółów swego programu po ewentualnym zdobyciu władzy. A zachęty Czarzastego, aby już teraz wszystko ustalić, są mu wyjątkowo nie na rękę.

KRUSZENIE KOPII PO LEWEJ STRONIE

Zresztą sami politycy lewicy nie są w stanie uzgodnić, czy należy czekać na koniec debaty o wspólną listę lansowaną przez Donalda Tuska czy też zająć się już indywidualną kampanią Nowej Lewicy. Oto wiceszefowa lewicowego sojuszu, Karolina Pawliczak, odbyła niedawno na Twitterze swoisty słowny pojedynek z rzeczniczką Nowej Lewicy, Anną Marią Żukowską. Posłanka Pawliczak ogłosiła, że wspólna lista całej opozycji to najlepsze rozwiązanie. Po-

wołała się na słynne badanie obywatelskie „Gazety Wyborczej” i zagrzynała: „Sondaż jest jednoznaczny. Musimy być zjednoczeni jak PiS. Wtedy wszyscy zyskujemy”. Żukowska ripostowała: „Czyżby pomysłem Platformy na utworzenie jednej listy był szantaż obywatelski? Donald Tusk ma numery telefonów do wszystkich liderów ugrupowań opozycyjnych. Zamiast publicznie straszyć, można zadzwonić”. Osobno Żukowska wysłała publicystyczną ostrą strzałę w kierunku posłanki Pawliczak: „Tobie na trwaniu w ławach sejmowych zależy tak mocno, że jesteś w stanie własnym liderom insynuować zdradę i wspieranie PiS”.

Po tej wymianie opinii Anna Maria Żukowska zablokowała Karolinę Pawliczak na Twitterze. Rzeczniczka Lewicy blokująca wiceszefową swojej frakcji to dość osobliwy przypadek w polskiej polityce. Ale doskonale pokazuje to zjawisko, które nęka lewicowców. Zwolennicy podmiotowości Sojuszu, pod kierownictwem Czarzastego, cały czas podejrzewają swoich kolegów partyjnych, że ci działają pod wpływem Platformy. Trudno się dziwić. Aż

za bardzo wymowny jest przykład trojga starych weteranów z epoki Kwaśniewskiego – Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera i Marka Belki, którzy wystartowali z listy PO do europarlamentu i prześcigają się w lojalności wobec Donalda Tuska. To powoduje, że np. wspomniana już wiceszefowa Lewicy Karolina Pawliczak co pewien czas musi się tłumaczyć z podejrzeń, że zamierza przejść na listy Platformy.

W podobny sposób Tusk wyłuskał spośród parlamentarzystów Polski 2050 Hannę Gill-Piątek. W sejmowych kuluarach spekulowano, że była posłanka Hołowni dała się skusić platformersom obietnicą dobrego miejsca na liście. Teraz ponowne obawy „wyskubywania” najbardziej popularnych polityków Lewicy pojawiają się w obozie Czarzastego.

DREPTANIE W MIEJSKU

Problemem Lewicy jest brak interesujących liderów. Niby każdy z trójki Czarzasty – Zandberg – Biedroń ma jakieś atuty, ale summa summarum nie wyrwa to ich sojuszu z wiecznego krążenia w sondażach między 8 a 10 proc. W tym roku mija 20. rocznica afery Rywina, która zakończyła dobrą passę postkomunistów z lat 1993–2003. Włodzimierz Czarzasty mimo prób odświeżenia swojego wizerunku nie przestaje się kojarzyć z brutalnym i agresywnym aparaczką. Wszyscy mieli okazję obserwować, jak brutalnie spacyfikował swoje ugrupowanie, usuwając za pomocą kruczków regulaminowych wszystkich kontestatorów.

Ponadto ci usunięci, na czele z Andrzejem Rozenkiem, mimo prób ożywienia brandu Polskiej Partii Socjalistycznej nie zrobili specjalnej kariery. Adrian Zandberg teoretycznie jest atrakcyjny dla wyborców, a praktycznie nie potrafi wyjść z roli niszowego polityka. Ostatnio na dodatek zepsuł swój wizerunek polityka starającego się zachować umiar, histerycznie protestując przeciwko rozdawaniu papieskich kremówek w pociągach InterCity. Centrowych wyborców tradycyjnie odstrasza Joanna Scheuring-Wielgosz, która nie mogła powstrzymać się od wezwań do usuwania pomników Jana Pawła II z placów polskich miast. I wreszcie Robert Biedroń, który rozkoszuje się swoim pobytem w europarlamencie i co rusz przypomina o swoim infantylizmie. Jego jedynym pomysłem na zatrzymanie udanej medialnej ofensywy

Sławomira Mentzena było wezwanie do polskich dziewcząt: „Mówcie swoim chłopakom: jeśli popierasz Konfederację, nie pójde z tobą do łóżka”.

Znaczny wzrost popularności Konfederacji w sieci ośmieszył lewicę, która zawsze pozowała na siłę mającą być rzekomo najbardziej popularną wśród młodych ludzi. Tymczasem to konfederaci nauczyli się używać TikToka i formułować krótkie atrakcyjne komunikaty, które docierają do licealistów czy studentów. Mentzen i Bosak bardzo sprawnie wyszydają wsparcie europosłów Lewicy dla pomysłów zakazu rejestracji samochodów spalinowych czy projekty osławiania Polaków z jedzeniem robaków.

Zachowanie eurodeputowanych Lewicy w Parlamencie Europejskim też pokazuje przepaść pomiędzy generacją Kwaśniewskiego. Miała ona w swych szeregach doświadczonych speców od polityki międzynarodowej, takich jak Józef Oleksy czy Tadeusz Iwiński. Dziś Lewica kojarzy się w Brukseli raczej z happenerami. Takie postacie jak Sylwia Spurek, Łukasz Kohut czy Robert Biedroń nie kojarzą się z poważną polityką.

Dobrym na to przykładem była niedawna wizyta Biedronia w Helsinkach. Jego przechwałki, że socjalistyczny rząd Finlandii będzie zapewniał darmową aborcję dla Polek, zostały zdementowane przez rzecznika fińskiego rządu. Biedroń głosił, że zawarł porozumienie w tej sprawie w czasie spotkania z premier Sanną Marin. Na to kancelaria rządu w Helsinkach w lodowatym tonie oświadczyła: „Było to grzecznościowe spotkanie, trwające ok. 10 minut. Polska delegacja opisała pani premier sytuację praw człowieka w kraju i wyraziła nadzieję, że w przyszłości uda się zintensyfikować współpracę w obronie praw kobiet w Europie. Podczas spotkania nie padły żadne obietnice”.

NA BOCZNYM TORZE

Jeden z polityków Platformy mówi: „Donald Tusk nie ma ochoty specjalnie angażować się w żadne układy z Czarzastym, nie chce holować na siłę kapitana tej tonącej łodzi, jaką jest dziś Lewica. Z Adrianem Zandbergiem też nie ma ochoty na żadne umawianie się, bo ten w najmniej oczekiwanym momencie ugryzie Platformę wskutek jednej ze swych lewicowych fobii. A niespecjalnie mądry Biedroń to

zagrożenie ośmieszenia opozycji, a nie żaden czynnik dodany”.

Szymon Hołownia i Władysław Kosiński-Kamysz także wolą trzymać się od lewicy z daleka. Ludowców z PSL zniechęca dogmatyczny antyklerykalizm. Gdy wybuchły kontrowersje wokół książki Ekkego Overbeeka, lewicowy portal „Krytyki Politycznej” pisał o „bestii z Wadowic”.

W sytuacji faktycznej izolacji Czarzasty może zostać skazany na samodzielny start. Nie bardzo widać, wokół którego hasła Lewica miałaby zabłysnąć w czasie kampanii wyborczej. Jej linia, którą można streścić słowami: „prosocjalna polityka PiS – tak, ale bez łamania demokracji”, nie brzmi jakoś rewelacyjnie. Elektorat KOD zagospodarowali już Platforma Obywatelska i jej lider zięjący wrogością do Jarosława Kaczyńskiego.

Pozostają hasła budowy 300 tys. mieszkań na wynajem, uproszczenia systemu podatkowego, likwidacji składki zdrowotnej, podwyżek w budżetówce i rozwoju zielonej energii. Wywołany przez Konfederację, zauważony ostatnio pewien zwrot Tuska w kierunku idei wolnorynkowych budzi nadzieję w obozie Lewicy na zwiększenie swoich szans wyborczych. Jednak Tusk zapewne szybko skoryguje swoją linię, jeśli zauważy, że traci wyborców na rzecz Lewicy.

Na dobrą sprawę Włodzimierz Czarzasty powinien dziękować niebiosom, że twarzą kampanii wyborczej nie jest Rafał Trzaskowski, który w znacznie większym stopniu odbierałby Lewicy jej wyborców. Jednak i w tej kwestii Czarzasty jest zapewne tego samego zdania co Jarosław Kaczyński – niezagrożona jak dotąd pozycja przywódca Donalda Tuska służy zarówno PiS, jak i Lewicy.

Niedobre sygnały dla ugrupowania Czarzastego płyną także z zespołu przygotowującego pakt senacki. Wszyscy mniejsi partnerzy Platformy narzekają, że PO tak chce skonstruować listy, aby uzyskać w nowym Senacie znacznie wyraźniejszą przewagę niż ta, którą posiada teraz. Jednak tu też Lewica ma niewielkie pole do manewru. Jeśli się jest ugrupowaniem 8–10-procentowym, to można brać to, co dają więksi. A ci więksi, na których czele stoi Donald Tusk, w małym stopniu liczą się z interesami Lewicy. Włodzimierz Czarzasty musi to upokorzenie jakoś przełknąć.

Kara ma odstraszać

Działała w sposób przemysłany, wcześniej zaplanowany i rozciągnięty w czasie, obserwując bawiące się dziecko i oczekując dogodnego momentu do pozbawiania życia – powiedział we wtorek 29 marca sędzia Michał Ziemiński z poznańskiego sądu okręgowego, ogłaszając wyrok w sprawie, która chyba nikogo nie pozostawia obojętnym. Dwudziestoosmioletnia Magdalena C. najpierw raniła swoją trzyletnią córkę Zuzię nożem. Następnie dusiła dziecko. Dziewczynka wciąż żyła, więc matka zadała jej kolejne dwa ciosy nożem. Dziecko zmarło w szpitalu, podczas operacji mającej uratować jego życie. Sąd nie miał wątpliwości, że C. od początku chciała zabić i miała to wcześniej zaplanowane. Kobieta skazana na dożywocie, jednak z zastrzeżeniem, że o warunkowe zwolnienie będzie mogła się ubiegać dopiero po 50 latach. To przełom, ponieważ w III RP nie zapadł jeszcze tak surowy wyrok w sprawie dzieciobójstwa. Media zwracają też uwagę, że to najsurowszy wyrok wobec kobiety.

Czy wyrok ten jest sygnałem świadczącym o zmianie podejścia sędziów,



Zuzanna Dąbrowska

Czy 50 lat więzienia za zamordowanie ze szczególnym okrucieństwem trzyletniego dziecka to kara drakońska czy po prostu adekwatna? Resort sprawiedliwości przekonuje, że tylko surowe kary mogą skutecznie odstraszać. A polskie sądy wydają się powoli odchodzić od „filozofii wychowania” i przedstawiać orzecznicze tory na „filozofię odstraszania”

wynikającej ze zbliżającego się wejścia w życie noweli Kodeksu karnego? Nie wykluczone. Od 1 października zacznie bowiem obowiązywać część znowelizowanych przepisów, przygotowanych przez resort sprawiedliwości. Podniesiona zostanie górna granica terminowej kary pozbawienia wolności z 15 do 30 lat, przy jednoczesnej likwidacji osobnej kary 25 lat więzienia. Wydłużono też okres przedawnienia zbrodni zabójstwa z 30 do 40 lat. W przepisach pojawi się też nowy typ przestępstwa – przyjęcie zlecenia zabójstwa. Od października karalne będzie przygotowanie do zabójstwa. Jedną

z ważniejszych zmian jest wprowadzenie kary tzw. bezwzględnego dożywocia, czyli kary dożywotniego pozbawienia wolności bez możliwości warunkowego zwolnienia. Nowela kk zaostrza też znacznie kary za gwałty i pedofilię. I tak np. za zgwałcenie z następstwem w postaci śmierci ofiary grozić będzie od ośmiu do 30 lat więzienia lub dożywocie – obecnie jest to od dwóch do 12 lat więzienia.

ZMIANA FILOZOFII

– To, co jest zasługą ministra Zbigniewa Ziobry, to zmiana filozofii karania przestępców. Lewicowej filozofii pobłażliwości,

którą był przesiąknięty Kodeks karny. Kary mają być sprawiedliwe. Muszą być na tyle surowe, aby skutecznie odstraszać przestępców – mówi „Do Rzeczy” wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoń. W ocenie polityka dotychczasowa praktyka pokazuje, że wysokie kary bardzo szybko przekładają się na ograniczenie konkretnej gałęzi przestępstw. – Straszono, że 25 lat pozbawienia wolności za oszustwa VAT-owskie to straszna kara. Dzięki wejściu przepisów w życie dochody z tego podatku w latach 2016–2022 wzrosły o 80 proc. Kolejny przykład skutecznych działań – konfiskata rozszerzona. Przestępcy tracą swoje majątki, nie przepisują już ich na rodziny i znajomych. To wszystko działa – podkreśla Warchoń.

Doktor Michał Sopiński, prorektor ds. rozwoju Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości, podkreśla, że budowanie efektywnego systemu penalnego nie jest proste. – Należy przy tym brać pod uwagę nie tylko kulturę prawną, warunki cywilizacyjne, lecz także zmieniające się tendencje społeczne i rozkwit nowych technologii. Ten proces trwa latami. Dobrze jest zatem znaleźć balans, żeby z jednej strony nie popaść w drakoński system prawa, a z drugiej, aby był on efektywny i realnie chronił obywateli przed niebezpieczeństwem. Z tej perspektywy zaostrzenie niektórych przestępstw jest dobrym posunięciem – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Dane pokazują, że do tej pory polskie sądy, na tle innych krajów europejskich, były niezwykle łagodne. Zgodnie z danymi Ministerstwa Sprawiedliwości za rok 2021 w Polsce za zabójstwo na karę dożywocia skazuje się zaledwie 4 proc. przestępców. W Niemczech to aż 21 proc.; średnia w UE to 12 proc., a w Anglii i Walii aż 34 proc. W przypadku rozboju, który jest dość powszechnym przestępstwem, w Polsce kara długoletnia (czyli pięć lat i więcej) jest wymierzana znowu w tylko 4 proc. przypadków. U naszego zachodniego sąsiada to 12 proc. i taka sama jest średnia UE. Na Słowacji to aż 49 proc., a na Węgrzech 55 proc. Najgorzej jest w przypadku gwałtu, bo 54,1 proc. sprawców w Polsce dostaje karę minimalną, czyli do dwóch lat więzienia. – Kolejny fakt – kary w zawieszeniu stanowią aż 44 proc. wszystkich kar pozbawienia wolności. To efekt liberalnej szkoły, która dokonała spustoszenia

w głowach sędziów. I my to zmieniamy – podkreśla wiceminister Marcin Warchoń.

Skąd wynika obawa sędziów przed surowym karaniem przestępców? – Środowisko krakowskie, ideowo nacechowane lewicowo, miało duży wpływ na kształcenie sędziów, tworzenie prawa karnego, praktycznie od 1989 r. Kiedy rozmawiam z sędziami, często słyszę, że odczuwają presję środowiskową – sędziego, który za gwałt orzecznie karę pięciu lat więzienia – minimalna to dwa lata – postrzega się jako populistę, bo tak ogólnie są postrzegane wysokie kary – jako właśnie populizm – ocenia Warchoń. Z kolei Michał Sopiński wyjaśnia, że w niektórych sytuacjach wydawanie łagodnych orzeczeń jest podyktowane ciężarem odpowiedzialności, który sędziowie biorą na siebie, a którego w konkretnej sytuacji nie potrafią unieść. – W innych przypadkach pewnie prze-

Do tej pory polskie sądy, na tle innych krajów europejskich, były niezwykle łagodne

mawiają za tym okoliczności łagodzące sprawę, a w jeszcze innych sytuacjach być może są to predyspozycje do przyjmowania lewicowych tendencji, które chętniej stają po stronie sprawcy niż ofiary czy też usprawiedliwiają winne istnienie, niewinne zaś – jak nienarodzone dzieci – łatwo skazują na śmierć – zaznacza prorektor SWWS.

„ZMIANA, KTÓREJ POTRZEBUJEMY”

Zmianę, którą zaostrzeniem Kodeksu karnego chce przeprowadzić MS, można opisać jako przeniesienie akcentu z wychowawczej roli kary na rolę odstraszającą. Choć, jak zastrzega wiceminister Warchoń, obecnie w polskich więzieniach funkcjonuje więcej programów resocjalizacyjnych niż za rządów PO-PSL. – Więźniowie pracują – prawie 90 proc. zdolnych do pracy więźniów pracuje. Pomagamy uzależnionym i tym, którzy chcą się doksztalać. Ale wobec bardziej brutalnych przestępców kary muszą być tak surowe, aby skutecznie odstraszały.

Niskie kary rozzuchwalają. Kary surowe to kary sprawiedliwe – podkreśla rozmówca „Do Rzeczy”.

Michał Sopiński przekonuje, że system prawny powinien dążyć do takich zmian, aby zminimalizować ryzyko przestępstw. – Nigdy nie będzie to możliwe, ponieważ każdy człowiek ma wolną wolę. Jednak za ratio legis nowych przepisów przemawia chęć skończenia z pobłażliwością względem naprawde niebezpiecznych przestępców, którzy burzą ład społeczny. Polacy powinni się czuć bezpieczni na ulicach. Wiele jest bowiem miast w Europie, których ulicami strach iść po zmroku. Funkcja odstraszająca ma tu zatem niebagatelne znaczenie – mówi. Wyrok z Poznania dotyczący trzyletniej Zuzi rektor SWWS określa jako „jaskółkę czyniącą wiosnę”. – To świadczy o dwóch rzeczach. Po pierwsze – o silnej postawie psychicznej i moralnej sędziego, a po drugie – uświadamia nam, jak poważnym czynem jest odebranie niewinnemu istnienia życia. Widać więc wyraźnie, że zaostrzenie przepisów jest wymuszane przez samą praktykę sędziowską. Jest to zmiana, której potrzebujemy – podkreśla Michał Sopiński.

WAŻNY TEST

Ważnym testem dla polskiego wymiaru sprawiedliwości będzie sprawa ośmiolatka z Częstochowy, która była niedawno na czołówkach portali. Chłopiec w stanie ciężkim trafił do Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach. Miał rozległe poparzenia obejmujące prawie 25 proc. powierzchni ciała i liczne złamania. Prokurator zarzucił ojczymowi dziecka, że chciał go zabić, umieszczając na rozgrzanym piecu węglowym. Dwudziestosiemioletniemu zarzucono też, że znęcał się nad ośmiolatkiem ze szczególnym okrucieństwem – poprzez bicie, kopanie oraz przypalanie papierosami i spowodowanie u niego licznych złamań.

Trzydziestopięcioletnia matka chłopca Magdalena B. jest podejrzana o narażanie swego dziecka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia i zdrowia, a także udzielenia pomocnictwa mężowi w znęcaniu się nad chłopcem. Chodzi o to, że nie reagowała na zachowania męża i nie udzieliła dziecku pomocy. Zarówno matka, jak i jej mąż przyznali się do zarzucanych czynów.



Z dr. n. med. Piotrem Witczakiem, biologiem medycznym
rozmawia Dorota Tuńska

Szczepienie dzieci na COVID-19 to skandal



dr n. med. Piotr Witczak
– biolog medyczny
(specjalność: immunologia),
autor publikacji naukowych
w dziedzinie biologii/
immunologii komórkowej.
W latach 2015–2020 pracował
jako analityk technologii
medycznych w Agencji Oceny
Technologii Medycznych
i Taryfikacji (AOTMiT)
w Warszawie. Zajmował się
farmakoekonomiką, prowadził
wykłady z evidence-based
medicine (medycyna oparta
na dowodach naukowych).
Był współkoordynatorem
merytorycznym projektu
„Racjonalne decyzje w systemie
ochrony zdrowia ze szczególnym
uwzględnieniem regionalnej
polityki zdrowotnej”,
realizowanego przez AOTMiT.



DOROTA TUŃSKA: W grudniu ubiegłego roku Ministerstwo Zdrowia zatwierdziło trzydawkową szczepionkę przeciwko COVID-19 dla najmłodszej grupy wiekowej od szóstego miesiąca życia do czterech lat. Tym samym do kalendarza szczepień dołączono kolejne szczepienie dla dzieci. Czy w obecnej sytuacji, kiedy pandemia wyhamowała, powinno się je szczepić przeciw koronawirusowi?

DR N. MED. PIOTR WITCZAK: Obecnie mamy wątpliwości, czy w ogóle zasadne jest szczepienie populacji dorosłej, a co dopiero dzieci, wśród których śmiertelność infekcji SARS-CoV-2 jest bliska zeru! Najlepsze dostępne dane, metaanalizy badań randomizowanych z grupą placebo, nie wykazały redukcji śmiertelności z jakiegokolwiek przyczyny u osób zaszczepionych dostępnymi szczepionkami mRNA przeciw COVID-19. Według niezależnych, recenzowanych wtórnych analiz badań randomizowanych najbardziej popularne szczepionki mRNA mogą powodować więcej szkód niż korzyści. Ryzyko poważnych zdarzeń niepożądanych (jeden przypadek na 800 iniekcji) związanych ze szczepionką mRNA znacznie przekroczyło ryzyko hospitalizacji z powodu COVID-19. Zaznaczam, że przytoczone dane dotyczą osób dorosłych, więc bilans korzyści i strat jest jeszcze bardziej negatywny w przypadku dzieci i kolejnych dawek przypominających.

Niedawno na łamach „British Medical Journal” opublikowano analizę obejmującą niezakażonych dorosłych w wieku 18–29 lat, z której wynika, że na każdą unikniętą – dzięki trzeciej, przypominającej dawce szczepionki mRNA – hospitalizację z powodu COVID-19 przewiduje się nawet 98 poważnych zdarzeń niepożądanych. Skala i różnorodność skutków ubocznych tych preparatów są bezprecedensowe. Bardzo niepokojące są również doniesienia o zapaleniu mięśnia sercowego, w szczególności u nastolatków płci męskiej, które może znacząco podnosić u tych osób ryzyko nagłego zgonu.

Programy szczepień wśród dzieci należy wstrzymać natychmiast, a nie rozszerzać do coraz to młodszych grup wiekowych! W literaturze naukowej dostępne są opisy przypadków autopsji dzieci zmarłych w wyniku podania szczepionki mRNA przeciw COVID-19. Uważam, że przy obecnym stanie wiedzy na temat tych szczepionek kontynuowanie

programów szczepień przeciw COVID-19 wśród dzieci jest czymś skandalicznym.

W Polsce dzieci do drugiego roku życia otrzymują ok. 30 różnych szczepionek. Czy tak młody, kształtujący się system odpornościowy dziecka jest w stanie odpowiedzieć na taką stymulację bez uszczerbku na zdrowiu?

Odpowiadając na takie pytanie, należy opierać się na wysokiej jakości danych naukowych. Czy zatem mamy takie dane? Odpowiedź brzmi: nie mamy. Na przykład żadna ze szczepionek zalecanych wszystkim amerykańskim dzieciom nie została przetestowana pod kątem bezpieczeństwa w badaniu klinicznym fazy III, w którym grupa kontrolna stanowiła obojętne placebo – np. sól fizjologiczną. Najczęściej grupę kontrolną stanowią inne szczepionki lub tzw. szczepionka bez antygeny. To wygląda trochę tak, jakby celowo planowano ukryć prawdziwą częstość występowania zdarzeń niepożądanych testowanej szczepionki. Ponadto nigdy nie badano ogólnego wpływu rutynowego podawania coraz większej liczby szczepionek dzieciom na ich zdrowie. Na

Programy szczepień wśród dzieci należy wstrzymać, a nie rozszerzać do coraz to młodszych grup wiekowych

fundamentalne pytanie, które powinno niepokoić każdego rodzica: „Czy moje dziecko będzie zdrowsze i zwiększy swoje szanse na przeżycie, jeśli będzie podążać zgodnie z obowiązującym programem szczepień ochronnych?”, nauka do tej pory nie odpowiedziała. Proszę mnie sprawdzić – żaręczam, że takich badań nie ma.

Obecny harmonogram szczepień dzieci nigdy nie został dokładnie zbadany jako całość pod kątem bezpieczeństwa i skuteczności. Chociaż w ciągu ostatnich kilku dekad do kalendarza dzieci dodano wiele szczepionek, to żadne badania nigdy nie badały konsekwencji rosnącej liczby szczepień otrzymywanych przez nasze potomstwo. Właściwie nie prowadzi się wysokiej jakości badań porównujących osoby zaszczepione

PHOTO: ADRIAN STOLIK

z niezaszczepionymi. Częstym argumentem są względy etyczne, np. narażenie dzieci na podwyższone ryzyko zarażenia się chorobami, którym można zapobiec poprzez szczepienia. To założenie jest jednak nielogiczne, bo właśnie temu ma służyć badanie porównujące osoby zaszczepione z niezaszczepionymi. Straszanie w tym momencie epidemiami z przeszłości, gdy warunki sanitarne, stopień odżywienia populacji – i wiele innych czynników – były wówczas zupełnie inne, jest delikatnie to ujmując, antynaukowe. Argument etyczny staje się również nieistotny, jeśli zdamy sobie sprawę, że w tym momencie mamy sporą grupę kontrolną – w Polsce liczba odmów wykonania obowiązkowych szczepień ochronnych sięga już blisko 70 tys.

I jest to tendencja zwyklowa. Czy należy się martwić rosnącą liczbą niezaszczepionych dzieci w Polsce i obawiać się konsekwencji braku odporności populacyjnej?

Szczepień odmawiają głównie rodzice, którzy stracili zaufanie do systemu opieki zdrowotnej, w szczególności po doświadczeniach z okresu pandemii COVID-19. Brutalna i prymitywna propaganda związana z masowymi szczepieniami przeciw COVID-19, których skuteczność i bezpieczeństwo daleko odbiegły od początkowych zapewnień, skutecznie zniechęciła wiele osób do szczepień w ogóle.

Kolejna rosnąca grupa rodziców niezaszczepiających swoich dzieci to rodzice tych z nich, które ucierpiały w wyniku szczepień. Zazwyczaj taki rodzic zderza się z systemem, który zwyczajowo zaprzecza istnieniu związku między szczepionką a powikłaniem, mimo że NOP zgodnie z definicją to każde zaburzenie stanu zdrowia, które wystąpiło w okresie czterech tygodni po podaniu szczepionki. Bardzo często rodzice zostają z problemem sami i dodatkowo wywierana jest na nich presja. Zamiast zrozumienia ich obaw wobec kolejnych szczepień są stygmatyzacja i szantaż emocjonalny, że nie szczepiąc dziecka, naraża się je na utratę zdrowia, a nawet życia.

Odporność populacyjna to w znacznym stopniu jedna z wielu wyrafinowanych strategii marketingowych, której celem jest wywieranie presji na rodziców, aby

zaszczepili swoje dzieci. Jak utrzymać odporność stadną, skoro szczepionki działają zazwyczaj przez okres od czterech do 10 lat? Co najmniej połowa populacji może nie mieć odporności na żadną z chorób, na które została zaszczepiona w dzieciństwie. Na przykład z 14 szczepionek w rutynowym harmonogramie szczepień dzieci w Stanach Zjednoczonych tylko pięć przekracza próg odporności stadnej i dotyczy chorób, w przypadku których odporność stadna jest istotna dla dzieci i może być faktycznie osiągnięta. W przypadku pozostałych dziewięciu szczepionek albo szczepionka nie generuje odporności zbiorowskiej, albo ochrona, którą zapewnia niemowlętom i dzieciom, jest częściowa lub nieistotna.

Z czego składają się szczepionki, które otrzymują dzieci? Co zawierają?

Podstawowe składniki szczepionek to antygeny, adiuwanty, substancje konserwujące i stabilizujące. W preparatach mogą być również obecne zanieczyszczenia biologiczne z procesu produkcyjnego, np. wirusy. W składzie szczepionek naj-

Teraz podaje się szczepionki „6w1” poliwalentne przeciwko sześciu chorobom zakaźnym: błonicy, tężcowi, krztuścowi, poliomyelitis, Haemophilus influenzae typu B oraz WZW typu B. Dodatkowo zawarte są w nich neomycyna i polimiksyna. Czy to jest dobry kierunek?

Bezpieczeństwo szczepionki „6w1” było oceniane w porównaniu z aktywnym komparatorem, czyli innymi szczepionkami. Z kolei bezpieczeństwo szczepionek „5w1” czy „4w1” – tej samej firmy GSK – zostało przetestowane w porównaniu ze szczepionką DTaP, a tą wcześniej porównano ze szczepionką starszej generacji (DTP), której bezpieczeństwo nigdy nie zostało przetestowane w kontrolowanym obojętnym placebo badaniu randomizowanym. Czyli znów nie znamy rzeczywistej skali powikłań (do tego niezbędne jest obojętne placebo).

Można założyć, że im większa liczba antygenów wstrzyknięta do organizmu w tym samym czasie, tym większe wyzwanie dla układu odpornościowego. Organizm niektórych dzieci ze względu na indywidualne problemy metaboliczne może zareagować nieprawidłowo na taką

Obecny harmonogram szczepień dzieci nigdy nie został dokładnie zbadany jako całość pod kątem bezpieczeństwa i skuteczności

częściej znajdziemy takie substancje jak wodorotlenek i fosforan glinu, polisorbate 80, formaldehyd, komórki z ludzkich linii komórkowych, bydlęcą surowicę płodową, antybiotyki, tiomersal (etylortęć). Należy podkreślić, że te substancje podawane są domięśniowo (czasem niestety igłą trafi w światło naczynia krwionośnego) z pominięciem wrót zakażenia, naturalnych barier. Część z nich to substancje potencjalnie prozapalne, neurotoksyczne, rakotwórcze, mogą powodować alergię. Powszechne twierdzenie, że „dawka czyni truciznę”, nie uwzględnia faktu, że każdy organizm różni się w zakresie tolerancji na substancje toksyczne, może mieć zaburzenia odporności, zaburzenia mitochondrialne, osłabioną metylację, a to wpływa na zdolność organizmu do neutralizacji i detoksykacji. Ponadto niektóre składniki mają zdolność do bioakumulacji w organizmie, zwłaszcza przy tak dużej liczbie i częstotliwości szczepień.

stymulację, a szczepionka może okazać się zbyt obciążająca. Neomycyna i inne antybiotyki mogą powodować reakcje alergiczne, najczęściej skórne, o łagodnym przebiegu. Czy to dobry kierunek? Nie odpowiem, bo brakuje wysokiej jakości danych na temat bezpieczeństwa tych preparatów, a tym samym nie można ocenić bilansu korzyści i ryzyka. Na pewno nie jest dobrym kierunkiem szczepić dziecko preparatem bez znajomości rzeczywistego ryzyka.

W Europie tylko w Polsce i w Bułgarii szczepią dzieci przeciw gruźlicy i WZW w pierwszej dobie życia. Czy istnieje zdrowotne lub sanitarne uzasadnienie dla takich działań? Czy w pierwszej dobie życia noworodka mamy wystarczająco informacji o predyspozycjach zdrowotnych dziecka, np. alergiiach, wrodzonym braku odporności etc.?

Sąsiadujące z nami Niemcy zrezygnowały ze szczepienia przeciwko gruźlicy już ok. 25 lat temu, a w Polsce od lat

pojawiają się postulaty, aby znieść obowiązek tego szczepienia. Polska nadal należy do krajów o średniej zapadalności na gruźlicę – notujemy kilkanaście przypadków na 100 tys., wypadamy znacznie lepiej od Ukrainy, Rosji czy Białorusi, ale gorzej np. od Skandynawii.

A jak jest w przypadku dzieci? Są to przypadki ekstremalnie rzadkie – kilka przypadków na milion. Oczywiście można założyć, że to dzięki szczepieniom. Ale jak w takim razie wyjaśnić niskie wskaźniki tej choroby wśród dzieci w krajach, gdzie nie szczepi się na gruźlicę? Zazwyczaj chorują osoby starsze i zaniedbane.

Ponadto ta szczepionka prawdopodobnie nie jest wystarczająco skuteczna w ochronie przed najpopularniejszą postacią płucną gruźlicy. Biorąc pod uwagę niewielkie potencjalne korzyści z tego szczepienia dla noworodków, istnieją obawy, że ryzyko jest zbyt duże, zwłaszcza na tak wczesnym etapie życia. To jest szczepionka „żywa” i zdarzają się przypadki gruźlicy poszczepiennej. W Polsce był przypadek rodziców, którzy pozwali Skarb Państwa za gruźlicę poszczepienną. Wyniki badań wskazują, że u pacjentów z ciężkim złożonym niedoborem odporności szczepionka BCG ma bardzo wysoki odsetek powikłań. Czy noworodki są w tym kierunku badane przed podaniem szczepionki? Odpowiedź państwo znają.

Z czyich rekomendacji szczepi się dzieci w Polsce? W oparciu o jakie badania i przesłanki naukowe?

Obowiązkowe szczepienia ochronne są regulowane przez art. 17. ust. 11. ustawy z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi. Minister właściwy do spraw zdrowia określa w drodze rozporządzenia wykaz chorób zakaźnych objętych obowiązkiem szczepień ochronnych, uwzględniając dane epidemiologiczne dotyczące zachorowań, aktualną wiedzę medyczną oraz zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia. Natomiast Główny Inspektor Sanitarny ogłasza w formie komunikatu w dzienniku urzędowym Program Szczepień Ochronnych na dany rok.

Większość badań i rekomendacji instytucji zajmujących się zdrowiem publicznym wskazuje na „pozytywne skutki szczepień”. Nie zwraca się jednak uwagi na słabą jakość tych badań w świetle evidence-based medi-

Zamiast rzetelnych danych i badań nad bezpieczeństwem i skutecznością szczepień straszy się epidemiami sprzed lat, promuje utarte mity niepotwierdzone wysokiej jakości badaniami, uprawia propagandę i pielęgnuje poprawność polityczną

cine oraz na ogromne luki w wiedzy, np. brak porównania szczepionek z obojętnym placebo, brak oceny wpływu skumulowanej liczby szczepień w ramach PSO na zdrowie dzieci, brak wiarygodnej oceny zagrożeń ze strony chorób zakaźnych, wobec których od wielu lat szczepi się masowo dzieci w kontekście obecnych warunków sanitarnych i stanu zdrowia populacji. A więc rzeczywisty bilans korzyści i ryzyka masowych szczepień w ramach PSO jest nieznany. Poruszamy się w świecie fikcji i domysłów.

Obecnie zamiast rzetelnych danych i badań nad bezpieczeństwem i skutecznością szczepień, które obejmowałyby porównanie dzieci szczepionych z nieszczepionymi, bardziej straszy się epidemiami sprzed lat, promuje utarte mity niepotwierdzone wysokiej jakości badaniami, uprawia propagandę i pielęgnuje poprawność polityczną, a to wszystko nakręcane jest chęcią zysku firm farmaceutycznych oraz osób związanych z tym przemysłem. Na przykład często powtarzane przez ekspertów twierdzenie, że szczepionki powodują poważne skutki uboczne u jednego na milion zaszczepionych, jest sprzeczne z wynikami licznych badań klinicznych, w których poważne zdarzenia niepożądane zgłaszano u jednego na 40, 30, a nawet u jednego na 20 niemowląt. W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć wyniki ostatnich dużych badań obserwacyjnych opublikowanych na łamach czasopisma „Academic Pediatrics”, w którym wykazano pozytywny związek między narażeniem na aluminium ze szczepionek a astmą.

A związek rtęci – a precyzyjniej etylortęci, którą zawierają niektóre szczepionki, jak DTP przeciw błonicy, tężcowi i krztuścowi – oraz szczepionki skojarzonej MMR (odra-świnka-różyczka) z autyzmem? Czy dlatego teraz mamy do czynienia z autyzmem na tak szeroką skalę?

Warto odnotować, że obecnie w przypadku szczepionek, w których poziom etylortęci wynosi poniżej 40 nanogramów

na dawkę, producent nie musi deklorować tej substancji w składzie preparatu. Instytucje zdrowia publicznego wciąż utrzymują, że nie udowodniono związku między narażeniem dzieci na etylortęć ze szczepionek a wzrostem przypadków autyzmu. To stanowisko najwyraźniej opiera się na wnioskach pochodzących ze sfinansowanych przez amerykańskie Centrum ds. Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) badań epidemiologicznych, wobec których sformułowano wiele zastrzeżeń metodologicznych, a także zwrócono uwagę na konflikt interesów i wyraźny kontrast względem wniosków z badań przeprowadzonych przez niezależnych badaczy w ciągu ostatnich 75 lat, którzy konsekwentnie stwierdzali, że etylortęć nawet w niskich dawkach jest szkodliwa.

Czy znane są panu badania duńskie na temat autyzmu, gdzie przebadano 650 tys. pacjentów, w tym zaszczepionych i niezaszczepionych, i okazało się, że w grupie zaszczepionych było o 7 proc. mniej dzieci z autyzmem niż w grupie dzieci niezaszczepionych?

Znam te doniesienia – mają wiele ograniczeń. Po pierwsze, ta siedmioprocentowa różnica nie była istotna statystycznie, więc wniosek, że w grupie zaszczepionych było o 7 proc. mniej dzieci z autyzmem niż w grupie dzieci niezaszczepionych, jest nieuprawniony. Na prawie 660 tys. dzieci włączonych do badania tylko niecałe 32 tys. było niezaszczepionych – to duża dysproporcja. Należy podkreślić, że nie stwierdzono zwiększonego ryzyka autyzmu po szczepieniu MMR w zakresie mocy statystycznej badania, a ta mogła być niewystarczająca do wykrycia relatywnie rzadkich przypadków autyzmu. Badanie nie wykluczyło możliwości, że szczepionka zwiększa ryzyko autyzmu u dzieci obserwowanych do 10. roku życia. Badanie nie bierze pod uwagę, że znaczna część dzieci z grupy nieszczepionej mogła nie zostać zaszczepiona MMR z powodu

■ ciężkiej reakcji na poprzednią szczepionkę lub z powodu stanu zdrowia, który był przeciwwskazaniem do szczepienia, a to zakłóca w istotny sposób wyniki, bo grupa nieszczepiona wyjściowo mogła charakteryzować się większą podatnością na regres do autyzmu.

W roku 2004 Amerykańskie Centrum Kontroli Chorób (CDC) opublikowało artykuł wykazujący, że nie ma związku między wiekiem, w którym dziecko jest szczepione MMR, a ryzykiem późniejszej diagnozy autyzmu u zaszczepionych

wyeliminowały wiele chorób, zlikwidowały czarną ospę, chorobę Heinego-Medina, uratowały miliony istnień ludzkich, a kwestionowanie ich uchodzi za skrajną nieodpowiedzialność. Wielu lekarzy nurtu akademickiego nawet nie chce podejmować dyskusji na ten temat.

Brak dyskusji nad zasadnością, bezpieczeństwem i skutecznością szczepień czy jej piętnowanie to ogromny błąd! Wpadliśmy w pułapkę poprawności politycznej.

Proszę sobie wyobrazić, że na świecie szczepimy miliardy dzieci, nie znając rzeczywistej skali powikłań ze względu

co zbiegło się ze stosowaniem środków owadobójczych (DDT) do walki z malarią oraz używaniem pestycydów (w tym DDT) w rolnictwie.

Zwracam również uwagę, że zasadności szczepień nie możemy analizować wyłącznie przez pryzmat chorób zakaźnych, których obecnie jest znacznie mniej. Powinniśmy to robić także w kontekście bezpieczeństwa. Trzeba mieć absolutną pewność, że korzyść z tych wszystkich szczepień przewyższa ryzyko skutków ubocznych, a tego obecnie stwierdzić nie możemy z powodu braku rzetelnych danych.

Zasadności szczepień nie możemy analizować wyłącznie przez pryzmat chorób zakaźnych, których obecnie jest znacznie mniej. Powinniśmy to robić także w kontekście bezpieczeństwa. Trzeba mieć pewność, że korzyść przewyższa ryzyko skutków ubocznych

dzieci. Jeden z autorów, William Thompson, ujawnił później, że w artykule celowo pominięto istotne statystyczne informacje. Thompson najpierw powiedział dr. Hookerowi, badaczowi autyzmu, o manipulowaniu danymi. Doktor Hooker ponownie przeanalizował surowe dane z badania CDC. Potwierdził, że ryzyko autyzmu wśród afroamerykańskich dzieci zaszczepionych przed ukończeniem drugiego roku życia było o 340 proc. większe niż u dzieci zaszczepionych później. Doktor Hooker opublikował swoje odkrycia w „Translational Neurodegeneration”. Jednak w ciągu kilku godzin od opublikowania przez CNN historii informatora z CDC artykuł Hookera został usunięty ze strony internetowej czasopisma. To wszystko sprawia, że wciąż jest wiele kontrowersji wokół związku szczepionki MMR z autyzmem.

I wreszcie: nie można bagatelizować wielu dowodów anegdotycznych. Osobiście znam rodziców, którzy wiązali pojawienie się objawów ze spektrum autyzmu ze szczepieniem MMR. Albo mamy zbiorową histerię ze strony rodziców, albo nauka poprzez wadliwe badania, liczne konflikty interesów i poprawność polityczną zakłamuje rzeczywistość.

na wadliwość badań, które stanowią podstawę dopuszczenia tych preparatów na rynek. My rzeczywiście nie wiemy, czy bardziej pomagamy czy może już bardziej szkodzimy. A co jeśli cały program szczepień ochronnych jest istotnym czynnikiem ryzyka wielu poważnych chorób u dzieci?

To prawda, że bezkrytyczni zwolennicy szczepień bardzo często przytaczają przykład eradykacji polio dzięki masowej immunizacji. Rzekomy sukces szczepionek w eliminacji polio jest tak mocno zakorzeniony w medycynie, że temat wydaje się zamknięty, bezdyskusyjny. Tymczasem mało kto wie, że istnieje spory materiał dowodowy, który podważa ten sukces. Pomimo intensywnych badań trwających od ponad 100 lat wiele najistotniejszych cech epidemiologicznych tej infekcji nadal jest zagadką. Na przykład: Dlaczego większość wczesnych ognisk polio miała miejsce na słabo zaludnionych obszarach wiejskich, a nie w dużych i zatłoczonych miastach? Dlaczego polio pojawiło się i nasiliło w okresie, kiedy śmiertelność i zachorowalność na większość chorób zakaźnych dramatycznie spadała? Dlaczego, w przeciwieństwie do innych chorób zakaźnych, pacjenci z polio praktycznie nie zarażają? Paraliż podobny do polio był dość rzadki w krajach rozwijających się w pierwszej połowie XX w. i stał się bardzo powszechny w drugiej połowie,

Z podaniem szczepionki wiąże się ryzyko wystąpienia objawów niepożądanych, lekkich i ciężkich. Czy znamy skalę tego zjawiska?

Nie znamy – z powodów, które przytoczyłem wcześniej. Brak jest badań porównujących poszczególne szczepionki z nieaktywnym placebo. Brakuje również danych porównujących stan zdrowia i śmiertelność dzieci szczepionych w ramach PSO z dziećmi, które nie są szczepione wcale. System monitorowania NOP po wprowadzeniu preparatów na rynek nie spełnia swojej roli. Badania wykazały, że zgłaszalność NOP może być poniżej 1 proc. Mamy za to rosnącą liczbę dowodów anegdotycznych w postaci świadectw rodziców, którzy raportują pogorszenie stanu zdrowia w związku czasowym ze szczepieniem.

Dlaczego wciąż nie mamy takiego rejestru NOP na wzór amerykańskiego VARES, gdzie pacjent sam zgłasza odczyn poszczepienny? W Polsce lekarz musi wypełnić ręcznie aż pięć kartek papieru, nie ma na to czasu, dlatego wiele NOP jest niezgłaszanych.

Mam wrażenie, że instytucjom odpowiedzialnym za realizację szczepień ochronnych nie zależy na optymalizacji systemu rejestrowania NOP. Nie ma również presji ze strony środowiska lekarskiego i ekspertów. Ogólnie jest przekonanie, że szczepionki są tak bezpieczne, że nie warto się interesować tym tematem.

Dlaczego wiele NOP jest niezgłaszanych? To wynika z wielu powodów. Jest ogólne przekonanie wśród personelu medycznego, że szczepionki są tak ważne, potrzebne i bezpieczne, że jak stan pacjenta pogorszy się w okresie miesiąca od zastrzyku, to „na pewno nie od szczepionki”, a nawet jeśli od szczepionki, to

Jednak powszechnie uważa się szczepienia za największe osiągnięcie medycyny: szczepienia

lepiej tego nie zgłaszać i nie nagłaśniać, bo to zniechęca do szczepień i jest wykorzystywane jako argument przez grupy antyszczepionkowe. Bo nie ma czasu na formalności związane ze zgłaszaniem odczynów poszczepiennych. Bo system jest tak skonstruowany, że formalne konsekwencje zgłaszania są bardziej uciążliwe niż niezgłaszania.

Dlaczego polskie dzieci dostają tak dużo szczepionek i szczepienia są obowiązkowe, gdy przykładowo w Niemczech czy Danii kalendarz szczepień jest mniej restrykcyjny, podaje się o połowę mniej szczepionek niż u nas i szczepienia są dobrowolne? W Polsce na rodziców uchylających się od szczepień nakładane są kary pieniężne. Rodziców, zamiast edukować, straszy się grzywnami.

Aż 19 krajów europejskich nie zmusza swoich obywateli do szczepień, nie ma tam szczepień obowiązkowych. Są wśród nich kraje o dużej liczbie niezaszczepionych uchodźców. Jeszcze pięć lat temu aż dziewięć krajów (Bułgaria, Francja, Węgry, Polska, Portugalia, Słowacja, Słowenia, Hiszpania i Szwajcaria) nie miało na szczepku krajowym polityki szczepień przeciwko odrze wobec imigrantów. Wiele krajów wysoko rozwiniętych ma

obowiązek szczepień są bardziej skuteczne i lepiej dofinansowane.

Szczepienie przeciwko meningokokom ordynuje się dzieciom w pierwszym roku życia, w trzech dawkach, z obawy przed infekcją i groźnymi powikłaniami w postaci ropnego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, które w 80 proc. kończą się śmiercią. Według lekarzy szczepienia znacząco eliminują ryzyko zachorowania i zgonu. Co pan radzi młodym rodzicom, którzy mają dylematy: szczepić dziecko czy nie?

Ta szczepionka nie pokrywa wszystkich serotypów meningokoków, a przypadki, w których szczepionka może uratować życie, są niezwykle rzadkie – właściwie kilka na milion, w porównaniu z innymi szczepieniami. Należy dodać, że to kolejna seria szczepień w i tak już napiętym harmonogramie szczepień dla dzieci. Przypominam ponownie, że brakuje danych oceniających bezpieczeństwo skumulowanej liczby szczepień. Co więcej, w przypadku tej konkretnej szczepionki nawet dowody na skuteczność są bardzo słabe; właściwie analizowano tylko immunogenność, a o skuteczności klinicznej wnioskowano więc pośrednio.

Spotykam się z opiniami lekarzy i naukowców, którzy twierdzą, że dzieci niezaszczepione są zdrowsze od tych zaszczepionych, z czym nie zgadza się całe mainstreamowe środowisko lekarskie, uznając, że korzyści wynikające ze szczepień przeważają ryzyko i są nie do przecenienia.

Po pierwsze, nie ma i prawdopodobnie nie będzie dobrze zaprojektowanych badań porównujących stan zdrowia i przeżywalność dzieci szczepionych zgodnie z harmonogramem PSO z dziećmi niezaszczepionymi w ogóle. Po drugie, brakuje kontrolowanych obojętnym placebo randomizowanych badań, oceniających skuteczność i bezpieczeństwo poszczególnych szczepionek. Bez takich danych możemy snuć tylko hipotezy.

Jest co najmniej kilka badań dotyczących niezaszczepionych dzieci w porównaniu ze szczepionymi, które wykazały, że w grupie zaszczepionej jest więcej przypadków m.in. alergii, astmy, z koniecznością objęcia kształceniem specjalnym, zaburzeń rozwoju, zaburzeń neurologicznych i innych chorób przewlekłych. Nie są to badania wysokiej jakości, co często jest wykorzystywane do dyskredytacji wniosków płynących z tych doniesień. Ale przecież badania dotyczące bezpieczeństwa szczepionek podawanych dzieciom, w tym noworodkom, tym bardziej nie są wystarczające, bo nie mają grupy kontrolnej, która nie otrzymuje żadnej szczepionki lub otrzymuje obojętne placebo.

Niepokojące wyniki płynące z badań szczepieni vs. niezaszczepieni powinny dać asumpt do przeprowadzenia badań o wysokiej jakości i wiarygodności, tymczasem ucieka się od tego tematu. A to jest podejrzane. Czy przypadkiem cena, którą płacimy za ochronę generowaną przez szczepienia, nie jest zbyt wysoka? Czy nie odbywa się to kosztem rosnącej zapadalności na wiele chorób przewlekłych w dzieciństwie, a także na późniejszych etapach życia? To wymaga pilnych badań, a nie uników i dyskredytacji osób, które zadają pytania i żądają odpowiedzi.

Niestety, problematykę szczepień dzieci to bardzo się upraszcza. Należy szczepić i już, nie zadawać pytań, nie analizować, a wyrażanie wątpliwości i dyskusja czyni z ciebie „antyszczepionkowca” – a ostatnio stajesz się nawet ofiarą lub nośnikiem „rosyjskiej propagandy”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czy cena, którą płacimy za ochronę generowaną przez szczepienia, nie jest zbyt wysoka? Czy nie odbywa się to kosztem rosnącej zapadalności na wiele chorób przewlekłych w dzieciństwie, a także na późniejszych etapach życia?

wysoki poziom wyszczepienia, co jest wykorzystywane jako argument, że nie trzeba tam obywateli dyscyplinować, w przeciwieństwie do krajów, w których społeczeństwo jest mniej ufne. Być może kraje bez obowiązku szczepień taki obowiązek wprowadzą, gdy poziom zaszczepienia zacznie spadać.

Myślę, że różnica w kalendarzach szczepień wynika z kilku innych czynników, w tym z sytuacji epidemiologicznej, a także szeroko pojętych relacji między grupami interesów przemysłu farmaceutycznego i przedstawicielami ochrony zdrowia poszczególnych krajów. Możliwe, że część krajów kieruje się zasadą, że przymus rodzi opór. A może kampanie promujące szczepienia w krajach bez

Ponadto potencjalna ochrona zapewnia przez szczepionkę jest wyjątkowo krótka – maksymalnie do pięciu lat.

Obawy budzi również możliwe zjawisko zastępowania serotypów szczepionkowych przez niezaszczepionkowe, co zaobserwowano przy szczepionce przeciwko pneumokokom. W mediach dosyć głośno było o historii chłopca, który zmarł mimo zaszczepienia przeciwko meningokokom. Przyczyną zgonu było zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych wywołanych przez serotyp, wobec którego szczepionka nie chroni. Austriacki lekarz, dr med. Johann Loibner, zauważył, że część jego pacjentów zaszczepionych przeciw meningokokom zmarła z powodu meningokokowego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych.



Łukasz Zboralski

Były polityk Janusz P. i celebryta Kuba W. usłyszeli zarzuty za reklamowanie wysokoprocentowych alkoholi w Internecie. Dlaczego właściwie nie wolno zachwalać wódki czy wina, ale piwo już tak?

Były polityk Ruchu Palikota i znany z TVN prezenter prowadzą razem spółkę, która zajmuje się sprzedażą wysokoprocentowych trunków. Od dawna na swoich profilach na Facebooku czy Instagramie pokazywali whisky, wódkę czy okowitę i zajmowali się ich publiczną konsumpcją. Nie zgadzał się z tym społecznik Jan Śpiewak, który zawiadomił w tej sprawie prokuraturę.

– Dlaczego to zrobiłem? No żeby ci ludzie przestali łamać prawo – mówi „Do Rzeczy” Jan Śpiewak. – To jest ważna społeczna sprawa. Są przepisy, które mają chronić dzieci, młodzież, ludzi w trudnej sytuacji psychicznej czy finansowej przed nachalną propagandą trucizny, którą niewątpliwie jest etanol. A skala procederu uprawianego w sieci przez P. i W. od ubiegłego roku przybrała monstrualne rozmiary. Oni byli tymi, którzy pokazali innym, że można wręcz mieć model biznesowy oparty na łamaniu prawa. Mam nadzieję, że poniosą za to konsekwencje.

Prokuratura potwierdziła, że wszczęła postępowanie po zawiadomieniu Śpiewaka. „Potwierdzono zarzuty dotyczące sprzecznej z obowiązującymi przepisami reklamy wysokoprocentowych napojów alkoholowych, na profilach w serwisie społecznościowym, należących do Jakuba W., Janusza P. i Tomasza Cz. To przestępstwo z art. 13 ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi” – tłumaczył „Super Expressowi” prokurator Marek Skrzetuski z Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Śledczy podkreślali, że profile obu panów w sieciach społecznościowych śledzone są przez wiele osób. Na przykład celebrytę TVN w sieci obserwuje nawet 1,5 mln osób.



Za niedozwoloną reklamę alkoholu w Internecie Januszowi P. i Jakubowi W. grozi wysoka grzywna

FOT. JUSTYNA ROJEK, PIOTR MOŁECKI/EAST NEWS



Małe piwo czy wielki problem

Za reklamę wysokoprocentowych alkoholi obu właścicielom spółki grozi grzywna, która – jak zapowiada prokuratura – sięgnąć może nawet pół miliona złotych.

CO JEST „DLA LUDZI”?

Celebryta TVN nie chciał o sprawie zarzutów rozmawiać z mediami. Za to Janusz P. odniósł się do wszystkiego w mediach społecznościowych. I rozpoczął dyskusję o tym, czy problemem jest wódka czy... ludzie.

„Donosiciel Jan Śpiewak złożył na mnie zawiadomienie do prokuratury. Ta, chcąc nie chcąc, musiała podjąć postępowanie. Dzięki temu uzyskałem możliwość przedstawienia swojego punktu widzenia na obecność alkoholu w przestrzeni publicznej” – napisał Janusz P. na Facebooku. I zaczął tłumaczyć: „Alkohol jest dla ludzi. Ale zawsze powtarzam – degustuj, nie chlej. Nigdy nie namawiałem i nie będę namawiał do picia alkoholu, ale nie widzę nic złego w tym, by dzielić się swoją wiedzą o alkoholach,

inspirować do ich nieoczywistych zastosowań w kuchni czy pokazywać miejsca i historie związane z alkoholem. Problemem nie jest alkohol sam w sobie – ten towarzyszy ludziom od zarania dziejów. Problemem są osoby, które nie radzą sobie i uciekają w alkohol lub zastępują nim wszystko inne w życiu”.

Jan Śpiewak widzi to inaczej. – Branża alkoholowa cieszy się wieloma przywilejami w Polsce, ma wręcz ciepłarniane warunki. Wódkę można kupić wszędzie, na każdym rogu i jest supertania – wylicza.

Obaj panowie mają sprzeczny pogląd na sprawę. Trzeba zauważyć, że sprzeczności czają się też w polskim prawie, które tę sferę reguluje. Polskie regulacje niejednoznacznie podchodzą do trunków – liczy się zawartość procentowa czystego alkoholu. Co do zasady zatem ogólnie zakazana jest reklama napojów alkoholowych (zawierających alkohol etylowy w stężeniu przekraczającym 0,5 proc.). Jednak Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi dodaje pewien ciekawy wyjątek – dla piwa. Ten napój alkoholowy reklamować można, choć przecież są na rynku piwa, które mają stężenie alkoholu większe niż wytrawne wina. I tu już widać brak logiki (czy może raczej czyjs skuteczniejszy lobbing?) – wystarczy spróbować odpowiedzieć sobie na pytanie, czy więcej ludzi upija się piwem czy wytrawnym winem.

Oczywiście reklama piwa jest dozwolona, ale obwarowana wieloma zastrzeżeniami. Nie może być „kierowana do nieletnich”, nie mogą w niej występować dzieci, nie może przekonywać, że alkohol leczy czy pomaga rozwiązać konflikty osobiste itd. No i jeszcze – w telewizji, radiu czy kinie można to puszczać jedynie po godz. 20 (i do 6 rano).

Kilka zastrzeżeń jest na tyle ciekawych – w polskim kontekście – że warto im przyjrzeć się bliżej. Otóż można w Polsce reklamować piwo, pod warunkiem że „nie łączy spożywania alkoholu ze sprawnością fizyczną” oraz „nie wywołuje skojarzeń z relaksem lub wypoczynkiem”. Ci, którzy oglądają piłkarską Ligę Mistrzów, natychmiast zauważą, że przecież od lat UEFA łączy sport (a to nie sprawność fizyczna?) z jedną, m.in. dzięki temu znaną powszechnie, marką

piwa. Nikomu to nie przeszkadza... Przy tym – czy chipsy i piwko na meczyku przed telewizorem to nie jest budowanie skojarzenia z relaksem i wypoczynkiem? I dalej – odnośnie do tego zakazanego skojarzenia – czy mało jest reklam np. piwa mającego w nazwie nazwę polskiego miasteczka z województwa podlaskiego, które uwidacznia, jak bardzo można zrelaksować się na łące i odpoczywać z piwkiem w ręku? Do tego stopnia, że ukuto w tych reklamach nawet powiedzenie podobne do „plażingu” – czyli słówka młodzieżowego oznaczającego wypoczynek na plaży.

Pokazywanie wódki w Internecie to prawny problem: czy zawsze ma to charakter publiczny?

Z jednej strony zatem surowo zabraniamy w ogóle reklamowania wódki, whisky czy wina, a przy wyjątku z reklamą piwa nikt nie kontroluje nawet łamania pewnych ram, w których ma być ono ukazywane. Czy to ma sens?

Dodajmy do tego prawdziwą strukturę ryzykownego spożycia alkoholu w Polsce. Z raportu WHO z 2018 r. wynikało, że Polacy najchętniej sięgali po piwo (55–56 proc. spożycia). Rzadziej po alkohole wysokoprocentowe (36 proc.) i wino (8–9 proc.).

Jeszcze lepiej widać to po wglądzie w „problemowe picie alkoholu” (spożywanie minimum trzy razy w tygodniu). Z raportu „Wzorce konsumpcji alkoholu. Studium socjologiczne” (Zakładu Realizacji Badań Społecznych Q&Q) z 2018 r. wynika, że – na przykładzie mieszkańców Gdańska – problemowe picie dotyczy najczęściej piwa (5,8 proc. dorosłej populacji miasta), potem wódki lub innego napoju spirytusowego (1,7 proc.) oraz wina lub szampana (1,1 proc.).

SZUKANIE DZIUR

Branża produkująca alkohole inne niż piwo od dawna szukała jakiegoś dojścia do klientów. Po to, żeby móc wygrywać w sprzedaży z konkurencyjnymi markami w swojej dziedzinie.

Ponad dwie dekady temu producent jednej wódki wypuścił w mediach reklamę... łódki. Pokazywano rzeczywiście istniejący jacht, a kapitan mówił o „mroźnym smaku prawdziwej przygody” oraz „łódce w łodzi”. Do słowa „łódka” – które w oczywisty sposób było dźwiękowo podobne do „wódka” – dodawano nazwę trunku.

Prawo załatało tę lukę. W art. 13 Ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi zakazuje się też reklamy pośredniej – czyli reklamowania produktów czy usług, których znak towarowy jest taki sam jak alkoholu czy do złudzenia go przypominający.

Pojawił się jednak nowy problem – z Internetem. Już w 2012 r. było widać, że Facebook przejmując reklamowy rynek mocnych alkoholi. Już wtedy informacje o nich pojawiały się 8 tys. razy częściej w mediach społecznościowych niż w prasie. Profile wódek zbierały setki tysięcy fanów, produkowały memy (kilka lat temu jedna z marek wódki użyła w kontekście upojenia alkoholowego zdjęcia człowieka śmiertelnie postrzelonego przez ZOMO w Lubinie w 1982 r.).

Wówczas prawnicy uznawali tę sferę za nie do końca uregulowaną. I do dzisiaj budzi to zresztą wątpliwości. Bo reklama musi mieć charakter publiczny – tak wynika z ustawy. Chodzi bowiem o publiczne rozpowszechnianie danych o napojach wysokoprocentowych. W przypadku Internetu prawnicy wskazują, że kwestia „publiczności” takich materiałów nie zawsze jest przesądzona. Ktoś może bowiem publikować treści tylko dla określonego grona odbiorców. Dlatego sprawa celebryty i byłego polityka będzie arcyciekawa, gdy dojdzie do jej rozstrzygnięcia przed sądem.

Dzisiaj pozostajemy z lekko rozchwianymi regulacjami i zakusami, by w ogóle zakazać reklamowania jakiegokolwiek alkoholu. Podczas zgromadzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Rozwiązywania Problemów Uzależnień w lutym tego roku wskazywano, że przemysł spirytusowy wykorzystuje do reklamowania produktów internetowych influencerów. Henryk Kowalczyk (PiS), wiceprzewodniczący zespołu, zaproponował, by także reklama piwa została „ograniczona czy nawet zlikwidowana”.



Jerzy Miziołek

Heliocentryczny diagram Kopernika, podobnie jak rysunek Leonarda da Vinci z człowiekiem wpisanym w koło i kwadrat, jest jednym z najważniejszych symboli renesansu. Czy nowy stosunek do Słońca znalazł odbicie w arcydziełach Giorgionego, Michała Anioła i innych artystów?

Jak przystało na prawdziwego człowieka renesansu, Mikołaj Kopernik był nie tylko astronomem, matematykiem, prawnikiem, lekarzem, znawcą ekonomii i obronności (bronił zamku w Olsztynie przed atakami Krzyżaków), lecz także pociągało go malarstwo. Jeden z polskich badaczy jego dokonań wysunął nawet przypuszczenie, że w czasie studiów w Bolonii pobierał lekcje malarstwa u słynnego wówczas artysty Francesca Francii.

Pierre Gassendi, biograf naszego astronoma, tak pisał w połowie XVII w.: „Dbał o to, aby poznać wszystkie obszary wiedzy, i tak oto poświęcił się badaniu perspektywy, a przy tej okazji zainteresował się malarstwem. Stał się tak doświadczony, że, jak się mówi, doskonale wykonał swój portret, używając lustra. Ponadto radzono mu, aby przedstawiał wszystko, co miał na myśli. Kiedy podróżował, zwłaszcza po Włoszech, wyrażał to, co jest godne uwagi, nie tylko przez szkicowanie, lecz także jak najbardziej przez malowanie”.

Słowa te znajdują potwierdzenie, przynajmniej częściowe, w inskrypcji towarzyszącej wizerunkowi Kopernika na zegarze katedry w Strasburgu z 1571 r. Widzimy tu jego postać prawie naturalnej wielkości z tablicą, na której płaszczyźnie widnieje napis: „Prawdziwy wizerunek Mikołaja Kopernika wykonany według jego autografu”. Píše o nim również Conrad Dasypodius, autor programu ikonograficznego zegara: „Portret przedstawia wspaniałego uczonego, matematyka Mikołaja Kopernika, i jest prawdziwą

Kopernik i uniwersum sztuki



Czy na obrazie „Trzej filozofowie” Giorgione uwiecznił zapatrzonego w Słońce młodego Kopernika?

FOT. MUZEUM HISTORII SZTUKI W WIEDNIU

kopią podobizny, przekazanej z Gdańska przez wielce szanownego uczonego, dr. Tidemanna Gyse’a. Portret został odwzorowany jak najdokładniej z oryginału przez Tobiasa Stimmera”. Niestety, oryginał autoportretu zaginął, ale jego strasburską kopię powieliły liczne ryciny,

utrwalając tym samym, w wielkiej ilości adaptacji i powtórzeń, charakterystyczne oblicze astronoma, które wszyscy znamy. Istnieją też ślady działalności Kopernika w zakresie sztuki rysowania; są nimi proste szkice w rękopisie „De revolutionibus” i przede wszystkim prawdziwe



mokatty, wydanych w Krakowie w 1509 r. W dedykacji czytamy: „Nie zdołali [dawni astronomowie] wyprowadzić rzeczy najważniejszej, mianowicie układu wszechświata i ustalonego porządku jego części, lecz przytrafiło się im to samo, co komuś, kto by to stąd, to zowąd wziął ręce, nogi, głowę i inne części ciała i namalował je, co prawda, bardzo dobrze, ale tak, że w odniesieniu do jednego i tego samego ciała nie odpowiadałyby sobie nawzajem i powstałyby z nich raczej jakiś dziwoląg niż obraz człowieka”. Słowa te zdają się sugerować, że ich autor dobrze znał rysunki Francesca di Giorgia Martiniego i Leonarda da Vinci ukazujące człowieka wpisanego w koło i kwadrat.

Innym przykładem związków naszego astronoma ze światem sztuki jest odcisk gemmy antycznej, najprawdopodobniej wprawionej w sygnet, zachowany na kartach jego listów. Gemma przedstawiała nagiego Apollina z lirą, a więc wyobrażenie bóstwa słonecznego, pojmowanego jako źródło harmonii kosmosu. Symbolika gemmy komponuje się znakomicie z zawartością „De revolutionibus”, w którym przenikają się wątki myśli artystycznej i estetycznej, tak charakterystyczne dla epoki renesansu; odnoszą się do prostoty, doskonałości i harmonii, będących wykładnikami piękna.

Nasuwa się pytanie, czy tzw. rewolucja kopernikańska – która tak ogromnie zmieniła wizję Kosmosu i dała Słońcu należne mu miejsce – wpłynęła na kulturę artystyczną renesansu i późniejszych czasów. Już wielokrotnie próbowano odpowiadać na to pytanie, wskazując na dzieła nie tylko Giorgionego i Michała Anioła, lecz także Tintoretta. Warto jednak pamiętać o słowach Galileusza, który w liście do Keplera, wielkiego wyznawcy heliocentryzmu, pisał, że i on „od wielu lat pracuje w duchu tej teorii, nie może jednak odważyć się na ogłoszenie swych wywodów z obawy przed losem Kopernika, który, choć sobie u niektórych nieśmiertelną zdobył sławę, niestety, u niezliczonych (taka jest bowiem liczba głupców) spotkał się z ośmieszeniem i potępieniem”.

A jednak kopernikańskie zachwyty nad Słońcem i jego blaskiem, głoszone zapewne już w czasie studiów w Krakowie i na włoskich uniwersytetach, miały swoją moc. W marcu 1514 r. Maciej

z Miechowa odnotował istnienie „Commentariolusa” („Małego komentarza”) autorstwa Kopernika, zawierającego tę oto myśl: „Wszystkie sfery krążą wokół Słońca”. Dzięki Kopernikowi nasza życiodajna gwiazda przestała być płaską tarczą o złocistych promieniach, a stała się rozpaloną do białości ognistą kulą – jak m.in. w „Bitwie pod Issos” Altdorfera.

MĘDRCY ASTRONOMOWIE

Być może jeszcze w czasie, kiedy Kopernik studiował w Padwie i pracował nad doktoratem w Ferrarze (1503), znakomity włoski malarz Giorgione rozpoczął malowanie obrazu z trzema mędrkami i jarzącym się złotym światłem wywołującym szczególny, nieznany wcześniej nastrój. W 1525 r. w domu Taddea



Wizerunek Kopernika według Tobiasa Stimmera, stworzony przed 1574 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

arcydzieło w postaci wspomnianego już diagramu.

Odniesienie do malarstwa odnajdujemy u Kopernika w dedykacji „De revolutionibus” papieżowi Pawłowi III i w przekładzie „Listów moralnych” wczesnobizantyńskiego poety Teofilakta Sy-

Contariniego w Wenecji kronikarz Marcantonio Michiel oglądał wśród innych dzieł ten właśnie obraz i tak go opisał: „Płótno malowane olejnem, trzech filozofów w pejzażu, dwóch stojących, jeden siedzący, który kontempluje promienie słoneczne, z ową skałą oddaną tak cudownie, zaczęte było przez Zorziego [Giorgio] da Castelfranco, a ukończone przez Sebastiana Wenecjanina”. Filozofowie wydają się być astronomami. Najstarszy z nich trzyma w jednym ręku kartkę papieru, na której widnieją skomplikowane obliczenia astronomiczne i napis (w tłumaczeniu): „Celus = niebo”, podczas gdy w drugiej ręce dzierży kompas. W centrum znajduje się mężczyzna ubrany w orientalny strój. Trzeci to młodzieniec ubrany w tunikę przypominającą ubiór starożytnych Greków; w rękach trzyma kompas i kwadrat, patrząc w niemal mistyczny uniesieniu na promienie Słońca. Czy rzeczywiście jest to młody Kopernik, jak sugerują niektórzy badacze?

Jest to prawdopodobne, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że Contarini, właściciel obrazu i sam malarz byli ludźmi wykształconymi, dobrze znającymi przyrządy do badań astronomicznych. Giorgione przedstawił je m.in. we freskach w jednym z domów w Castelfranco Veneto. Odniesienia do astronomii w omawianym obrazie kierują myśl ku Trzem Królom, ale najbardziej prawdopodobna jest identyfikacja „trzech filozofów” z Arystotelesem, Ptolemeuszem i Kopernikiem. Młody filozof Giorgione, odwrócony od dawnych, starożytnych autorytetów – twórców teorii geocentrycznej, kontempluje promienie słoneczne, szukając własnych, nowatorskich rozwiązań.

Przedstawienia tych astronomów, choć w nieco innym ujęciu, cieszyły się wielką popularnością w kolejnych wiekach. Odnajdujemy je m.in. we frontyspisie dzieła Galileusza „Dialog o dwu najważniejszych układach świata: ptolemeuszowym i kopernikowym” z 1632 r. Pomimo fantazyjnego przedstawienia Kopernika z brodą dostrzegamy w jego ręku nowy atrybut, będący symbolem wielkiego odkrycia, promienną tarczę Słońca z orbitą Ziemi i krążącym wokół Księżycem; wszystko razem konstrukcyjne połączone jest krzyżem i osadzone na trzonku. Zaledwie trzy lata po włoskim wydaniu dzieła Galileusza ukazało się



Frontispis dzieła Galileusza „Dialog o dwu najważniejszych układach świata: ptolemeuszowym i kopernikowym”, XVII w. FOT. BUW



Wojciech Gerson, „Kopernik wykładający astronomię w Rzymie”, 1877 r., rycina, fragment

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

kolejne, opublikowane w Holandii; tym razem oblicze naszego astronoma jest już takie, jak na zaginionym autoportrecie, rozpowszechnionym przez ryciny.

Niezwykle interesujące jest to, że w kolejnych wydaniach „Dialogu...” Kopernik coraz bardziej dominuje wzrostem nad Arystotelesem i Ptolemeuszem, będąc niezmiennie ustawiony z prawej strony. Ponadto jego atrybut z tarczą Słońca w centrum, pierwotnie opuszczony w dół, podnoszony jest coraz wyżej, aż wreszcie w kolejnych wydaniach najważniejszej książki Galileusza jest triumfalnie podniesiony do góry. Na przykładzie tej jednej, ciągle modyfikowanej, ryciny możemy zaobserwować, jak dzięki badaniom Keplera, Galileusza i wreszcie Newtona sys-

tem solarny Kopernika stawał się prawdą coraz powszechniej znaną i akceptowaną.

SYKSTYŃSKI REFLEKS TEORII

Wróćmy do czasów Kopernika. Już w 1533 r. główne tezy „De revolutionibus”, dedykowanego papieżowi Pawłowi III, były prezentowane jego poprzednikowi, Klemensowi VII, który zamówił fresk na ścianę ołtarzową kaplicy Sykstyńskiej. Jest prawdopodobne, że kopernikańska wizja Uniwersum znalazła tu swoje spektakularne odbicie, o czym w swoim doktoracie z 1926 r. napisała Karolina Lanckorońska. „Istotnym komponentem całości »Sądu Ostatecznego« – czytamy w jej rozprawie – jest ruch. Ruch staje się podówczas pojęciem podstawowym w obrębie naszej kultury. W tych samych bowiem latach daleko od Rzymu, w innej części Europy, w innym rodzaju twórczości, człowiek odkrywa, czym jest ruch i pisze »De revolutionibus«”. Kilka lat później Charles de Tolnay, który wielokrotnie powoływał się w swoich publikacjach na badania Lanckorońskiej, poszedł o krok dalej, stawiając hipotezę, że Michał Anioł mógł w swoim arcydziele dać refleks wiedzy o teorii heliocentrycznej: oto Chrystus-Słońce sprawiedliwości jaśnieje wielkim blaskiem w centrum kosmicznego wiru.

Zarówno polska badaczka, jak i inni jej współcześni również w twórczości wielkiego Wenecjanina – Tintoretta – zafascynowanego arcydziełem Michała Anioła dostrzegli odbicie myśli astronomicznej Kopernika. „Oto światło – pisze Lanckorońska o »Raju« Tintoretta w Pałacu Dożów – w miarę oddalania się od widza, pokrywa postacie coraz to gęstszą mgłą świetlną, co daje wrażenie niezmierną dali, a sieć promieni obejmuje cały obraz aż po ostatnie jego brzegi. Chrystus jest jakby Słońcem, dającym światło wszystkim tym niezliczonym planetom, krążącym wokół niego. Światło gra tu podobną rolę jak ruch, centralizuje całą kompozycję w Chrystusie”.

Podobne myśli o późnym dziele Tintoretta (zmarł w 1597 r.) – „Ostatniej Wieczery” – znajdziemy w rozważaniach Ottona von Simsona, ogłoszonych w materiałach sympozjum z okazji 500-lecia urodzin Kopernika.

To nowe, kopernikańskie myślenie o Kosmosie i gwiazdach objawia się też

we wczesnym dziele weneckiego malarza, w jego pełnym światła „Powstaniu Drogi Mlecznej”. Od momentu ogłoszenia teorii heliocentrycznej, pomimo długiej drogi do pełnej jej akceptacji, odmieniała ona powoli, ale z wielką mocą wizję Kosmosu i kultury artystycznej, choć w przypadku dzieł sztuki nie zawsze jest to łatwo dostrzegalne. Popatrzmy zatem jeszcze na „Stworzenie Słońca i Księżyca na sklepieniu” kaplicy Sykstyńskiej, by sobie uświadomić, że i tu nasza życiodajna gwiazda, malowana przez Michała Anioła tuż po 1510 r., stała się piękną, majestatyczną, jaśniejącą wielkim blaskiem kulą.

Jerzy Joachim Retyk, jedyny uczeń Kopernika, tak pisał o swoim mistrzu w „Narratio prima”, wydanej w 1540 r.: „Pan doktor i nauczyciel mój w Bolonii, nie tak bardzo uczeń jak raczej pomocnik i świadek obserwacji wybitnego uczonego Domenico Maria [Novara], w Rzymie zaś, ok. 1500 r., w wieku mniej więcej 27 lat, wśród wielkiej ciżby studentów i w gronie dostojnych mężów i fachowców w tej dziedzinie nauki, jako profesor astronomii, wreszcie tu w Warmii, żyjąc swoimi studiami, z największą starannością zapisał swe obserwacje”. Idąc śladem tej opowieści, Wojciech Gerson namalował na 400-lecie urodzin naszego genialnego astronoma obraz, który został natychmiast powielony w Polsce i we Włoszech w licznych rycinach. Oto młody Kopernik, „wśród wielkiej ciżby studentów i w gronie dostojnych mężów i fachowców w tej dziedzinie nauki [astronomii]” prowadzi wykład. Wśród słuchaczy dostrzegamy piękne, brodate oblicze Leonarda da Vinci i głęboko zamyślnego Michała Anioła. Jest w tym obrazie odrobina fantazji, ale w rzeczywistości coś takiego mogło się zdarzyć. Siła przyciągania się osób genialnych jest znana, choć niekiedy dotyczy tylko sfery myśli, zwłaszcza wówczas, gdy mają moc zmieniania wizji świata. Wszystkie wspomniane tu dzieła – „Człowiek witruwiański” Leonarda da Vinci, diagram „solarny” Kopernika i „Sąd Ostateczny” Michała Anioła – łączy ta sama myśl o centrum, w którym jest to człowiek, to Słońce, to Chrystus jako światłość świata.

OD MATEJKI DO WYSPIAŃSKIEGO

O Koperniku i jego wiekopomnym odkryciu najpiękniej opowiadają dzieła

malarskie Jana Matejki i jego ucznia Stanisława Wyspiańskiego. Wielki obraz pierwszego z nich, „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem” z 1873 r., z ekstatyczną, jak w wizerunkach św. Franciszka, pozą i diagramem „solarnym” znakomicie opisał Józef Szujski, znany historyk krakowski: „I ku ramionom wzniesionym w zachwycie / Spłynęła ku mnie tajemnica Pana / Spłynęło ku mnie wielkie światła życie! / To, co się w cyfrach i piśmie łamało / Jedna mi chwila podała natchnienie / Natchnienie szatę pewności przybrało / W dowód urosły moje przypuszczenia / Z ziemią, co niosła myśl moją skrzydlatą / Czułem ruch w przestrzeń, ku słońcom, ku światom”.

Obraz Matejki zelektryzował całą Polskę, nieobecna wówczas na mapie świata; poruszył zwłaszcza uczniów jego twórcy. Z czasem znalazł się wśród nich również Wyspiański, wszechstronny geniusz, który w 1904 r. wykonał projekt ogromnego witraża z przedstawieniem Apolla-Słońce pośród siedmiu planet.



Stanisław Wyspiański, „System solarne Kopernika”, pastel, projekt witraża, 1904 r., Muzeum Narodowe w Krakowie

FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

Centralnym elementem kompozycji jest monumentalna postać Apolla, podobna do tej na sygnecie Kopernika. Bóg światła, patron sztuk plastycznych, nauki i medycyny, otoczony wirującymi sferami z personifikacjami planet, jawi się jako bóg-Słońce. Jego oblicze, klatka piersiowa i instrument jaśnieją wielkim blaskiem intensywnego żółcienia płonącego pośród wielu odcieni błękitu. Mimo że Wyspiański zaburzył układ planet, oddzielił męskie od żeńskich (umieścił po lewej Saturna, Jowisza, Marsa i Merkurego, a po prawej, poniżej, Wenus, Księżyc i Ziemię deptaną przez Słońce), jego kompozycja klarownie odnosi się do głównej tezy „De revolutionibus” i jest hołdem złożonym wielkiemu osiągnięciu polskiej nauki. Julian Nowak, prezes Towarzystwa Lekarskiego, tak sformułował swoje oczekiwania: „Pragniemy, by witraż ten Kopernikowi był poświęcony, a to z tego tytułu, że dom nasz jest przybytkiem polskich nauk przyrodniczych i ma objąć także towarzystwo imienia Kopernika”.

Zarówno Wyspiański, jak i jego renesansowi idole, Michał Anioł i Rafael, zabłysnął i tym razem potęgą wyobraźni. Piękny, pełen głębokiej symboliki projekt „Systemu solarne Kopernika” dla siedziby Towarzystwa Lekarskiego wpisano w światło witraża w 1905 r. Uległ zniszczeniu 40 lat później, pod koniec drugiej wojny światowej; został zrekonstruowany w latach 60. XX w. i ponownie, w ostatnich latach, przez Piotra Ostrowskiego. Wraz z jego pastelowym modelem przypomina o wiekopomnym odkryciu Kopernika i zachęca do kolejnych kroków w eksploracji Wszechświata, odkrywaniu innych galaktyk i ich słońc. Wyspiański poszedł twórczo w ślady swego mistrza Matejki w czczeniu wielkiego astronoma, ale dzięki szerokiej wiedzy i wrażliwości na mistyczne światła witraży wykonał arcydzieło jedyne w swoim rodzaju. Oto doskonała wizualizacja słów z I księgi „De revolutionibus”: „Środek zajmuje właśnie Słońce... Odnaleźliśmy zatem w tym porządku zadziwiający ład świata i ustalony, zharmonizowany związek między ruchem a wielkością sfer, jakiego w inny sposób odkryć niepodobna. Tak zaprawdę jest to boskie arcydzieło Istoty Najlepszej i Największej”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRODUKOWE

Żywot Malcolma



Piotr Gociek

„Polacy to też Murzyni, tylko biali” – pisał przed laty Sławomir Mrożek. Teza wciąż aktualna – co pokazuje komediowy serial „Emigracja XD”

Wiele się musi zmienić, żeby wszystko pozostało po staremu – mazowieckie miasteczko, w którym urodził się Malcolm, wkroczyło w kapitalizm, organizuje festyny agrestu zamiast żarcia kielbasy na czas, a wódkę kupić można nie na kartki, lecz bez ograniczeń. Cóż z tego, skoro gdy człowiek marzy, żeby porządnie zarobić, to i tak musi wyjechać? Im dalej, tym lepiej. Najlepiej za granicę. Kiedy więc przyjdzie okazja (właściwie inaczej – gdy nadejdzie konieczność w postaci poważnej gryzyny

do zapłaty), nasz bohater wyruszy do Londynu, zwanego pieśzczotliwie Łądkiem. Nie jest sam – w drogę Malcolm wyrusza ze swoim druhem o ksywie Stomil.

Droga będzie długa i pełna czasem absurdalnych zakrętów, bo biednemu zawsze wiatr w oczy wieje. A także z powodu takiej, a nie innej formy literackiego oryginału, wedle którego powstał serial „Emigracja XD”, który oglądać możemy w CANAL+. Książkę pod tym samym tytułem wydał w roku 2019 ukrywający się pod pseudonimem Malcolm XD, gwiazda internetowych... no właśnie, tu wahanie. Najchętniej użyłbym słowa „gawęd”. Ale przecież wiele się musi zmienić, żeby wszystko pozostało po staremu – dziś takie pełne dywagacji i humoru opowieści (zwykle pełne ryzykownego humoru i obficie czerpiące z rzeczywistości) zwie się „cypypastami” albo „pastami”.

IDEALNA FORMA

Jak czytamy na stronie Obserwatorium Językowego Uniwersytetu Warszawskiego: „Cypypasta lub pasta to (najczęściej

krótka i zabawna) historia w formie tekstowej, kopiowana i rozpowszechniana w Internecie (głównie w mediach społecznościowych). Słowo używane najczęściej przez młodych użytkowników Internetu”. Cóż, jako dziecię wychowane przed powstaniem Internetu, odtwarzacza DVD, a nawet VHS pamiętam dobrze niekończące się anegdoty, które niektórzy potrafili opowiadać godzinami, pamiętam podziw dla osobników snujących godzinami niestworzone historie. A jako pożeracz książek miałem okazję czytać wszelkie rodzaje opowiadań, gawęd, anegdot – znalazłoby się wśród nich miejsce i dla „cypypasty” – i nikt nie zauważyłby różnicy. Jeśli z kolei jesteście zaznajomieni z amerykańskim stand-upem, to orientujecie się doskonale, że długi, pełen dygresji i skatologicznego humoru monolog wytrawnego komika jest dokładnie taką formą, jaką rzekomo odkryli autorzy „cypypast”. Ale skoro piszą do Internetu, to doczekali się własnego terminu. I nie mówcie mi proszę, że to dlatego, że inni z założenia mogą kopiować, podawać

dalej ich opowiadanki. Anegdota i gawęda też funkcjonują w ten sposób – nawet bez Internetu.

Tak czy inaczej forma „Emigracji XD” (jednego z bestsellerów roku 2019), czyli rozwlekłej anegdoty pełnej pomniejszych anegdot, okazuje się idealnie dostosowana do potrzeb komediowego serialu. Krótkie 25-minutowe odcinki mają własne ramy fabularne, wewnątrz których pojawiają się drobniejsze historyjki – opowieść w opowieści, żart w żarcie. Trzeba to było jednak z tekstu książki wydobyć i umiejętnie skompresować, wyciąć niepotrzebne wielosłowie. Jako autorzy scenariusza figurują sam Malcolm XD oraz Łukasz Kośmicki. Nie wiem, który z nich miał na ostateczną formę wpływ decydujący, ale wiem, że się udało. „Emigracja XD” to jeden najzabawniejszych polskich seriali nakręconych po 1989 r. Dialogi są dobre, tempo i timing komedii – odpowiednie, Kośmicki pokazuje, jak dobrym jest reżyserem, a aktorzy – że sroce spod ogona nie wypadli. Zwłaszcza Tomasz Włosok jako Malcolm i Michał Balicki jako Stomil, którzy niosą na swoich barkach tę komedię, tę tragikomię, tę komedię ludzką.

Bohaterowie „Emigracji XD” budzą naszą natychmiastową sympatię, choć z różnych powodów. Malcolm to chłopak o dobrym sercu, który zawsze chciałby postąpić, jak należy, i którego życie płazuje za to po tyłku. Stomil to ten typ kumpla, którego chyba każdy z nas pamięta ze szkoły, studiów albo z sąsiedztwa – wieczny imprezowicz, który intelektualne braki nadrabia zaradnością, ma niebawym talent do pakowania się w kłopoty oraz emanuje buńczucznością typu „my ze szwagrem po pijaku to nie takie rzeczy...”. Malcolm wiecznie się czymś przejmie, Stomil zawsze jest optymistą, nawet kiedy zamieszka na śmietniku na tyłach Piccadilly Circus.

Kapitałna jest galeria postaci drugoplanowych: w swojej emigracyjnej odysei Malcolm i Stomil poznają kierowców tirów, romskich przekręciarzy bawiących się w oscylator finansowy przy pomocy kupna i sprzedaży w kółko tych samych furgonetek, holenderskich policjantów, mieszkańców londyńskiego squatu, szemraną ekipę prowadzącą klub go-go, riksarzy, wyrokowców, latynoskich handlarzy ziołem itd. Ponieważ – jak wiadomo

– gdzie diabeł nie może, tam Polaka pośle, nieustannie natykają się na rodaków: łapiąc autostop, na niemieckiej stacji benzynowej, w arabskim burdelu (byłym, byłym burdelu), pod wiaduktem w Londynie itd. Ważna wiadomość dla tych, którzy nieco się niepokoją, czytając te słowa – tak, wiem, że twórcy kultury III RP zwykli śmiać się nie z Polaków, lecz z Polaczków, to znaczy karykatury, którą najpierw tworzą we własnej imaginacji. Na szczęście twórcy „Emigracji XD” nie poszli tą drogą.

To wydaje mi się w serialu Kościckiego najciekawsze i najbardziej świeże – a jednocześnie pasujące do współczesnych tendencji w popkulturze pochyla się nad skrzywdzonymi i poniżonymi. Odwołam się do dwóch głośnych cytatów z Mrożka. Monolog Malcolma wygłoszony w londyńskim squacie przywodzi na myśl słynny fragment „Monizy Clavier”: „– O tu, wybili, panie, za wolność wybili! – Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, patrzyli na mnie, nie mogąc zrozumieć, o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako pogładowy, cierpienia mojego narodu. To, że najwidoczniej nie doceniali martyrologii, bardzo mnie rozgniewało”. Malcolm brzmi podobnie, próbując przekonać zgromadzenie mieszkańców londyńskiego squatu, że Polacy to nie uprzywilejowani biali, lecz ofiary zaborów i potopu. W dodatku odnosi sukces! Jego litania krzywd przeważa nad opinią przemądrzałego lewicowego profesorka, który przybyszom z „innej Europy” odmawia pomocy”. Bo tak naprawdę przesłanie Malcolma – i dobre określenie na los bohaterów serialu – znajdziemy w innym cytacie z Mrożka: „Polacy to też Murzyni, tylko biali”.

SERCE PO WŁAŚCIWEJ STRONIE

„Emigracja XD” nie jest bowiem opowieścią o tępych Polakach w wielkim świecie ani o nietolerancyjnych ciemniakach bezradnych w zetknięciu z innymi kulturami (choć oczywiście obowiązkowo musiał się znaleźć na ekranie troglodyta bijący po mordzie, którego troglodyckość rozpoznajemy po koszulce z orłem i napisem „Polska” – jakżeby inaczej mieszkańcy Miasteczka



**„EMIGRACJA XD”
POLSKA 2023**

Wilanów rozpoznali, że to serial ze stacji dla młodych wykształconych z wielkich ośrodków). Pracowici i zaradni, ale zarazem pechowi i wiecznie wpadający w tarapaty Malcolm i Stomil nie są symbolem Polaka na obczyźnie. Ważniejsze jest co innego. Granica nie przebiega między „tu” i „tam”, ale między tymi, którzy mają i nie mają, między uprzywilejowanymi i próbującymi jakoś związać koniec z końcem. Bohaterów tyleż samo łączy z ziomkami, co i ze słowacką striptizerką, pakistańskim riksaszem, a nawet holenderskimi policjantami.

Przeżabawna, ale i mądra jest scena, w której ci ostatni organizują popisową akcję, by zatrzymać domniemanych handlarzy narkotykami. Gdy nie znajdują narkotyków, proszą zatrzymanych Polaków, żeby chociaż coś napisali rasistowskiego w toalecie, bo holendrecy mundurowi muszą jakoś uzasadnić swoje istnienie, tym czasem komenda w Eindhoven chce zlikwidować ich posterunek. Biedni Holendrzy, Polacy, Pakistańczycy, Słowacy – wszyscy są po tej samej stronie przeciw bogatym i przeciw systemowi. Są nowym wcieleniem trampla Chaplina czy pechowca o smutnej twarzy – Bustera Keatona. Serce mają po właściwej stronie, starają się, jak mogą, harują, kombinują, ryzykują, ale szklanego sufitu, który dzieli ich od tych, którzy żyją syto i szczęśliwie, przebić jakoś nie mogą.

„Słuchać i patrzeć na różnych obcych ludzi zawsze lubiłem dlatego, że potem od tego wrywka, który się zobaczy i usłyszy, można dorobić całą historię” – wyznawał narrator i bohater książki „Emigracja XD”. Można je bez wątpliwości przyjąć za twórcze motto autora kryjącego się za pseudonimem Malcolm XD. Dzięki temu słuchowi (oraz talentowi Łukasza Kośmickiego, który wiedział, co z zasłyszanych i wymyślonych opowieści ulepić) nowy serial CANAL+ okazuje się wyborną komedią charakterów. Możemy mu więc wybaczyć istotną wadę – że wszystko to nie układa się w jakąś większą spójną historię. Ale gawędy mają to do siebie, że ich istnienie jest uzasadnione przez sam fakt opowiadania. „Copypasty” też.



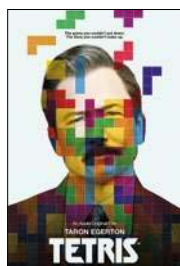
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Gra z Rosją



★★★★★
REŻ. JON S. BAIRD
„TETRIS”
USA 2023

wyst. Taron Egerton,
 Mara Huf, Toby
 Jones

Historia ta jest mniej więcej prawdziwa, choć na potrzeby filmu trzeba ją było odpowiednio skrócić i udukatyzować. Bo w końcu ile dramatyzmu jest w wysyłaniu faksów i nasiadówkach w salach konferencyjnych? Tak, jedna z najpopularniejszych gier w dziejach świata, czyli Tetris, jest dziełem znużonego sowieckiego programisty. I owszem, historia tego, jak trafiła pod strzechy, pełna jest zakrętów i wybojów. Co ciekawe, kluczowa scena, która wyda się niejednemu widzowi wymyślona, jest prawdziwa: zrzędzeniem losu (i zgodnie z regułami wolnej konkurencji) w pewnym momencie w Moskwie trzech konkurentów walczyło o międzynarodową licencję tego samego dnia, nie

wiedząc nawzajem o obecności innych.

Jeden z tych konkurentów jest głównym bohaterem filmu Jona S. Bairda: Henk Rogers (Taron Egerton) programista, gracz i przedsiębiorca, którego poznajemy w chwili, gdy stoi u progu bankructwa. Komputerowa wersja gry pochłonęła jego kapitał, ale nie przyniosła zysków. Tetris ma być przełomem i wprowadzić Henka do świata poważnych inwestorów. Tyle że takie same plany ma szermir magnat medialny Robert Maxwell, w którego imieniu działa syn Kevin. Maxwell jest miliarderem, ale w poważnych kłopotach; sukces Tetrisa dałby mu chwilę oddechu (i przywrócił finansową płynność). Jest też Robert Stein



(kolejna świetna rola drugoplanowa Toby'ego Jonesa), który po prostu chce mieć licencję, żeby zarabiać jako pośrednik. Ale nie w tej grze o ową grę nie będzie łatwe – Związek Sowiecki to nie jest normalny kraj, więc nie mogą takie być negocjacje.

Żeby to wszystko uatrakcyjnić, scenarzysta Noah Pink wyeksponował wątek rodzinny (dość rutynowo: kolejna opowieść o człowieku, który tak kocha pracę, że nie wystarcza mu czasu dla bliskich), dołożył pościgi i mordobicia w Rosji. Jednak to pojedynek na kontrakty pozostaje tu najciekawszy, podobnie jak zasygnalizowany wątek przyjaźni między amerykańskim inwestorem a sowieckim programistą. Większość scen moskiewskich ciekawa będzie jedynie dla zachodniego widza – my wiemy, że było gorzej. Brytyjski magnat Maxwell jest tu potworem większym od Gorbaczowa, a przecież w odróżnieniu od Gorbiego nie kazał nikomu strzelać do pokojowych manifestantów. ©



NOWE SERIALE: „RÓJ”

Widzieliśmy już rozmaite opowieści o obsesjach fanów, „Rój” wyróżnia się jednak, bo wychodzi poza relację fan – idol. Nie obsesja jest najważniejsza, lecz obraz świata, który doprowadza do tego, że jedynym bezpiecznym miejscem dla młodego człowieka wydaje się fantazja.

Bohaterka w imię obrony dobrego imienia ukochanej wokalistki posuwa się do czynów strasznych. W tym odnajduje uzasadnienie swego istnienia, którego ani rodzice, ani szkoła, ani religia dać jej nie mogły – bo ich w jej życiu nie było. © © **Piotr Gociek**
 • miniserial „Rój” („Swarm”), USA 2023

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 4 „Barry”, USA 2023



• „Awantura” („Beef”), USA 2023



• sezon 2 „Pola krwi” („Bloodlands”), Wielka Brytania 2022



Dziura w bucie

KINO

Na początku lat 60. minionego wieku w Mediolanie budo- wano wieżowce i urządzano pokazy mody, w Kalabrii zaś ludzie nadal żyli w zgodzie z naturą. O tym, co dzieje się w wielkim świecie, wspania- łościom informowała ich telewizja (w interiorze od- biornik był dobrem rzadko spotyka- nym). Tymczasem grupa młodych speleologów z Pół- nocy wyprawiła się w masyw Monte Pollino, położony prawie na samym końcu włoskiego buta. Lekceważąc to, że człowiek nie jest kretem, postano- wili spenetrować miejscową grotę z użyciem nowo- czesnego, jak na tamte czasy, sprzętu. W celu zorientowa- nia się, jak głęboka jest czeluść, ciskali w nią kamienie i płonące gazety.



★★★★★
REŻ. MICHELAN-
GELO FRAMMAR-
TINO
„POD ZIEMIĄ”
 („IL BUCO”)
WŁOCHY/
FRANCJA/NIEMCY
2021
wyst. Nicola Lanza,
Antonio Lanza,
Leonardo Larocc

Równoległy (i, jak się zdaje, ważniejszy) jest wątek sędzi- wego pasterza, do którego królestwa wtargnęli intruzi – naukowcy.

„Pod ziemią” to film hipno- tyzujący, już od pierwszego kadru perfidnie atakuje wra- żliwość oglądającego. Okazuje się, że w Italii zmysł estetyczny nie umarł z odejściem pokolenia mistrzów tudzież z absorpcją zdobyczy kolejnych technologicznych rewolucji (choć autor zdjęć, Renato Berta, ma paszport szwajcarski i trudno nazwać go młodzie- niaszkim). Wra- żenia prostoty nie zmienia to, że mamy do czynienia z hy- brydą. Frammartino nakręcił reportaż z przeszłości, będący zarazem wizualnym poematem, a w po- rymach powiastką filozoficzną. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MOJĘSZ UPADŁY

arte



Charlton Heston zaczął i skończył karierę w telewizji, ale najlepiej wiodło mu się w Hollywood. Wysportowany niebieskooki wielkolud o apa- rycji greckiego boga był stwo- rzony do ról superbohaterów. Wcielił się w Mojęsz, Ben Hura, Cyda i Michała Anioła. Odnalazł się też w konwencji science fiction, występując w „Planecie małp” czy „Zielonej pożywce”. Prostolinijny, odporny na blichtr i pokusy, w październiku obchodziłby setne urodziny. Autorów biograficznego dokumentu najbardziej frapuje polityczna postawa aktora, który z liberała stał się konserwatystą. Cóż z tego, że nie chciał zostać prezydentem ani senatorem? Skoro bronił żołnierzy walczących w Wietnamie, praw Amerykanów do posiadania broni palnej oraz popierał Reagana, to zasłużył, by nazywać go „upadłą gwiazdą” tudzież „reakcyjnym starcem”. Heston twierdził, że to nie on się zmienił, tylko demokraci ulegli radykałom. Bezczylny typ. ©

★★★★★
REŻ. MAUD
GUILLAUMIN
„CHARLTON HE-
STON: GWIAZDA
ZMIENNĄ JEST”
 („CHARLTON
HESTON, LA
DÉMESURE D'UN
GÉANT”)
FRANCJA 2023

KREW NA PIĘCIOLINII

KINO



Arystoteles skłamał – muzyka wcale nie łądzi obyczajów. Widok na ośnieżone, alpejskie szczyty również okazał się marnym środkiem uspokaja- jącym. Margaret, autorka sub- telnych piosenek, rzuciła się z pięściami na rodzoną matkę. Jako agresorka recydywistka została obłożona sądowym zakazem zbliżania się do poszkodowanej. W obliczu Bożego Narodzenia zamierza doprowadzić do pojednania. Matka, kapryśna egoistka, wydaje się mało zainteresowana. O ojcu nikt nawet nie wspomina; podejrzywam, że wolął dać drapaka, zamiast tkwić w toksycznym związku. Aktorstwo jest w tym filmie powyżej średniej. Niestety, Ursula Meier z uporem gra na jednej nucie. Owszem, katharsis to literacki wymysł, w prawdziwym życiu występuje rzadko, ale jeszcze rzadziej ludzie idą do kina, by się dołować lub gapić w lustro. ©

★★★★★
REŻ. URSULA
MEIER
„NIEBIESKA
LINIA”
 („LA LIGNE”)
FRANCJA/BELGIA/
SZWAJCARIA
2022

wyst. Stephanie Blanchoud, Valeria Bruni
Tedeschi, Elli Spagnolo

Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „RESIDENT EVIL 4 REMAKE”

Capcom nie zepsuł swojego arcydzieła, dostarczając kolejny znakomity remake hitu sprzed lat. „RE4” to jedna z najważniejszych gier w historii branży. Jeśli ktoś nie grał, to remake jest doskonałą okazją do nadrobienia zaległości. A jeśli ktoś zarywał całe

noce, to się nie zawiedzie i znów będzie wstawał niewyspany, choć tym razem zapewne nie do szkoły, jak wówczas, a do pracy. To, za co kocha- liśmy pierwowzór, zostało potrakto- wane z szacunkiem, zaserwowane jest w doskonałej oprawie i z masą



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
usprawnień. Bez dwóch zdań jedna z najlepszych gier tego roku. ©

Radosław Wojtas

• Gatunek: Akcja, horror, TPP
• Platforma: XSX, PS5, PS4, PC
• Producent; wydawca PL: Capcom;
Cenega

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Hej młoty, do roboty

Konstytucja z 1952 r. głosiła: „Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu”.

Wbrew pozorom nie była to tylko propagandowa drętwa mowa. Wystarczyło bowiem takiemu przodownikowi powiedzieć kilka słów prawdy o zawyżaniu przez niego norm pracy, wykipić jego zobowiązania podejmowane z okazji kolejnego proletariackiego święta, a i bez okazji też, i człowiek narażał się na poważne kłopoty z wysyłką do obozu pracy włącznie. W końcu łamał najważniejszą z ustaw!

O takich przypadkach, a było ich wiele, pisze Andrzej Janikowski w książce „Trzysta procent socjalizmu”, przypominając, czym w bierutowskiej epoce stało się współzawodnictwo pracy, sowiecki wynalazek od nazwiska tamtejszego gieroja pracy socjalistycznej, Aleksieja Stachanowa, nazywany stachanowszczyzną. Jeszcze w 1935 r. ten górnik dołowy jednej z kopalń Donbasu w ciągu jednej zmiany wykonał 1475 (!) proc. normy, wydobywając 102 tony węgla. W Polsce mieliśmy swoich stachanowców, z Wincentym Pstrowskim na czele. To on w 1947 r. zapoczątkował ruch współzawodnictwa pracy, wzywając brać górniczą do rywalizacji i niczym rzucający rękawicę średniowieczny rycerz, wołając: „Kto wyrąbie więcej”. Wykreowano go na bohatera, wykorzystywano w celach propagandowych, by np. namawiał górników, którzy przed wojną wyemigrowali do Francji czy Belgii (jak on zresztą), do powrotu do ojczyzny. Kraj potrzebował przecież węgla, którego wciąż było za mało, zwłaszcza że sprzedawaliśmy go Wielkiemu

Bratu ze Wschodu – po zaniżonych cenach. Liczyła się każda para rąk, kopalnie zatrudniały na dole i kobiety, i więźniów. A Pstrowski, który niestety już w 1948 r. zmarł na białaczkę, znajdował następców. Z dnia na dzień stawali się popularni niczym dzisiaj wybitni aktorzy czy sportowcy. Bugdoł, Markiewka, Apryas... Tak mieli na nazwiska bohaterowie masowej wyobraźni. O ich losach, niezadko skomplikowanych, opowiada teraz w swojej książce Andrzej Janikowski, niejako wywołując duchy zamierzchłej przeszłości. Bo kto z młodych w ogóle słyszał o przodownikach pracy? Jeśli już cokolwiek wie o nich, to dzięki filmowi Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”, którego kanwą była prawdziwa historia podania na budowie murarskiemu przodownikowi Piotrowi Ożańskiemu gorącej cegły. Czy filmowy Mateusz Birkut to on właśnie? Tego nie można być do końca pewnym, interesujące są zresztą w „Człowieku z marmuru” różnice między scenariuszem a drukowaną w 1963 r. w „Kulturze” w pięciu odcinkach nowelą filmową Aleksandra Ścibora-Rylskiego. Reżyser Burski nazywa się w niej Brus, z kolei ubek nadzorujący Birkuta to nie Michałak („Wylegiwać się po krzakach to robota Michałaka” – śpiewają Mateusz Birkut i Wincenty Wittek), a – uwaga – Michnik.

Tak naprawdę to najbardziej gorącą, najbardziej niebezpieczną cegłą stało się samo pracownicze współzawodnictwo czy też raczej wyzysk. Warto pamiętać, że bezpośrednią przyczyną robotniczego buntu w czerwcu 1953 r. w NRD, podczas którego sowieckie czołgi rozjechały

kilkuset protestujących, było podwyższenie norm pracy.

Ideę współzawodnictwa lansowano jednak z uporem godnym stanowczo lepszej sprawy, usiłując ją upowszechnić tam nawet, gdzie nie miała ona najmniejszego sensu, jak choćby w handlu. Bo jak było wyważyć, który sklep jest lepszy, skoro w żadnym niczego nie dało się kupić?

Czy opłacało się być przodownikiem? Jak komu, towarzyszu Bugdoł został dyrektorem, posłem, do końca życia był sztandarową postacią PZPR i ORM. Inni zadowolić się musieli zdjęciami w gazetach, odznakami z tombaku, rzeczową nagrodą w postaci roweru czy radia. A taki traktorzysta Marcak orający swym stalowym rumakiem Ziemię Odzyskaną (na wsi też współzawodnictwo kwitło, a jakże!) doceniony został przyznaniem... filcowych łapci.

Oczywiście wielu przodowników, po prostu, ciężko pracowało i winni jesteśmy im szacunek. W końcu ma swoją rację filmowy sekretarz Jodła (z „Człowieka z marmuru”), który patrząc na osiedla Nowej Huty, stwierdza: „Samo się nie zbudowało”. Ale sama idea współzawodnictwa została skompromitowana, zdawałoby się, doszczętnie. Tyle że w kolejnej komunistycznej epoce – za Gierka – rzucono hasło „Polak potrafi”, sięgając do wzorów sprzed 20 lat. Nie mogło się to jednak udać i nic dziwnego, że tę skazaną na klęskę próbę odwrócenia biegu historii obśmiał Rudi Schuberth z Wałami Jagiellońskimi, wzywając „Do pracy rodacy”:

*Hej młoty, do roboty,
Niebieskie ptaki do paki
I niech wre robota
Co tam wolna sobota. ©©*



★★★★★

ANDRZEJ
JANIKOWSKI
„TRZYSTA
PROCENT
SOCJALIZMU.
PRZODOWNICY
PRACY W PRL”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czekając na koniec

Znacie to uczucie – irracjonalne, nie wiadomo skąd biorące się przekonanie, że za chwilę coś się wydarzy. Coś strasznego. Coś przytłaczającego. Bywa, że takim przeczuciem przesycone jest całe życie epoki. Tak kończyła się belle époque, kiedy to jedni przeczuwali nadchodzącą apokalipsę, inni jej wręcz pragnęli lub pracowali nad jej przybliżeniem. I niespokojny czas międzywojnia, gdy rosło przekonanie, że to tylko chwilowa cisza między katastrofami. Co mówią nam o przyszłości to, że tak wielu dziś oczekuje kolejnej hekatomb?

Bohater powieści „Mam przeczucie” nie potrafi nazwać niebezpieczeństwa, które budzi w nim lęk. Wpatrzony w ponury pejzaż miasta molocho wie, że z tymi potworami nie da się wygrać. „Będą walczyć tylko ze sobą nawzajem, aż w końcu powstanie jakiś nowy, jeszcze straszniejszy typ takiego potwora – i Bóg tylko wie, co to będzie”. W swoim lęku nie jest osamotniony. Niemal wszyscy, których spotka na swojej drodze, szykują się na apokalipsę – gromadzą zapasy, budują bunkry, uczą się uprawiać ziemię i leczyć ziołami. Sprzedawca w markecie wie, że za kilka tygodni dostawy ustaną. Coś się wydarzy. Coś ostatecznego.

Przypomina mi ta powieść klimatem dokonania brytyjskiego pisarza J.G. Ballarda, jego zimne, beznamiętne końce świata, które konstruował na różne sposoby (zwłaszcza w powieściach z lat 60. XX w.). Także opowieści o rozpadzie społeczeństwa, jak w „Wieżowcu”. Łukasz Krukowski konstruuje jednak bardzo własną, osobną i oryginalną historię. Narrator „Mam przeczucie” zarabia na cyfrowych operacjach, na pomnażaniu nicości – kopanie kryptowalut, internetowy hazard (te zyski pozwalają mu zresztą na spore wydatki, które wiąże się z przygotowaniami do nowego życia preppera czy surwiwalowca). Widzę w tym głębszą metaforę: oderwana od historii, odczłowieczona cywilizacja moloch pracuje nieustannie nad produkcją pustki. I kiedyś wyprodukuje tej pustki tak wiele, że się pod jej ciężarem zawali.



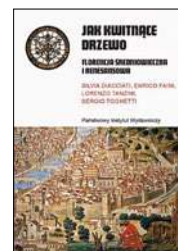
★★★★★

ŁUKASZ KRUKOWSKI
„MAM PRZECZUCIE”
WYDAWNICTWO CYRANKA 2023

Modli się w finale bohater Krukowskiego: „Jest już za późno. Niech się stanie dokładnie tak, jak tego chciałeś i jak mnie na to przygotowałeś, ale daj wiecznie odpocząć wszystkim tym, którzy w dziejach świata pozostawali gotowi”. Jest i pretensja do Boga: dlaczego nie dawał znaków, że wszystko się zaraz skończy? Cóż, może dawał, ale nie umieliśmy ich odczytać. ©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Florencja średniowieczna i renesansowa – nie jest to jednak historia miasta, lecz 13 obrazów układających się w panoramę niezwykle miejsca w fascynujących czasach, malowaną przez czworo włoskich badaczy.



AUTORZY RÓŻNI
„JAK KWITNĄCE DRZEWO”
PIW

„Bez niej po prostu nie dałbym sobie rady” – wspominał Jerzy Giedroyc. Biograficzna opowieść o jednej z najważniejszych postaci Instytutu Literackiego w Paryżu, bohaterce nieoczywistej.



KAMILA ŁABNO-HAJDUK
„ZOFIA HERTZ. ŻYCIE NA MIARĘ KULTURY”
KEW

Od Zielonego Balonika i Qui Pro Quo, przez Dudka i Pod Egidą, do Tey, z przystankami w Piwnicy Pod Baranami i w Salonie Niezależnych. Nie jest to pełna historia, lecz wskazanie zjawisk najbardziej wpływowych.



SŁAWOMIR KOPER
„MISTRZOWIE POLSKIEGO KABARETU”
FRONDA

Kolejny omnibus zbierający dorobek znakomitej amerykańskiej pisarki. Tytułowa powieść „Jesteśmy snem” bliska jest klimatem powieściom Dicka. Poza tym w tomie znalazły się „Miejsce początku” i „Oko czapli”.



URSULA K. LE GUIN
„JESTEŚMY SNEM”
PRÓŚYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „ZIARNO SZALEŃSTWA”

„W poszukiwaniu Ptaka Czasu” to jedna z najważniejszych i najlepszych serii fantastycznych w dziejach francuskiego komiksu. Oryginalne cztery albumy poznaliśmy kiedyś w Polsce pod tytułem „Pelissa”. „Ziarno szaleństwa” to tom siódmy serii, która jest prequalem cyklu, opowiada o losach młodego Bragona i o jego re-



SERGE LE TENDRE, RÉGIS LOISEL, DAVID ETIEN
„ZIARNO SZALEŃSTWA”
EGMONT 2023

lacji z Marą (późniejszą królową Marą). Régis Loisel tym razem nie rysuje, ograniczając się do współpracy przy scenariuszu.



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Matejko znany i nieznany

Kiedy przed 130 laty zmarł Jan Matejko, prof. Marian Sokołowski zgłosił pomysł uczczenia wybitnego malarza. Pomysł ten kontynuowany był przez Komitet Obywatelski (powstały 7 stycznia 1894 r.), następnie przez Towarzystwo im. Jana Matejki (od 1895 r.). Ostatecznej realizacji doczekał się w roku 1898. A dokładnie 6 marca 1898 r., kiedy

to zainaugurowano Muzeum Dom Jana Matejki.

Muzeum od 125 lat popularyzuje mniej znane fakty z życia swojego patrona. Z okazji okrągłych rocznic można tam teraz oglądać wkomponowaną w całość ekspozycji wystawę czasową. Ekspozycję prezentującą „w czterech odsłonach dom artysty i muzeum biograficzne w kontekście historii, zdarzeń i postaci – od niezwykłych mieszkańców po opiekunów”. Wśród eksponatów po raz pierwszy pokazane zostały pamiątki związane z pożegnaniem (a zarazem manifestacją patriotyczną) Matejki – fotografie, szarfy i wieńce żałobne, okolicznościowe listy, telegramy, informacje prasowe. © ©

GDZIE? Kraków, Dom Jana Matejki
KIEDY? do 7 stycznia 2024 r.



FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



FOT. ARCHITECTURNA

INNA ARCHITEKTURA

Architektura – jak wszystko – nie pozostaje bez wpływu na środowisko. Wystawa „Antropocen” pokazuje szkodliwy jej wpływ, zauważając jednocześnie, że „nie sposób wyobrazić sobie funkcjonowania człowieka poza architekturą. To dzięki niej jesteśmy w stanie zapewnić godne i bezpieczne warunki życia całym społeczeństwom [...]”. Ekspozycja jest próbą spojrzenia w przyszłość poprzez projekty, które „miałyby potencjał regenerujący dla środowiska”.

GDZIE? Muzeum Architektury
we Wrocławiu
KIEDY? do 21 maja

NA SŁUCH

Bój się folku

Od kilku dekad ukazują się albumy, również w Polsce, na których muzycy wywodzący się ze sceny alternatywnej nagrywali ludowe pieśni, w których krew leje się okrutnie. Lankum również interpretuje utwory tradycyjne, również wykorzystuje dawne instrumenty (m.in. koncertynę, dulcimer, dudy irlandzkie), tyle że tam, gdzie kończą pieśń inni wykonawcy, zespół dopiero zaczyna budować prawdziwy nastrój grozy. Irlandczycy wychodząc od oryginałów, tworzą psychodeliczne nagrania trwające od 5 do 13 minut. Pomiędzy nie wplatają trzy mroczne fugi. Poczucie trwogi i niepokoju dodatkowo wywołują wplecione w utwory dysonansowe, dronowe dźwięki. „Master Crowley’s”, oparty

na skocznym folkowym motywie, stopniowo przeradza się w złowrogi marsz śmierci. Tematem większości ludowych utworów jest morze jako mityczna dla Irlandczyków droga ucieczki ku lepszemu życiu. Tylko w interpretacji Lankum nawet nastrojowy klasyk „Clear Away in the Morning” przeradza się w morską stypę. „False Lankum” jest bowiem nihilistyczną, ponurą wędrówką w mroczne serce muzyki ludowej.

Tradycyjne pieśni i instrumentale uzupełniają dwa oryginalne utwory Lankum. Album wieńczy 13-minutowy floydowski „The Turn”. Kompozycja kończy się sekwencją katastrofy, której wysłuchanie jest prawdziwym wyzwaniem. © ©



★★★★★
LANA DEL REY
„DID YOU KNOW
THAT THERE'S
A TUNNEL UNDER
OCEAN BLVD”
INTERSCOPE

Dziewiąty album jest kolejnym rozdziałem w sadze o zaurzuceniu i złamanym sercu. Olśniewająca smyczkowa melancholia łączy się z dramatycznymi muzycznymi zwrotami. Gościnnie pojawia się Father John Misty.



★★★★★
GOYA
„ROZDZIAŁ VIII”
AGORA

Ósmy rozdział miłośnych zmagani Magdaleny Wójcik. Zespół Goya inspirując się Fleetwood Mac, niestety nie osiąga studyjnej perfekcji swoich idoli. Piosenki brzmią ubogo, a wersy w rodzaju „zadzwoń do mnie jutro, bo dzisiaj jest mi smutno” nieco żenują.



GRZEGORZ
BRZOZOWICZ



★★★★★
LANKUM
„FALSE LANKUM”
ROUGH TRADE

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.



DZIEŃ

Z REPUBLIKĄ

codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają

Ilona Januszewska

Emilia Wierzbicki

Piotr Nisztor

Aleksander Wierzejski

Marcin Bąk



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Kroplówka



„Spartakus. Miłość w czasach zarazy”
w reżyserii Jakuba Skrzywanka, postaci
wyróżniającej się w peletonie reżyserów
aktywistów FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Grzegorz Kondrasiuk

Przy kontakcie z tego rodzaju dokonaniem mam nieodparte skojarzenie z socrealizmem, z całym jego nieoczywistym urokiem, jeśli chodzi o formę artystyczną czy ciasnotę ideowych prawideł, do których wciskany jest i dopychany kolanem nieskończenie skomplikowany świat

Rozpędza się sezon festiwalowy i jak co roku następuje wzmożenie uprawiania pewnego stylu teatru dydaktycznego – właśnie takiego, bez którego wprost obejść się nie mogą najważniejsze festiwale i najprogressywniejsi dyrektorzy przy komponowaniu swych programów i repertuarów. A skoro już krytycy mają w zakresie obowiązków opisywanie, nazywanie i klasyfikowanie, nie uchylam się i ja od skreślenia krótkiej, roboczej definicji tego popularnego gatunku oraz wskazania najwybitniejszych jego przedstawicieli.

Po pierwsze – jest to teatr na stałe podpięty pod kroplówkę z lewicowym „zestawem obowiązkowym”. Teatr taki, jak narkoman uzależ-

niony od głoszenia poglądów, usechłby i obumarł w kilka chwil, gdyby zrezygnował ze swej ukochanej retoryki deklaracyjnego radykalizmu. Najważniejsze jego elementy to, w kolejności przypadkowej: feminizm (najchętniej w tzw. odcieniu obyczajowym), dalej – postulaty mniejszości seksualnych zmierzające w stronę „niebinarnego” świata, ekologia i ocieplenie klimatu oraz walka z patriarchatem, definiowanym najprościej i najszerzej, jak się tylko da, np. jako sprawca rzeczywistego ocieplenia klimatu, albo europejskie dziedzictwo kulturowe, wojsko i inne służby mundurowe, państwo, naród, religia rzymskokatolicka, porządek społeczny albo przepisy prawne niezgodne z „zestawem”. Zajrzyjmy

głębiej: ludowa historia Polski, antyklerykalizm (tutaj obowiązkowo – pedofilia kleru i toksyczny kult Jana Pawła II), polski rasizm oraz antysemityzm, oraz last but not least antypisizm (dla starszych przyrządzony à la marsze KOD, dla młodszych – raczej błyskawice, parasolki, wieszaki i te sprawy). Przy czym, korzystając z „zestawu”, należy upchnąć w spektaklu jak najwięcej jego elementów, a co najmniej dwa.

Stąd mamy liczne warianty, np. czuło-nienawistny, antyklerykalno-proekologiczny, proaborcyjno-pacyfistyczny, równościowo-siedmiogwiazdkowy albo zarazem i klasystowski (bo lud jako elektorat PiS) i chłopomański (bo ludowa historia Polski) itd.

Po drugie – korzystanie z ideologicznej kroplówki zwalnia reżyserów z konieczności spełniania stawianych reżyserom elementarnych wymagań, np. z rzetelnej pracy z aktorami albo bycia zwięzłym czy komunikatywnym. W przypadku wskazywania tychże braków zawsze można posłużyć się maczugą z napisem „słuszność”. Poza tym dzielenie się zawartością kroplówki z publicznością daje zawsze dobre efekty w postaci gorącego odbioru, niezależnie od jakości artystycznej. Nie ma problemu z owacjami na stojąco, bo na siedząco trudno przecież manifestować poparcie... A widzowie, którym kroplówka nie odpowiada, nie muszą przecież chodzić do „naszego” teatru (bo przecież, zgodnie z hasłem jednej z progresywnych scen, „teatr jest nasz”).

Po trzecie – w tym uniwersum swobodnie unoszą się i zderzają pojęcia typu „równość”, „ludzie” (i „nie-ludzie”), „planeta”, „natura”, „zwierzęta”, „prawa”, „kobieta”,

a także, z drugiej strony – „antropocen”, „patriarchat”, „dziadersi”, „kler”, „Kaczyński” itd. Jak widać – nie ma tu lęku przed wielkimi kwantyfikacjami. Jest za to umiłowanie ciała i cielesno-emocjonalnych reakcji: uczuć, przeczuc, czułości, dotyku, połączone z antyintelektualną alergią do związków przyczynowo-skutkowych. Jak to udowodniła w „Czułym narratorze” Olga Tokarczuk, wszystko kojarzy się i łączy ze wszystkim i ze wszystkiego wynika. A co najważniejsze – wszystko się zgadza. Jest to teatr niezwyklej łatwości stawiania tez podpartych selektywnymi lekturami (koniecznie z aktualnie modnej mądrej książki) i własnym niezachwianym przekonaniem. Na scenie przekłada się to na snucie luźnych, ahistorycznych, prezentystycznych opowieści, konstruowaniem naiwnych fabulek z tezą, na zmianę z wyrwykowo podawanymi faktami czy danymi statystycznymi. Chyba właśnie dlatego za każdym razem, przy kontakcie z tego rodzaju dokonaniem, mam nieodparte skojarzenie z socrealizmem, z całym jego nieoczywistym urokiem, jeśli chodzi o formę artystyczną czy ciasnotę ideowych prawideł, do których wciskany jest i dopychany kolanem nieskończenie skomplikowany świat.

W tym gatunku jednym z najwybitniejszych spektakli ostatnich sezonów jest szczeciński „Spartakus. Miłość w czasach zarazy” w reżyserii Jakuba Skrzywanka. Jest to postać wyróżniająca się w peletonie reżyserów aktywistów, wśród pracowników sceny dostarczających nam dzieł na aktualne tematy. Przyjdzie mi wrócić do tego dzieła i osoby jego twórcy już za dwa tygodnie. ©©



DODATEK SPECJALNY – część 17

Kto chce narzucić Polsce „tęczową agendę” i jak skutecznie się przed tym bronić?

• Tak nas widzą w Brukseli? • Jak nas widzą w USA? • Polska vs. eurokraci



FOT. ADRIAN STOK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 2cec5d3532



Paweł Ozdoba

Artykuł 18. Konstytucji RP mówi o szczególnej roli, którą odgrywa instytucja małżeństwa i rodziny w polskim systemie prawnym. „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej” – czytamy. Jednak zdaniem wielu europejskich urzędników i polityków ten stan rzeczy powinien się jak najszybciej zmienić

Polska, wstępując do Unii Europejskiej, wielokrotnie otrzymywała zapewnienia zachowania pełnej niepodległości w kwestiach światopoglądowych. W 2004 r. nie było mowy o konieczności redefinicji małżeństwa, legalizacji aborcji i uznania jej za tzw. prawo człowieka czy wprowadzenia instytucji związków partnerskich, czasami nazywanych „jednopłciowymi konkubinami”.

Jak wynika z oficjalnych badań społecznych instytutu CBOS z 2004 r., decyzja o wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej została odebrana z nadzieją przez 65 proc. Polaków. Mieszkańcy naszego kraju wyrażali wówczas radość i dumę, choć trzeba wspomnieć, że byli także tacy, których cechowały obawa (51 proc.) lub zwykłe zaciekawienie (47 proc.). W opracowaniu CBOS z tamtego roku znalazła się informacja, że deklarujący poparcie dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej (a było ich 71 proc.) „wyobrażają sobie zjednoczoną Europę jako wspólnotę gospodarczą, polityczną i aksjologiczną”.

Niespełna 20 lat później sytuacja wygląda nieco inaczej. I choć poparcie dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie, to wydaje się, że utrzymanie wspólnoty aksjologicznej staje się coraz mniej możliwe. Czy w 2023 r. UE jest tą samą struk-



turą i wspólnotą, którą była w momencie wstępowania do niej Polski? Z pewnością nie – i to w szczególności w fundamentalnych dla Polaków sprawach.

Jak wynika z badań CBOS z 2022 r. pt. „Opinie o integracji i działaniach UE”, 45 proc. Polaków opowiada się za ograniczeniem integracji z UE lub zachowaniem obecnego poziomu. To duża część polskich obywateli, choć obserwując politykę i działania unijnych biurokratów, Bruksela nie odpuszcza i zamierza sprawić, że tzw. integracja europejska będzie wdrażana ze zdwojoną siłą. Jeśli tak się stanie, to słupki poparcia dla obecności

Polski w Unii Europejskiej mogą za jakiś czas opaść. Tym bardziej że Bruksela coraz bardziej ochoczo wprowadza niekorzystne dla portfeli Polaków zmiany w dziedzinie polityki klimatycznej. Jednak w tym tekście zajmiemy się innym ważnym problemem, którym w ostatnich latach stała się swego rodzaju kolonizacja ideologiczna.

RODZINA TO MAŁŻONKOWIE Z DZIEĆMI

Interesująco wyglądają wyniki badań CBOS przeprowadzonych w 2019 r. Wynika z nich, że „szczęście rodzinne

w Brukseli?



FOT. ADRIAN STOK

zajmuje niezmiennie pierwsze miejsce wśród najważniejszych wartości, jakimi Polacy kierują się w swoim codziennym życiu”. Na tę wartość jako najważniejszą wskazało w badaniu aż 80 proc. osób. Co więcej, aż 87 proc. badanych uważa, że do pełni szczęścia człowiek potrzebuje rodziny. A czym jest rodzina według ankietowanych? 99 proc. z nich stwierdziło, że rodzinę stanowią małżonkowie z dziećmi. Aż 91 proc. za rodzinę uznało również matkę lub ojca samotnie wychowujących co najmniej jedno dziecko. Dwie trzecie Polaków (65 proc.) stwierdziło z kolei, że mianem rodziny można

określić również małżeństwo, które nie posiada dzieci.

CBOS w tym samym badaniu podaje również, że „pozostałe wymienione rodzaje związków między ludźmi zdecydowanie rzadziej określane są jako rodzina”. Okazuje się, że np. jedynie 13 proc. Polaków za rodzinę uważa związek „gejów lub lesbijek niewychowujących dzieci”. Przeciwnych temu twierdzeniu jest z kolei aż 81 proc. badanych. Z kolei 69 proc. za rodzinę nie może uznać sytuacji, w której związek stanowią osoby tej samej płci wspólnie wychowujące dziecko jednej z nich.

Pomimo tak zdecydowanych i jasnych ocen pojęcia rodziny od przeszło 10 lat obserwujemy coraz bardziej zdecydowane próby dokonania trwałej redefinicji najbardziej podstawowych i najważniejszych dla Polaków wartości. Instytucjami, które najsilniej dążą do wprowadzenia zmian w obszarze rozumienia rodziny i małżeństwa, są Komisja Europejska i sam Parlament Europejski.

Ta kolonizacja ideologiczna staje się coraz mocniejsza w ostatnim czasie i wydaje się, że najbliższe dwa lata będą ostateczną próbą przeforsowania rozwiązań, które – jeśli zostaną siłą przyjęte – mogą próbować podważyć wartości wpisane w kodzie kulturowym Polaków.

REWOLUCYJNA STRATEGIA ROZPISANA NA LATA

Sprawdźmy wobec tego, jak to faktycznie wygląda, jeśli chodzi o próbę wymuszania na krajach członkowskich Unii Europejskiej legalizacji tzw. jednopłciowych związków partnerskich lub tzw. małżeństw homoseksualnych.

Komisja Europejska opublikowała oficjalną „Strategię na rzecz równości LGBTIQ na lata 2020–2025”, która dąży do wymuszenia na wszystkich krajach członkowskich uznawania związków jednopłciowych zawartych w innych krajach UE. To jednak tylko część „planu”, w ramach strategii ma bowiem dojść do legalizacji adopcji dzieci przez pary jednopłciowe, a co więcej – również do rozszerzenia listy „europrzestępstw” o przestępstwa z nienawiści (w tym nienawiści wobec osób LGBTIQ). Oznacza to, że już samo używanie określeń „ideologia LGBT” lub „ideologia gender” może być karane. Komisja zapowiedziała w strategii także wykorzystywanie środków finansowych, by promować pełną akceptację dla opinii i postaw należących do tzw. mniejszości seksualnych.

Presja ze strony unijnych instytucji jest coraz mocniejsza. Wtórąją im ważni brukselscy burokraci. Unijna komisarz ds. równego traktowania Helena Dalli mówiła: – Chcemy, żeby mowa nienawiści wobec osób LGBTIQ była traktowana jako przestępstwo. Będziemy proponowali prawodawstwo, w którym prawa rodzicielskie par jednopłciowych będą rozpoznane w każdym kraju. Chcemy wolności dla każdego obywatela UE, bez wyjątku.

■ Dalli w swojej argumentacji używała języka wyglądającego na zaczerpnięty wprost z broszur organizacji promujących tęczęwą subkulturę. – LGBTIQ nie jest ideologią. To element tożsamości, opierający się na cechach wrodzonych danej osoby – stwierdziła w rozmowie z Euractiv.pl.

Z kolei Dunja Mijatović, komisarz praw człowieka Rady Europy, wprost atakowała Polskę i przedstawicieli władzy. – Polscy politycy powinni przestać stygmatyzować osoby LGBTIQ – powiedziała. Jednocześnie sugerowała, że w Polsce rośnie przemoc wymierzona wobec osób homoseksualnych i związanych z subkulturą LGBT. – Traktowanie mniejszości LGBT jako kozłów ofiarnych stało się taktyką stosowaną przez ultrakonserwatywnych i nacjonalistycznych polityków – grzmiała.

STREFY, KTÓRYCH NIE BYŁO

Warto przypomnieć, że Polska od unijnych biurokratów otrzymywała ciągi także w sprawie tzw. stref wolnych od LGBT. Co prawda, ostatecznie Komisja Europejska zamknęła tę sprawę, nie karząc naszego kraju, ale zanim do tego doszło, oskarżeń pod adresem Warszawy padło co niemiara.

– Trzeba chronić rodziny spod znaku tęczy – mówił luksemburski socjalista Marc Angel. – To jest bardzo ważne działanie i w dobrym momencie, dlatego że w kilku państwach, np. w Polsce czy na Węgrzech, rządy naprawdę zaczęły polowanie na czarownice przeciwko mniejszościom seksualnym – przekonywał.

Polskę wówczas krytykowała również Holenderka Sophie in 't Veld. – W ciągu ostatnich lat bardzo dużo mówiliśmy na temat stref wolnych od LGBT, czy to w Polsce, czy na Węgrzech. [...] To, co robi rząd polski, wcale nie jest reprezentatywne dla większości – mówiła polityk. – Polska przekracza jedną czerwoną linię za drugą.

Prym w atakach na polski rząd wiodła Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej. – Odrzucam całą sagę z ideologią LGBT – mówiła i wskazywała, że w Polsce panują w tej kwestii „niepokojące trendy”. Jej zdaniem na ulicach polskich miast dochodziło do brutalnych ataków na tzw. marsze równości.

Jourová od dawna szukała pomysłu, w jaki sposób zdyscyplinować kraje tzw. biedniejszej Unii w kwestii redefi-

Czy pohukiwania unijnych urzędników są w stanie przybliżyć nas do redefinicji małżeństwa?

nacji małżeństwa. W 2021 r. powiedziała wprost, że Unia Europejska odbierze fundusze państwom, które dopuszczają się „dyskryminacji” wobec środowisk LGBT. – Mamy już narzędzia pozwalające nam reagować w takich sytuacjach. W zeszłym roku zostały zablokowane środki dla sześciu gmin w Polsce, które miały takie uchwały – ostrzegła wiceszefowa Komisji Europejskiej. – Musimy jasno powiedzieć, że środki unijne nie trafią do Polski, jeśli będą naruszone podstawowe prawa grup LGBT.

ENIGMATYCZNE UNIJNE (ANTY)WARTOŚCI

Nieprzychylnie wobec Polski wypowiedział się na arenie UE także hiszpański europarlamentarzysta Juan Fernando López Aguilar. Jego zdaniem „Polska oddala się od wartości europejskich”. W Brukseli z jego ust wybrzmiewało również, że „niepokoi go podkopywanie wartości europejskich i demokracji w Polsce”.

Do chóru dyscyplinujących Polskę dołączył swego czasu Frans Timmermans. Holenderski biurokrata twierdził, że polskie i węgierskie państwo łączy bycie homoseksualistą z pedofilią. – To osiągnięcie nowego dna i przypomnienie wszystkim, że podreźnikowy plan działania Putina jest wykorzystywany w sercu UE w XX w. – grzmiał wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej.

Didier Reynders, komisarz UE ds. sprawiedliwości, apelował do polskiego rządu o przyjęcie tzw. unijnego poświadczenia rodzicielstwa pod pozorem troski o dzieci. Przyjęcie tych regulacji otworzyłoby jednak drogę do pełnej legalizacji uznawania tzw. małżeństw jednopłciowych. I o to z pewnością chodziło Reyndersowi.

NOWY POZIOM PRZYMUSU I NACISKU

Na początku 2023 r. do dyscyplinowania Polski (oraz innych krajów członkowskich UE) włączył się Europejski Trybunał

Praw Człowieka w Strasburgu. Orzekł, że wszystkie państwa mają obowiązek wprowadzenia legislacji uznającej jednopłciowe związki partnerskie lub tzw. małżeństwa homoseksualne. „Trybunał stwierdził zatem, że ochrona tradycyjnej rodziny nie może uzasadniać braku jakiejkolwiek formy prawnego uznania i ochrony par tej samej płci” – czytamy w orzeczeniu. Stworzono zatem kolejny punkt zaczepienia do skutecznego przymuszania takich krajów jak Polska, aby te przyjmowały rewolucyjne regulacje prowadzące do redefinicji małżeństwa.

Czy w 2004 r., gdy Polska wstępowała do Unii Europejskiej, przypuszczaliśmy, że Bruksela tak usilnie będzie dążyła do wymuszenia na krajach tzw. nowej Unii wprowadzenie ideologicznych postulatów? Z pewnością trudno było podejrzewać, że do tego dojdzie. Obiecywano nam bowiem, że wступujemy do „Europy ojczyzn”, która jest miejscem pełnym dobrobytu i wolności. Dziś jednak główne oficjalne strategie unijne prowadzą do zubożenia europejskiego społeczeństwa (w szczególności biedniejszych krajów – takich jak Polska), a także do laicyzacji oraz swego rodzaju ideologicznej kolonizacji.

Zmiany kulturowe, rewolucja obyczajowa i lobbing na rzecz legalizacji w Polsce tzw. związków partnerskich czy „małżeństw jednopłciowych” są niepodważalnie dostrzegalne w polskiej przestrzeni politycznej. Czy jednak pohukiwania unijnych urzędników i sugerowanie odcięcia Polski od środków finansowych z Brukseli są w stanie przybliżyć nas do redefinicji małżeństwa? Wydaje się, że polska opinia publiczna jeszcze bardzo długo nie będzie na to gotowa. Badania wskazują bowiem, że rodzina wciąż jest przez nią rozumiana jako związek kobiety i mężczyzny wychowujących dzieci.

Pomimo tego polski rząd musi stać na baczności, ponieważ determinacja Unii Europejskiej w „rewolucjonizowaniu” Europy jest na tyle duża, że jeszcze nieraz usłyszymy o próbie podstępnego wymuszenia zmian w polskim systemie prawnym – w tym także w obszarze fundamentalnym, którym jest zapisana w Konstytucji RP szczególna ochrona małżeństwa, macierzyństwa i rodziny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Centrum Życia i Rodziny.



**Z dr. Przemysławem Komorowskim
z Wydziału Prawa i Administracji
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu**
*rozmawiają Paweł Chmielewski (PCh24.pl)
i Tomasz D. Kolanek*

FOT. ANDRZEJ STUCK

Polska vs. eurokraci

TOMASZ D. KOLANEK, PAWEŁ CHMIELEWSKI: Unia Europejska, zgodnie z ustaleniami przyznawanymi jej instytucjom w traktatach, nie ma żadnej podstawy do narzucania Polsce związków czy małżeństw jedнопłciowych ani adopcji dzieci przez pary homoseksualne. A jednak różnymi sposobami próbuje się Polskę do tego zmusić. Czy w pańskiej ocenie pojawiły się na przestrzeni ostatniego roku jakieś nowe unijne rozwiązania prawne, które mogą skutecznie doprowadzić do uznania przez Polskę – nawet wbrew woli władz i społeczeństwa – jakieś elementy ideologii LGBT?

DR PRZEMYSŁAW KOMOROWSKI: Pewnie myślą panowie przede wszystkim o projekcie rozporządzenia Komisji Europej-

skiej w sprawie uznawania rodzicielstwa między państwami członkowskimi, który rzeczywiście może wymuszać akceptację skutków prawnych adopcji dziecka dokonanej w innym państwie, np. przez pary homoseksualne. Ja bym chciał jednak zwrócić uwagę na szerszy problem.

Ulrich Beck ukuł określenie „społeczeństwo ryzyka”, podkreślając, że współczesny rozwój technologii, przemysłu czy – ogólnie rzecz ujmując – cywilizacji powoduje, że jako społeczeństwa nie jesteśmy w stanie przewidzieć dalekosiężnych konsekwencji naszych działań. W tym kontekście

można powiedzieć, że prawodawstwo Unii Europejskiej jest obecnie właśnie takim prawodawstwem ryzyka. W gąszczu norm wchodzących coraz głębiej w kompetencje dawniej zarezerwowane dla państw narodowych trudno czasem przewidzieć, jak z pozoru zupełnie nieszkodliwe przepisy dotyczące prawa pracy, rynku wewnętrznego czy transportu mogą powodować skutki prawne w obszarach wrażliwych, takich jak moralność, rodzina czy wychowanie. Z tego względu bardzo trudno jest wyłuskiwać właśnie takie zamierzenia prawne organów unijnych.

Można jednak w tym kontekście wspomnieć o słynnej już kwestii deklaracji wielu polskich samorządów w sprawie powstrzymania ideologii LGBT – zapewne w momencie przyjmowania takich uchwał żaden z samorządów nie spodziewał się, że może to się wiązać z utratą funduszy unijnych. W obecnej perspektywie finansowej nowym horyzontalnym obowiązkiem dla Polski jest przestrzeganie Karty praw podstawowych (w tym niedyskryminacji osób LGBT), a wspomniane deklaracje zostały uznane właśnie za dyskryminujące. Wojewódzkie sądy administracyjne unieważniały część tych uchwał, krytycznie odnosił się do nich również rzecznik praw obywatelskich (poprzedni i obecny). W konsekwencji część gmin już uchyliła te deklaracje.

Warto też pamiętać, że oprócz aktów prawodawczych mamy także rozstrzygnięcia sądowe, które również mogą nieść ze sobą tego rodzaju zagrożenia i – uwaga – nie muszą to być działania instytucji unijnych. Myślę tutaj o Europejskim Trybunale Praw Człowieka, którego wyroki są wiążące dla państw członków Rady Europy. Wiążące są, rzecz jasna, wyroki, w których stroną jest dane państwo, ale Trybunał zasadniczo utrzymuje raz wypracowaną linię orzecniczą, więc wyrok przeciwko jednemu państwu może mieć konsekwencje dla innych państw. I tak np. wyrok w sprawie Fiedotowa i inni przeciwko Rosji ze stycznia 2023 r. stwierdza, że Rosja naruszyła Europejską Konwencję Praw Człowieka, gdyż nie zapewniła parom jedнопłciowym możliwości sformalizowania ich związku. Czy po tym wyroku prawdopodobne jest wydanie podobnego wyroku przeciwko Polsce? Zdecydowanie tak.

W grudniu 2022 r. Komisja Europejska zaproponowała projekt rozporządzenia, który zmusiłby Polskę do akceptowania adopcji przez pary homoseksualne, jeśli taka adopcja nastąpiła w krajach, w których jest legalna. Rozporządzenie KE co do zasady obowiązuje bezwzględnie wszystkie państwa członkowskie UE. Czy nawet pomimo braku podstawy w traktatach KE będzie zdolna to przymusić do tego rozporządzenia i narzucenia go m.in. Polsce?

Niestety, proaktywna działalność Unii Europejskiej w obszarze prawodawstwa staje się coraz większym problemem,

o czym dobrze w Polsce wiemy. W mojej ocenie wspomniany projekt wykracza poza uprawnienia traktatowe, nadane UE przez państwa członkowskie. Na szczęście ścieżka legislacyjna w takich przypadkach daje nadzieję, że projekt, w takiej formie, nie zostanie przyjęty.

Prawdopodobnie w pierwszym półroczu 2023 r. Komisja Europejska przyjmie ten akt, a następnie zostanie on przekazany do Rady UE, która podejmie ostateczną decyzję o jego przyjęciu lub odrzuceniu. Jednak jeśli choć jeden kraj członkowski UE postawi weto, to projekt nie zostanie przyjęty. W związku z tym istnieje prawdopodobieństwo, że kilka państw, takich jak Bułgaria, Węgry czy może Polska, zgłoszą przeciwko przyjęciu rozporządzenia.

TK uznaje, że kwestia związków jedнопłciowych jest celowo pomijana przez ustawodawstwo polskie

W kilku krajach europejskich wprowadzone zostały w ostatnich latach rozwiązania prawne zgodne z agendą LGBT na drodze pozaustawodawczej. Przykładem jest Austria, gdzie Trybunał Konstytucyjny w 2017 r. uznał zakaz zawierania tzw. małżeństw jedнопłciowych za nielegalny. Czy jest możliwe, aby Unia Europejska doprowadziła do podobnych decyzji w Polsce właśnie poprzez nacisk na system sądowniczy – zwłaszcza jeżeli Polska wycofałaby wprowadzone po 2015 r. elementy reformy sądownictwa, jak oczekuje tego Komisja Europejska?

Tak, jak wspominałem na początku naszej rozmowy, cały system prawny, w którym przyszło nam żyć, jest mocno nieprzewidywalny. Nie wyobrażam sobie całkowitego wycofania się z przeprowadzonej reformy sądownictwa – myśląc zwłaszcza o tym, jak katastrofalne skutki miałyby to dla pewności obrotu prawnego i zaufania obywatela dla państwa i prawa polskiego. Niemniej w tematyce, w której się poruszamy, stanowiska polskiego Trybunału Konstytucyjnego były spójne i jednoznaczne od wielu lat. Nasza konstytucja jest bardzo precyzyjna, jeśli chodzi o to, czym jest instytucja małżeństwa. Umożliwienie małżeństw jedno-

płciowych w Polsce wymagałoby zatem zmiany konstytucji. Choć nie jest już to takie oczywiste w kontekście potencjalnego wprowadzenia do polskiego systemu prawnego związków jedнопłciowych.

Wielu komentatorów zwraca uwagę na wiele ostatnich orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, który od 2021 r. umarza kolejne sprawy skarżące brak możliwości zawarcia związku małżeńskiego przez pary jedнопłciowe, powołując się na tzw. zaniechanie prawodawcze. Innymi słowy, TK uznaje, że kwestia związków jedнопłciowych jest celowo pomijana przez ustawodawstwo polskie, w związku z czym Trybunał nie wypowiada się jednoznacznie o zgodności z konstytucją wprowadzenia do polskiego prawa związków jedнопłciowych.

Wprowadzanie homomałżeństw oraz innych elementów rewolucyjnej ideologii LGBT należy do celów strategicznych instytucji unijnych, co wynika m.in. z założeń „Strategii na rzecz równouprawnienia płci na lata 2020–2025”. Nie ma powodu przypuszczać, by w kolejnych latach instytucje unijne nie przyjmowały analogicznych celów strategicznych. Czy wobec tego możemy zakładać, że Polska będzie długoterminowo zdolna do odpięwania unijnych nacisków, biorąc pod uwagę fakt pogłębiania integracji europejskiej na wielu innych płaszczyznach, co z natury rzeczy zmniejsza zakres suwerenności Polski, a zatem również jej pozycję negocjacyjną?

Tutaj wkraczamy bardziej w obszar polityki międzynarodowej. Oczywiście nie możemy zaklinać rzeczywistości i udawać, że większość państw Unii Europejskiej podziela wartości bliskie chyba jeszcze większości polskiego społeczeństwa. Bodajże jedynie sześć państw w UE nie posiada obecnie żadnych ram prawnych dla funkcjonowania związków jedнопłciowych, w tym oczywiście (poza Polską) żaden z większych czy wpływowych krajów UE.

Agresja Rosji na Ukrainę pokazała jednak, że sytuacja polityczna w wielu państwach jest dynamiczna, w kilku krajach do władzy zaczęły dochodzić partie o bardziej konserwatywnych zaprawianach na rzeczywistość, przewodnictwem Niemiec w dziedzinie ideowej zostało nadszarpnięte, może być zatem różnie. Choć nie możemy zapominać, że biurokracja unijna żyje w pewnym sensie własnym życiem, trochę w oderwaniu

od tego, co się dzieje w poszczególnych państwach.

Wracając do pytania, czy będziemy w stanie długoterminowo odpierać unijne naciski, będzie to zależało od tego, jaka będzie pozycja Polski na arenie międzynarodowej w najbliższym czasie, jakie sojusze strategiczne wewnątrz Unii będziemy zdolni zawierać, no i oczywiście od tego, co w ogóle się stanie ze znanym nam porządkiem międzynarodowym. Wystarczy przypomnieć sobie, jak to z chwilą ataku Rosji na Ukrainę śmiercią naturalną umarła pandemia COVID-19...

Pomimo wszystkich trudności w lutym 2023 r. Komisja Europejska zamknęła procedurę naruszeniową wobec Polski w sprawie tzw. stref wolnych od LGBT. Polscy udało się doprowadzić do zaprzestania szermowania przez instytucje unijne tą antypolską pałką. Czy jest to w jakimś sensie pozytywny prognostyk na przyszłość?

Bardziej odbierałbym to jako element politycznych uzgodnień między polskim rządem a Komisją Europejską. Niestety, choćby w kontekście KPO widzieliśmy wielokrotnie, jak instytucje unijne potrafiły wracać do raz już zamkniętych spraw. Nie jestem pewien, czy – tak jak już wspominałem – temat nie wróci w związku ze staraniem się o fundusze unijne przez samorządy, które takie deklaracje przyjmowały.

Polskie szkolnictwo znajduje się obecnie pod silną presją ideologiczną programu tzw. edukacji włączającej, która promuje m.in. permissywną edukację seksualną, zanurzoną w propagandzie LGBT. W polskich województwach przyjmowane są już – według unijnych wytycznych – zapisy zgodne z tym tzw. inkluzywnym paradygmatem. Nawet jeżeli Polska będzie zdolna obronić się przed gwałtownym i brutalnym narzuceniem nam homomaleństw etc., to czy dysponujemy zdolnością do długotrwałej blokady bardziej subtelnej przenikania ideologii LGBT do polskiego prawodawstwa – w różnych obszarach?

Mamy oczywiście Trybunał Konstytucyjny, który stoi na straży zgodności prawa – także unijnego – z naszą konstytucją, która, jak wspominałem, w obszarze wartości jest dosyć klarowna. Niemniej, w moim odczuciu, w tym obszarze to polskie społeczeństwo – a może bardziej polskie rodziny – musi stanąć na wysokości zadania. W dziedzinie szkolnictwa to

Rodzice mogą nie wyrażać zgody na zajęcia dla dzieci forsujące treści niezgodne z ich przekonaniami

rodzice ponoszą w pierwszym rzędzie odpowiedzialność za wychowanie i edukację swoich dzieci. Wybór szkoły dla dziecka powinien być przemyślany – tak, aby szkolna i rodzinna koncepcja wychowania do wartości okazały się spójne. Rodzice powinni mieć konkretną wiedzę o dominujących współcześnie trendach kulturowych i zjawiskach społecznych, ażeby – w razie konieczności – udzielać wsparcia swoim dzieciom w celu przeciwstawienia się presji otoczenia atakującego bądź negującego wyznawane wartości. Co więcej, rodzice powinni być gotowi do obrony wyznawanych wartości w przestrzeni edukacji ich dzieci – bierność rodziców otwiera pole do wypierania wartości ze środowiska szkolnego. Pamiętajmy, że rodzice mają prawo do niewyrażenia zgody na uczestnictwo swoich dzieci w lekcjach, wydarzeniach kulturalnych, spotkaniach itp., które będą forsowały treści niezgodne z ich przekonaniami.

W przemówieniu wygłoszonym w sierpniu 2022 r. w Pradze niemiecki kanclerz Olaf Scholz zaproponował gwałtowne zacieśnienie integracji europejskiej m.in. poprzez zniesienie zasady jednomyślności. Postulat ten został następnie powtórzony w artykule, który Scholz opublikował w prasie niemieckiej i francuskiej w styczniu tego roku razem z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Jakie konsekwencje dla polskiej odporności na unijną propagandę LGBT miałyby realizacja tego postulatu?

Oczywiście katastrofalne. Zresztą nie tylko w tej dziedzinie. Zniesienie zasady jednomyślności w praktyce marginalizuje kraje mniejsze czy te mniej rozwinięte, czyniąc z nich peryferia centrum decyzyjnego, które byłoby w Niemczech. Jeśli spojrzymy na dane statystyczne, to prawie 70 proc. Europejczyków uważa, że małżeństwa osób tej samej płci powinny być dozwolone w całej Europie. Nie trzeba zatem mówić, jakie konsekwencje w tym kontekście przyniosłoby zniesienie zasady jednomyślności w UE.

Scholz i Macron w swoich wystąpieniach podkreślali też konieczność zwalczania „wewnętrznej opozycji” w UE, zwłaszcza Polski i Węgier. Dotąd nasze kraje były w stanie się bronić, wykorzystując do tego – w różnych momentach – wsparcie także innych państw unijnych. W marcu w Niemczech złożył wizytę prezydent Czech Petr Pavel. Na Twitterze poinformował, że zaproponował Berlinowi przejęcie „geopolitycznej inicjatywy” oraz „odpowiedzialności za Europę”. Czy postawa prezydenta Czech może zwiastować kruszenie się bloku opornych wobec niemiecko-francuskiego planu przyspieszenia centralizacji Unii Europejskiej?

Tutaj akurat nie przywiązywałbym do tego aż tak wielkiej wagi. Przypominam sobie wypowiedź wyborczą prezydenta Czech, w której zapewniał on o dobrych relacjach i partnerstwie z Polską, oskarżając kontrkandydata w wyborach o prorosyjskość. Zresztą wydaje mi się, że Czesi od zawsze prowadzą raczej bezpieczną politykę, starając się nie podpaść głównym graczom.

W 2022 r. Polska zainicjowała szeroko zakrojony program zbrojeń. Jeżeli będzie on w najbliższych latach konsekwentnie realizowany, to na ile realne wzmocnienie polskiej armii wpłynie na zwiększenie zakresu suwerenności Polski w dialogu z Unią Europejską, także w takich obszarach jak LGBT?

Wzmocnienie w obszarze obronności zawsze będzie podnosiło nasze zdolności negocjacyjne, także z partnerami spoza Unii. Myślę tu przede wszystkim o Stanach Zjednoczonych, które mają z kolei polityczne narzędzia nacisku na swoich partnerów w Europie, w tym oczywiście na Niemców.

Z drugiej strony bardzo wiele będzie zależało od tego, jak potoczą się losy wojny na Ukrainie i czy nie otworzą się kolejne obszary konfliktu, o którym już przecież się mówi, że jest ogólnosiwiatowym starciem mocarstw. Paradoksalnie im bardziej niebezpieczny będzie świat, tym bardziej w cenie będą zdolności militarne, a na dalszy plan będą odchodziły problemy zastępcze, takie jak choćby ideologia LGBT.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Przemysław Komorowski
– wykładowca na Wydziale Prawa i Administracji UMK w Toruniu.

Polska vs. Rada



Rosja została przyjęta do Rady Europy w 1996 r. i niemalże od początku była partnerem co najmniej kłopotliwym. Przez wszystkie lata członkostwa zarzucano jej łamanie praw człowieka i zasad demokracji, z czego Rosja niewiele sobie robiła. W 2020 r. Konstytucja Federacji Rosyjskiej została znowelizowana: wskazano na jej prymat w przypadku kolizji z postanowieniami zawartymi w umowach międzynarodowych. Od tamtej pory rosyjska konstytucja jednoznacznie określa także interes państwa w ochronie tożsamości małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Kroki te, niewątpliwie mające zabezpieczyć Rosję przed ewentualnym niekorzystnym orzecznictwem ETPC w sprawach dotyczących związków jedнопłciowych,



Anna Kubacka

W styczniu Wielka Izba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka utrzymała wyrok, w którym ETPC zobligował Rosję do wprowadzenia jakiegokolwiek prawnej formy instytucjonalizacji związków jedнопłciowych. W rzeczywistości jednak wyrok ten dotyka nie Rosję – która nie jest już członkiem Rady Europy i nie jest zobligowana do przestrzegania orzeczeń Trybunału w Strasburgu – lecz wszystkie 46 państw, które w Radzie Europy pozostały

również nie zostały przyjęte z aprobatą na forum międzynarodowym. Zbrojna agresja na Ukrainę 24 lutego 2022 r. i późniejsze wydarzenia ostatecznie przekreśliły jakiegokolwiek aspiracje Rosji

do bycia państwem szanującym prawa człowieka, a w marcu 2022 r. państwo to przestało być członkiem Rady Europy.

Formalnie Rosja przestała też wówczas podlegać orzecznictwu ETPC. Nie zmie-

Europy



nia to tego, że przed Trybunałem wciąż procedowanych jest kilkanaście tysięcy skarg przeciwko Rosji, które – choć sama Rosja już nie musi się nimi interesować – nadal mogą oddziaływać na pozostałe państwa Rady Europy. Jest to o tyle istotne, że spory toczony przed ETPC to sprawy niejednokrotnie najwyższej rangi. Wszak żeby sprawa mogła zawisnąć przed Trybunałem, konieczne jest wyczerpanie przez skarżącego wszystkich możliwych środków odwoławczych dostępnych w jego państwie, co jest nie tylko trudne, lecz także czasochłonne i kosztowne.

FIEDOTOWA I INNI PRZECIWKO ROSJI

Jedną ze spraw niedokończonych w momencie wykluczenia Rosji z RE była skarga dotycząca braku instytucjonal-

zacji związków jedнопłciowych w Rosji: Fiedotowa i inni przeciwko Rosji.

Skargę tę złożyły trzy pary jedнопłciowe, żądając zasądzenia niemal 80 tys. euro rekompensaty za „krzywdy i wydatki” poniesione w związku z brakiem możliwości zawarcia małżeństwa. Pary te próbowały zawrzeć związki małżeńskie w Moskwie i Petersburgu, co spotkało się z odmową rosyjskich urzędników – art. 1 par. 3 rosyjskiego kodeksu rodzinnego jednoznacznie wskazuje bowiem, że małżeństwo to „dobrowolny związek mężczyzny i kobiety”. Skarżący kwestionowali takie stanowisko, twierdząc, że art. 14 wspomnianego kodeksu, który zawiera katalog okoliczności wykluczających zawarcie małżeństwa, nie odnosi się do płci partnerów jako potencjalnej przeszkody.

Rosyjskie sądy oddaliły jednak powództwa z tego tytułu, wskazując na to, że brak wyraźnego zakazu małżeństw osób tej samej płci nie może być interpretowany jako ich akceptacja przez państwo, a małżeństwa osób tej samej płci są sprzeczne z tradycjami narodowymi i religijnymi, polityką państwa w zakresie ochrony rodziny, macierzyństwa i dzieciństwa oraz zakazem propagowania homoseksualizmu. Sądy podkreślały także, że również prawo międzynarodowe nie nakłada na władze obowiązku promocji bądź wspierania związków jedнопłciowych. Wyczerpawszy ścieżkę krajowych środków odwoławczych, skarżący zwrócili się w latach 2010 i 2014 do ETPC.

EWOLUCYJNA WYKŁADNIA PRAWA

Wyrokiem z 13 lipca 2021 r. Trybunał orzekł, że Rosja naruszyła prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego skarżących, czym naruszyła art. 8. Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności.

Zarówno sam wyrok, jak i jego uzasadnienie wywołały kontrowersje. Trybunał uznał bowiem, że państwo ma obowiązek dokonać instytucjonalizacji związków jedнопłciowych, nawet jeśli jest temu przeciwna większość społeczeństwa. ETPC oparł wyrok na wątej argumentacji prawnej, ignorując art. 12. Konwencji, który wprost definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Twórczo rozwinął natomiast art. 8, który gwarantuje każdemu prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Choć w samej Konwencji nie ma żadnego przepisu, który by przyznawał parom jedнопłciowym jakiegokolwiek specjalne prawa, to ETPC swobodnie rozwinął wykładnię art. 8, stwierdzając, że „życiem rodzinnym” w rozumieniu tego przepisu mają być także relacje homoseksualne.

Tak zwana ewolucyjna wykładnia prawa jest zabiegiem stosowanym przez ETPC już wielokrotnie i najczęściej służy Trybunałowi do „uwspółcześniania” Konwencji. Stąd np. stanowisko ETPC w sprawie ochrony życia od poczęcia opiera się na zagwarantowaniu możliwości ratowania życia matki, a w pozostałym zakresie pozostawia państwom swobodę określenia dopuszczalności aborcji – pod warunkiem że regulacje te będą klarowne i możliwe do stosowania.

■ Czy taka linia orzecznicza jest zgodna z art. 2 ust. 1. Konwencji, który stanowi, że „prawo każdego człowieka do życia jest chronione przez ustawę”? Zdecydowanie nie. Podobnie jest w przypadku poszerzenia wykładni art. 8. o treści, których w nim nie ma. W trakcie prac legislacyjnych nad Konwencją jej twórcy nie dyskutowali przeciw kwestii statusu związków jednopłciowych, trudno więc dopatrywać się w art. 8. intencji ustanowienia przymusu instytucjonalizacji tego typu relacji.

Nawet argument konieczności „dopasowania” Konwencji do czasów współczesnych wydaje się być chybiony, skoro według badań opinii publicznej 80 proc. Rosjan wyrażało sprzeciw wobec ustanowienia „małżeństw” jednopłciowych. ETPC nie wziął tego argumentu pod uwagę (stwierdzając, że „poszanowanie dla praw mniejszości nie może być uzależnione od akceptacji większości”), co może oznaczać, że Trybunał niekoniecznie chce iść „z duchem czasu”, a raczej sam go kształtować.

ZNACZENIE WYROKU Z 2021 R.

Gdy w lipcu 2021 r. ETPC orzekł, że nie dając parom jednopłciowym możliwości sformalizowania ich związku, Rosja naruszyła art. 8. Konwencji, wiele państw RE, w tym Polska, wstrzymało oddech. Trybunał nie wskazał konkretnej formy prawnej sformalizowania związku. Nie narzucił zatem państwom RE wprowadzenia np. małżeństw osób tej samej płci. Uznał jednak, że brak jakiegokolwiek prawnej formy umożliwiającej sformalizowanie związku jednopłciowego stanowi naruszenie Konwencji.

Odniośł się też do wielu argumentów – nie podzielając ich – które w analogicznych sprawach podnosi Polska, w tym tego dotyczącego konstytucji. Trybunał stwierdził, że zarówno przewidziana w rosyjskiej konstytucji ochrona małżeństwa, jak i deklarowana przez rząd ochrona tradycyjnej rodziny nie sprzeciwiają się instytucjonalizacji związków jednopłciowych. W opinii ETPC wartości te wzajemnie się nie wykluczają. Argument dotyczący ochrony dzieci przed promocją homoseksualizmu został w pełni odrzucony jako „irrelevantny”.

Sprawa nie była jednak zupełnie przegrana: rząd rosyjski wniósł o przekazanie sprawy do Wielkiej Izby (co jest

dopuszczalne tylko w wyjątkowych przypadkach) i wniosek został przyjęty.

WYROK WIELKIEJ IZBY

Wyrokiem z 17 stycznia tego roku Wielka Izba utrzymała w mocy zaskarżone orzeczenie, uznając tym samym obowiązek „prawnego uznania i ochrony związków jednopłciowych”. Mimo że wyrok dotyczy Rosji i wiąże bezpośrednio właśnie ten kraj (a w zasadzie wiązałby, gdyby Rosja nadal była członkiem RE), nie ma wątpliwości, że orzeczenie to stanowić będzie podstawę dla rozstrzygnięć podobnych skarg kierowanych przeciwko innym państwom pozostającym członkami Rady Europy.

**Wyrażenie wiążącego
sprzeciwu wobec
ideologicznego orzeczenia
Trybunału stało się konieczne**

Nie przesądza to jeszcze stuprocentowo o problemach, jakie takie państwa jak Polska mogą mieć w związku z nową wykładnią art. 8., i nie jest to jeszcze bezpośrednie narzucenie Polsce obowiązku wprowadzenia choć jednej formy prawnej umożliwiającej instytucjonalizację związku osób tej samej płci. Nie ma jednak wątpliwości, że Trybunał – i to w składzie Wielkiej Izby – wyraźnie określił swoje stanowisko co do tej kwestii.

ZDANIA ODREBNE

Warto zwrócić uwagę, że wyrok Wielkiej Izby nie zapadł jednogłośnie, lecz głosami 14:3. Złożone zdania odrębne kwestionują zarówno meritum rozstrzygnięcia, jak i skład sędziowski.

Rozstrzygnięcia Wielkiej Izby nie poparli sędzia z Polski prof. Krzysztof Wojtyczek, sędzia ze Słowacji dr Alena Poláčeková, a także sędzia z Rosji Michaił Łobow, który jako przedstawiciel państwa niebędącego już członkiem RE w ogóle w składzie orzekającym nie powinien się znaleźć (zwróciła na to uwagę sędzia Poláčeková).

Sędzia Wojtyczek wskazał na brak podstaw prawnych do przymuszania państw członkowskich RE do formalizacji związków jednopłciowych. Podkreślił

też, że Rosja nie jest już członkiem RE, nie dotyczą jej więc wyroki ETPC – za to orzeczenie może mieć konsekwencje dla pozostałych 46 państw RE, które nie były stroną w sporze. W efekcie istnieje zagrożenie, że wyrok będzie wykorzystywany do wymuszania instytucjonalizacji związków jednopłciowych na państwach, których porządek konstytucyjny nie dopuszcza takiej możliwości oraz w których nie ma powszechnej akceptacji dla tego typu rozwiązań.

ORDO IURIS PRZED ETPC

Instytut Ordo Iuris już od lat aktywnie włącza się w wiele postępowań toczących się przed ETPC – także tych związanych z próbą podważenia gwarantowanej konstytucyjnie tożsamości małżeństwa. W opiniach przyjaciela sądu (amicus curiae) przedstawianych Trybunałowi Instytut wyprzedzająco wykazuje brak podstaw do uznania, że Polskie prawo i Konstytucja RP naruszają system praw człowieka poprzez brak instytucjonalizacji związków jednopłciowych. Dotychczas żadna sprawa z tej grupy nie została przez Polskę przegrana.

MOŻEMY SIĘ OBRONIĆ!

Czekanie na dalsze orzecznictwo umacniające stanowisko ETPC nie wydaje się właściwym kierunkiem. Każde państwo Rady Europy może jednak przyjąć deklarację interpretacyjną do wyroku ETPC, dzięki czemu zdystansuje się od treści danego wyroku i wątpliwej wykładni przepisów Konwencji.

Składając takie dokumenty, rządy mogą jasno wyartykułować, że prawo do prywatności nie może być podstawą do zmuszania suwerennych państw do formalizacji związków jednopłciowych. Rozwiązanie to pozwoli uniknąć Polsce narzucenia obowiązku instytucjonalizacji związków jednopłciowych przez Trybunał.

Dlatego, działając w budowanej od lat koalicji, Instytut Ordo Iuris już podejmuje działania, by przekonywać władze Polski i innych państw RE do wyrażenia sprzeciwu wobec wyroku ETPC w sprawie Fiedotowa i inni przeciwko Rosji. Wyrażenie wiążącego sprzeciwu wobec ideologicznego orzeczenia Trybunału stało się koniecznością.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest analitykiem Centrum Prawa Międzynarodowego Ordo Iuris.

Przynależność do bloku państw Zachodu obliguje nas do współdzielenia zachodniego kodu kulturowego. Nie da się rozdzielić korzyści płynących z gospodarczej, politycznej czy militarnej współpracy od przejmowania kultury, modeli wartości i stylu życia. I to nie tylko dlatego, że są to naturalne konsekwencje globalizacji. Na taki rozdział nie pozwalają nam także nieformalni liderzy świata, którego chcemy być częścią. Albo więc bierzemy cały pakiet, a w nim również ideologię, albo zostajemy z niczym.

O tym, że przeszczepianie systemu wartości do wszystkich krajów, które pragną mienić się sojusznikami Stanów Zjednoczonych, jest jednym z nadrzędnych celów polityki zagranicznej tego państwa, niejednokrotnie informowali już amerykańscy dyplomaci. Bix Aliu, charge d'affaires ambasady USA w Polsce, wyraźnie zaznaczył, że „wspieranie zasad demokratycznych, w tym praw człowieka i wolności prasy, jest jednym z priorytetów obecnej administracji, ale nie jest to nic nowego”. W rzeczywistości jest to stały priorytet wszystkich rządów USA już od wielu lat, jedynie akcentowany w różnym stopniu.

Kluczowym elementem tej zasady, a jednocześnie tym, który powinien najbardziej nas zaalarmować, są wspomniane prawa człowieka. To one zastąpiły bowiem wartości chrześcijańskie na pozycji filaru cywilizacji zachodniej. Ale są to prawa człowieka postrzegane dość specyficznie, bo ich podstawowym punktem jest walka o „położenie kresu stygmatyzacji osób LGBTQI+”.

Jak się jednak okazuje, nie wszyscy sojusznicy z równym entuzjazmem poddają się tej cywilizacyjnej przemianie, a Polska, ku niezadowoleniu Stanów Zjednoczonych, pozostaje w tym pędzie nieco czarną owcą.

PO ZŁEJ STRONIE HISTORII

Na Zachodzie zapracowaliśmy już na łatkę kraju niezwykle homofobicznego. W dorocznych raportach Departamentu Stanu USA, poświęconych przestrzeganiu praw człowieka, jednym z podstawowych aspektów, w których Polska notuje znaczące niedostatki, są właśnie prawa społeczności LGBT. Najważniejsze zarzuty dotyczą wypowiedzi polityków,

które mają stanowić mowę nienawiści, przypadki napaści na homoseksualistów czy istnienie w Polsce rzekomych stref wolnych od LGBT. Choć stawiane nam zarzuty w niewielkim stopniu pokrywają się z rzeczywistością, to w świat – w dużej mierze za sprawą rodzinnych aktywistów – wyszedł już jasny sygnał.

polityka i ideologia. Tutaj nie chodzi się na kompromisy.

Nic nie jest więc ważniejsze i bardziej warte walki niż bożek praw człowieka. Aby je chronić, należy użyć całego możliwego arsenału środków. Przedstawiciele ambasady uczestniczą w Paradzie Równości, a ich budynki

Jak nas widzą w USA?



Aleksandra Gajek

Niezależnie od geopolitycznego rozkładu sił i sytuacji ekonomicznej w stosunkach Stanów Zjednoczonych z innymi krajami jedno pozostaje niezmiennie – poczucie misji, które każe USA traktować szerzenie swojskie pojętej demokracji i praw człowieka jako jedno z pryncypiów w prowadzeniu polityki zagranicznej. To, że ostatecznym celem są zmiany legislacyjne i wprowadzenie najbardziej skrajnych postulatów ideologów LGBT, jest właściwie pewne

Ten niekorzystny obraz potwierdzają działania dyplomatów, którzy ze wszystkich sił starają się walczyć z dyskryminacją osób LGBT nad Wisłą. Ambasadorzy na wszelkie możliwe sposoby demonstrują swoje poparcie dla jednej strony w tym konflikcie wartości i bynajmniej nie uważają, aby było to przekroczenie obowiązującej ich neutralności. Jak wyjaśniała była ambasador USA Georgette Mosbacher: – Żaden ambasador nie ma prawa wpływać na politykę suwerennego państwa, ale prawa człowieka to nie

w czasie Miesiąca Dumi podświetlone są w kolorach tęczy flagi. Zwyczajowo co roku w czerwcu ambasadorowie różnych krajów wspierających szerzenie ideologii LGBT publikują listy, w których wyrażają uznanie dla wysiłków organizacji i osób wspierających w Polsce mniejszości seksualne. Tajemnicą nie jest też sympatia obecnego ambasadora USA Marka Brzezinskiego w stosunku do aktywistów LGBT i współpraca ambasady z organizacjami szerzącymi tę ideologię, np. z grupą Stonewall.

■ To jednak tylko narzędzia miękkiego nacisku, które obliczone są na dokonanie zmiany społecznej. Zgodnie z zasadami amerykańscy dyplomaci unikają bowiem klarownej odpowiedzi na pytania o konkretne działania legislacyjne. To nie tylko polityczna zręczność. To także przemyślana strategia, bo zasady inżynierii społecznej nakazują zdecydowanie powolne gotowanie żaby. Wiedząc, że Polacy mogliby zareagować buntem na zbyt daleko posunięte próby ingerowania w system prawny, Georgette Mosbacher, zapytana nieco bardziej wprost o to, czy Stany chcą narzucić Polsce uznanie „małżeństw” jedнопłciowych, odpowiedziała wymijająco: – Nie chcę wchodzić w szczegóły legislacyjne, bo to sprawa należąca do Polski. Mówię tylko, jakie są konsekwencje posiadania reputacji kraju nieprzyjaznego mniejszościom LGBT.

Pomijając jednak te drażliwe kwestie, była ambasador przedstawiła sprawę jasno: ostatecznie nie mamy wyjścia, a inkulturacja wzorców zachodnich, wraz z tamtejszym pojmowaniem praw człowieka, musi dokonać się również u nas. I nie ochronią nas przed tym ani nasza tradycja, ani tożsamość narodowa czy religia. – W pełni rozumiem i szanuję to, że Polska jest krajem katolickim – nikt nie chce tego podważać. Niemniej musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko – stwierdziła.

MIĘKKIE NARZĘDZIA W TWARDEJ GRZE

Jak więc USA chciałyby przymusić Polskę do dokonania postępu, skoro nie mogą – i nie chcą, bo wbrew pozorom miałyby to niższą skuteczność – skłaniać nas do tego siłą?

Jak trafnie wyraził to Bix Aliu, nie chodzi o amerykański „przykład siły, ale o siłę przykładu”. Zmiany dokonają się więc tak niezauważalnie, że ostatecznie sami zechcemy być tak otwarci i inkluzywni jak nasi sojusznicy.

Z jednej strony mamy zatem wspomniane narzędzia miękkiego nacisku, a nazywając rzeczy nieco bardziej po imieniu – możliwości działania propagandowego. Medialnych tub amerykańskiej wizji praw człowieka nie trzeba wskazywać palcem. Oprócz tego ponosimy też normalne

Amerykańskie media czy influencerzy zyskują zdolność do kształtowania postaw odbiorców także w Polsce

konsekwencje globalizacji, która sprawiła, że amerykańskie media, celebryci czy influencerzy zyskują światowy rozgłos, a tym samym zdolność do kształtowania postaw i mentalności swoich odbiorców zarówno w Stanach, jak i w Polsce.

Tak przeprowadzana powolna zmiana ma niebagatelne znaczenie: przygotowuje społeczeństwo do tego, aby własnymi rękoma dokończyło dzieła. I również tego nie kryje Bix Aliu, zaznaczając, że „to rolę polskiego społeczeństwa jest popieranie polityki rządu lub przeciwstawianie się jej”. Ostatecznie to sami Polacy, swoimi decyzjami wyborczymi i wpływaniem na sprawujących władzę, tak jak należy to do suwerena, mają więc doprowadzić do konkretnych rezultatów. Na szczycie celów do osiągnięcia jest zaś w tym wypadku wprowadzenie tzw. równości małżeńskiej, czyli usankcjonowanie





FOT. ANDRZEJ STOK

„małżeństw” jedнопłciowych i umożliwienie homoseksualistom adopcji dzieci.

Jednakże najskuteczniejszym środkiem oddziaływania pozostają jak zawsze pieniądze. Amerykanie zaś zrećnie stosują zarówno kij, jak i marchewkę. – Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę, przekładając się też na konkretne decyzje biznesowe – ostrzegła ambasador Mosbacher, dodając, że „przedsiębiorcy nie chcą jechać i inwestować tam, gdzie ich pracownicy nie są szanowani i nie mają praw, które akceptuje większość świata Zachodu”. Przesłankami światopogląd-

dowymi kierują się także amerykańscy kongresmeni, którzy rozdzielając fundusze np. na zbrojenia, mają zdaniem Mosbacher rozmyślnie pomijać Polskę ze względu na brak poszanowania praw mniejszości seksualnych, co dla wielu z nich stanowi istotny czynnik.

Oprócz odbierania pieniędzy Amerykanie jednak równie chętnie je rozdają. Ich placówki dyplomatyczne ogłosiły właśnie rozpoczęcie kolejnej edycji programu grantowego Notice of Funding Opportunity, w ramach którego polskie organizacje pozarządowe, instytucje kulturalne i edukacyjne oraz media mogą ubiegać się o przy-

Priorytetem polityki zagranicznej USA jest angażowanie się w promocję praw człowieka

znanie grantów na „programy wspierające potrzeby społeczności LGBTQI+ w Polsce”. Fundusze z grantów mogą zostać przeznaczone na edukację, docieranie do opinii publicznej i „podnoszenie świadomości”, a także „szkolenia w zakresie różnorodności i integracji” czy „budowanie potencjału organizacji pozarządowych wspierających społeczność LGBTQI+ w Polsce”.

KULTUROWA KONTRA

Biorąc pod uwagę to, że priorytetowym celem polityki zagranicznej naszego największego sojusznika jest angażowanie się „w promocję praw człowieka osób LGBTQI+” na całym świecie, nie ma wątpliwości, że taka kolonizacja ideologiczna ma się dokonać także w Polsce. I to w pełni – a więc wraz z wprowadzeniem prawa do zawierania związków „małżeńskich” i adopcji dzieci przez homoseksualistów – choć na tym etapie ujawnianie tak dalekosieźnych planów nie byłoby jeszcze rozsądne.

Czy możliwe jest jeszcze zatrzymanie tej ogromnej operacji inżynierii społecznej? Wiele w tej kwestii zależy od nas: od tego, jak dalece pozwolimy dokonać się tej zmianie i czy będziemy mieli możliwości i środki, aby się jej przeciwstawiać. W gruncie rzeczy mamy bowiem te same ograniczenia i szanse, a siła wyprowadzanej przez obrońców rodziny kulturowej kontry zależeć będzie od tych samych czynników: zaangażowania, funduszy na działania i umiejętności ich efektywnego prowadzenia. Również w tej kwestii mniej możemy liczyć na twarde polityczne narzędzia, a bardziej na miękkie działania kształtujące opinię społeczną i wpływające na kierunek debaty.

Spierniasz się z kulturowymi marksistami o to, czy rzeczywiście w sprawie praw człowieka i afirmacji środowisk LGBT jesteśmy „po złej stronie historii”, nie ma większego sensu. Kluczowe jest to, abyśmy ostatecznie nie znaleźli się po stronie przegranej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest redaktorem portalu Marsz.info.



Marek Puzio

Czy ONZ może narzucić Polsce wdrożenie do porządku prawnego postulatów ruchu LGBT?

Organizacja Narodów Zjednoczonych (ONZ) powstała w 1945 r. jako następczyni Ligi Narodów, która nie spełniła pokładanych w niej nadziei utrzymania pokoju na świecie po pierwszej wojnie światowej.

Podstawą funkcjonowania ONZ jest Karta Narodów Zjednoczonych, podpisana 26 czerwca 1945 r. w San Francisco, będąca umową międzynarodową. Polska jest jednym z 51 państw założycielskich organizacji, przy czym Karta została podpisana przez polskiego ministra spraw zagranicznych dopiero 15 października 1945 r. (po powołaniu w Warszawie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej), a dzień później była ratyfikowana. Dzień złożenia polskiego dokumentu ratyfikacyjnego w Departamencie Stanu USA – 24 października 1945 r. – jest zarazem dniem wejścia w życie postanowień Karty.

OCHRONA PRAW CZŁOWIEKA

Mimo że bezpośrednim asumptem powstania ONZ były dwie wielkie wojny światowe i potrzeba zapobieżenia podobnym konfliktom w przyszłości, od początku swego funkcjonowania organizacja dużą wagę przywiązywała do ochrony praw człowieka. Wyrazem tego są m.in. przepisy Karty nawiązujące do praw człowieka (zob. cele ONZ wymienione w punkcie trzecim pierwszego artykułu Karty), powołanie w 1946 r. Komisji Praw Człowieka ONZ (zastąpionej w 2006 r. Radą Praw Człowieka ONZ) oraz uchwalenie 10 grudnia 1948 r., podczas trzeciej sesji Ogólnego Zgromadzenia ONZ obradującej w Paryżu, Powszechnej deklaracji praw człowieka.

O ile uchwalenie Powszechnej deklaracji praw człowieka było wyrazem szerokiego konsensusu i uniwersalnego pojmowania praw człowieka, o tyle z czasem zaczęto „wysnuwać” kolejne prawa człowieka oraz w różny sposób

interpretować te już zapisane, których rozumienie zasadniczo nie budziło wcześniej wątpliwości. Przykładem „ewolucji” w zakresie pojmowania i ochrony poszczególnych praw człowieka jest prawo do równego traktowania kobiet i mężczyzn, czemu dano wyraz zarówno w Karcie Narodów Zjednoczonych, jak i w Powszechnej deklaracji praw człowieka, stanowiących w swoich preambułach o „równouprawnieniu kobiet i mężczyzn”.

Kolejne konwencje uchwalane pod auspicjami ONZ były uszczegółowieniem poszczególnych praw kobiet – m.in. prawa do równego wynagrodzenia za taką samą pracę (zob. Konwencja w sprawie równego wynagrodzenia z 1951 r.), prawa głosu, możliwości startowania w wyborach i piastowania funkcji publicznych na równych warunkach z mężczyznami (zob. Konwencja o prawach politycznych kobiet z 1952 r.) czy prawa dostępu do

oświaty na równych zasadach (zob. Konwencja w sprawie zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty z 1960 r.).

Swego rodzaju novum w walce o równouprawnienie zawiera przyjęta 18 grudnia 1979 r. Konwencja w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet (dalej: CEDAW, Dz.U. z 1982 r. nr 10, poz. 71). Jej art. 5 lit. a zobowiązuje państwa strony do „zmiany społecznych i kulturowych wzorców zachowania mężczyzn i kobiet w celu osiągnięcia likwidacji przesądów i zwyczajów lub innych praktyk, opierających się na przekonaniu o niższości lub wyższości jednej z płci albo na stereotypach roli mężczyzny i kobiety”.

O ile zatem początkowe rozumienie równości kobiet i mężczyzn dotyczyło tak oczywistych zagadnień, jak równość dostępu do edukacji, prawo do równego wynagradzania czy korzystania z biernego i czynnego prawa wyborczego, o tyle



FOT. ADRIAN STOK

ewolucja tego pojęcia doprowadziła do dążenia do zatarcia niemalże wszelkich różnic pomiędzy płciami, co doskonale widzimy współcześnie w postulatach głoszonych przez zwolenników teorii gender.

CZY POLSCE MOŻNA NARZUCIĆ ŻĄDANIA LOBBY LGBT?

Zgodnie z art. 2 ust. 1 Karty „Organizacja opiera się na zasadzie suwerennej równości wszystkich swych członków”. Zasada ta wskazuje, że ONZ nie jest „superpaństwem” federacyjnym, posiadającym władzę ustawodawczą i wykonawczą oraz dysponującym aparatem przymusu bezpośredniego, który zapewnia egzekwowanie przestrzegania ustanowionego prawa. Suwerenność państw członkowskich oznacza, że państwa te mogą dobrowolnie przyjąć na siebie określone zobowiązania, np. w drodze umów międzynarodowych. Obowiązek przestrzegania tego rodzaju porozumień wynika z dobrej wiary oraz zasady pacta sunt servanda, znajdującej swój wyraz m.in. w art. 9 Konstytucji RP, zgodnie z którym „Rzeczpospolita Polska przestrzega wiążącego ją prawa międzynarodowego”.

Umowy międzynarodowe są źródłem prawa powszechnie obowiązującego, wymienionym również w art. 87 Konstytucji RP. Te, które zostały ratyfikowane za zgodą wyrażoną w ustawie, w przypadku kolizji z ustawą mają przed nią pierwszeństwo, plasując się w hierarchii źródeł prawa bezpośrednio za konstytucją.

Choć umowy międzynarodowe powinny wystarczająco jasno odzwierciedlać wolę ich stron co do przyjęcia określonych obowiązków, to jednak ich postanowienia często nie są wystarczająco precyzyjne.

W związku z powyższym w konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów z 23 maja 1969 r. (Dz.U. 1990 nr 74, poz. 439) zawarto reguły dokonywania interpretacji umów międzynarodowych. Zgodnie z art. 31 konwencji interpretacji traktatu dokonuje się w dobrej wierze, zgodnie ze zwykłym znaczeniem, jakie należy przypisywać użytym w nim wyrazom w ich kontekście, oraz w świetle jego przedmiotu i celu. Termin „kontekst” obejmuje z kolei tekst, łącznie z jego wstępem i załącznikami, a ponadto wszelkie poro-

zumienia dotyczące traktatu osiągnięte między wszystkimi stronami w związku z zawarciem traktatu oraz dokumenty sporządzone przez jedną lub więcej stron w związku z zawarciem traktatu, które zostały przyjęte przez inne strony jako dokumenty odnoszące się do traktatu.

Co istotne, łącznie z kontekstem przy interpretacji danej umowy należy brać pod uwagę:

a) każde późniejsze porozumienie między stronami dotyczące interpretacji traktatu lub stosowania jego postanowień;

b) każdą późniejszą praktykę stosowania traktatu ustanawiającą porozumienie stron co do jego interpretacji;

c) wszelkie odpowiednie normy prawa międzynarodowego, mające zastosowanie w stosunkach między stronami.

NIC O NAS BEZ NAS? NIEKONIECZNIE

Może się zdarzyć, że z czasem z tego samego postanowienia traktatowego mogą być wywodzone zupełnie inne zobowiązania niż te, na które umawiały się strony w momencie zawierania umowy międzynarodowej (patrz lit. a i b powyżej oraz przykład ewolucji zasady „równości kobiet i mężczyzn”). Co więcej, współcześnie konwencja wiedeńska traci na znaczeniu, a zyskuje tzw. dynamiczna metoda wykładni traktatów, w której przy interpretacji przepisu najważniejszy nie jest tekst, ale kontekst społeczny, ustalany przez członków organizacji międzynarodowych.

Niemniej w dalszym ciągu praktyka stosowania traktatu nie pozostaje bez wpływu na sposób dokonywania jego wykładni, a dodatkowo może stać się odrębnym źródłem prawa międzynarodowego w postaci normy zwyczajowej (wymienianej jako jedno ze źródeł prawa międzynarodowego w art. 38 lit. b Statutu Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, będącego załącznikiem do Karty). Jeśli dane państwo nie akceptuje określonej praktyki, to powinno jednoznacznie i konsekwentnie się jej sprzeciwiać. Taki sprzeciw pozwala, aby wyrażający go kraj nie był zobowiązany do stosowania wykreowanej normy prawa zwyczajowego. Zachowanie biernej postawy oznacza de facto milczące przyzwolenie, którego skutkiem norma

zwyczajowa stanie się dla państwa wiążąca.

I tak np. uznawanie – czy to w orzecznictwie sądów oraz międzynarodowych trybunałów czy w wypowiedziach reprezentantów państw lub organizacji międzynarodowych, w tym również w postaci formalnie niewiążących rezolucji ONZ – że zakaz dyskryminacji ze względu na płeć obejmuje również tożsamość płciową, przy zachowaniu biernej postawy naszych władz może doprowadzić do powstania normy zwyczajowej, dając dodatkowe argumenty różnego rodzaju komitetom monitorującym do kwestionowania wywiązania się Polski z zobowiązań międzynarodowych w zakresie przestrzegania praw człowieka. Wytworzenie tego rodzaju normy zwyczajowej może w dalszej perspektywie uzasadniać tezę, że w Polsce de facto obowiązuje prawo, które jednoznacznie zakazuje jakiegokolwiek dyskryminacji ze względu na tożsamość płciową. W praktyce mogłoby to prowadzić np. do stwierdzenia obowiązku po stronie polskiego ustawodawcy, ustanowienia przepisów zapewniających zmianę oznaczenia płci metrykalnej bez nadmiernych niedogodności tudzież uznania prawa do zawierania małżeństw między osobami o tej samej płci biologicznej, z których jedna identyfikuje się jako osoba płci przeciwnej, przy zapewnieniu im przywilejów i wsparcia, które przysługują małżeństwom.

Czy zatem ONZ może narzucić Polsce prawne rozwiązania uwzględniające postulaty ruchu LGBT? Obecnie nie jest to możliwe w sposób bezpośredni. Niemniej tworzenie tzw. soft law w postaci rezolucji, budowanie określonej narracji poprzez wypowiedzi, komunikaty czy stanowiska zajmowane przez gremia międzynarodowe względem pewnych zjawisk mogą być narzędziem rozwoju wiążącego prawa zwyczajowego w postaci np. uznania prawa do aborcji czy instytucjonalizacji związków jedнопłciowych. Sposobem uniknięcia takiego scenariusza jest jednoznaczne wyrażanie przez Polskę sprzeciwu wobec tego rodzaju interpretacji, z którymi jako społeczeństwo się nie zgadzamy. Zachowywanie biernej postawy może doprowadzić do tego, że zupełnie niepostrzeżenie obudzimy się w nowej rzeczywistości z nowym porządkiem prawnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest analitykiem Instytutu Ordo Iuris.

Czy biskupi w Polsce mogą błogosławić związki jedнопłciowe?



Paweł Chmielewski

W wielu krajach katolicki biskupi flirtują z ideologią LGBT. Coraz powszechniejsze jest udzielanie błogosławieństw związkom homoseksualnym. Wprowadzenie w Kościele katolickim w naszym kraju jakiegokolwiek formy uznania związków jedнопłciowych mogłoby mieć poważne konsekwencje w relacjach... z państwem

We włoskim Budrio 11 czerwca na terenie archidiecezji Bolonii ksiądz pobłogosławił dwóch homoseksualnych „nowożeńców”. Mężczyźni najpierw zawarli jedнопłciowy związek partnerski w urzędzie państwowym. Bezpośrednio po tym, wraz z tłumem gości towarzyszących ceremonii,

przeszli do kościoła położonego po drugiej stronie ulicy. Wnętrze przystrojono jak na prawdziwy ślub. Kapłan błogosławił im „na nową drogę życia”, zebrani głośno okazywali radość. Skandal? Tylko w ocenie nielicznych mediów prawicowych. Katolickiego mainstreamu w ogóle to nie poruszyło – i nic dziwnego, bo ceremonia odbyła się za wiedzą metropolity, kard. Matteo Zuppiego. Księżda nie spotkały wobec tego żadne konsekwencje.

Luminarze włoskiego liberalizmu byli bardzo zadowoleni: od 2016 r. państwo włoskie uznaje związki homoseksualne. Proboszcz z Budrio dał zatem przykład „otwartości” katolicyzmu i podążania z duchem czasu. Tym bardziej że po drugiej stronie Alp takie praktyki są normą już od dawna. W Austrii od kilku lat organizuje się „walentynki dla wszystkich” – zakochane pary przychodzą do kościołów po błogosławieństwo, bez względu na płeć.

BŁOGOSŁAWIONE HOMOMAŁŻEŃSTWA

W ostatnich miesiącach praktyka kościelnego aprobowania związków homoseksualnych zaczyna być ujmowa-

na w oficjalnych dokumentach. W Belgii homomałżeństwa są legalne od 2003 r. Kościelni progresiści uzgodnili praktykę duszpasterską ze świeckim prawodawstwem we wrześniu 2022 r. Biskupi belgijskiej Flandrii ogłosili wytyczne dotyczące błogosławienia związków jedнопłciowych. Odtąd ci homoseksualiści, którzy zawarli w urzędzie świeckim pseudomałżeństwo, mogą liczyć na jawną ceremonię kościelną. Dwa miesiące później biskupi odwiedzili papieża. Jak ujawnił jeden z nich, Johan Bonny z Antweprii, Franciszek stwierdził, że nie będzie się wtrącać, bo „to ich decyzja”.

W Niemczech jedнопłciowe „małżeństwa” Bundestag przegłosował w czerwcu 2017 r. Biskupi ogłosili natychmiast, że domaga się to kościelnej odpowiedzi: bynajmniej nie w postaci potępienia, ale... dostosowania. W jednym z dokumentów podali, że w ich ocenie katolicka nauka uznaje homoseksualizm za naturalny. W kraju zorganizowano oddolnie wielkie kampanie na rzecz uznania „normalności” takich skłonności – w ich ramach w kościołach błogosławiono związki gejowskie, oficjalnie jeszcze bez zgody biskupów.

W marcu 2023 r., w ramach procesu zwanego „drogą synodalną”, większość biskupów przyjęła wprowadzenie takich błogosławieństw. Jak podsumował arcybiskup Monachium i Fryzycji kard. Reinhard Marx, „wreszcie” będzie mógł zupełnie jawnie organizować ceremonie kościelne dla homomałżeństw – wcześniej też to wprawdzie robił, ale nieco skrycie, w związku z brakiem podstawy w dokumentach episkopatu.

W Polsce jak dotąd żaden biskup nie zadeklarował pragnienia błogosławienia związków jedнопłciowych. Od dłuższego czasu debatuje się jednak nad organizacją duszpasterstwa dla środowisk LGBT. Grupy katolików liberalnych zabiegają też o większe otwarcie na homoseksualizm i pójsie śladem Belgów, Niemców czy części Włochów. Dziś wydaje się to mało prawdopodobne, co nie znaczy, że nacisk nie będzie narastać. Jesteśmy świadkami pogłębiania procesów integracji europejskiej nie tylko na płaszczyźnie politycznej, lecz także kościelnej, do czego podstawę daje trwający globalny proces synodalny. Na niedawnym spotkaniu w Pradze europejscy biskupi przyjęli maksymę „jedność w różnorodności”: w różnych diecezjach panuje odmienna dyscyplina w zakresie moralności, ale pozostajemy wspólnotą. Dlatego gdyby jacyś biskupi w naszym kraju zapragnęli „zmodernizować” duszpasterstwo tak, aby de facto uznawać homozwiązki, to najpewniej nie napotkali by w Watykanie większego sprzeciwu. Wydaje się jednak, że mieliby problem innego rodzaju – dotyczący konkordatu i konstytucji.

KONKORDAT I KONSTYTUCJA A MAŁŻEŃSTWO

Konkordat między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską został zawarty w 1993 r. Dwa jego artykuły dotyczą bezpośrednio małżeństwa. W artykule 10. czytamy, że zawarcie małżeństwa kanonicznego „wywiera takie skutki, jakie pociąga za sobą zawarcie małżeństwa zgodnie z prawem polskim”. To oznacza, że ewentualne wprowadzenie w Kościele homoseksualnych „małżeństw” nie miałyby żadnych bezpośrednich skutków w prawie świeckim w adekwatnym zakresie.

Pytanie jednak, czy Kościół w ogóle mógłby bezproblemowo wprowadzić

religijne homomałżeństwa czy choćby błogosławić związki jedнопłciowe. W art. 11 konkordatu wskazano, że strony „deklarują wolę współdziałania na rzecz obrony i poszanowania instytucji małżeństwa i rodziny będących fundamentem społeczeństwa”, a ponadto „podkreślają one wartość rodziny, przy czym Stolica Apostolska ze swojej strony potwierdza naukę katolicką o godności i nierozzerwalności małżeństwa”. Artykuł 18 Konstytucji RP z kolei definiuje małżeństwo „jako związek kobiety i mężczyzny” i wraz z „rodziną, macierzyństwem i rodzicielstwem” otacza go „ochroną i opieką” Rzeczypospolitej.

Wydaje się zatem, że ewentualne wprowadzenie w polskim Kościele katolickim błogosławieństwa związków jedнопłciowych, a tym bardziej jedнопłciowych „małżeństw”, stanowiłoby jawne naruszenie konkordatu, bo mielibyśmy poważny rozdzźwięk między kościelnym a państwowym rozumieniem pojęć małżeństwa i rodziny. Trudno mówić w takiej sytuacji choćby o „współdziałaniu na rzecz obrony i poszanowania instytucji małżeństwa i rodziny”. Jak wskazał w rozmowie z „Do Rzeczy” mec. Łukasz Bernaciński z Instytutu Ordo Iuris, gdyby państwo polskie uznało, że kościelna praktyka wobec związków LGBT narusza zasady Konstytucji RP, to mogłoby to stać się podstawą do wypowiedzenia konkordatu (przy czym i tak konieczne byłoby wypracowanie nowego konkordatu, czego wymaga art. 25 ust. 4 Konstytucji RP).

Z drugiej strony art. 53 ust. 1 i 2 Konstytucji RP zapewniają każdemu „wolność sumienia i religii”. Konkordat również odnosi się do wolności religijnej: art. 5 tego dokumentu zapewnia Kościołowi katolickiemu „swobodne i publiczne pełnienie jego misji”, a art. 8: „wolność sprawowania kultu”. Na zasadę wolności wyznania powoływała się już jedna z organizacji zainteresowana „religijnymi” homoślubami. W 2020 r. zarejestrowano w Polsce związek wyznaniowy pod nazwą Reformowany Kościół Katolicki. Głosi on m.in. otwartość na LGBT – oferuje ceremonię, którą określa homoseksualnym „ślubem”. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro wniósł sprzeciw do MSWiA wobec decyzji o rejestracji.

Resort doszedł do wniosku, że rejestracja rzeczywiście jest nieważna, właśnie ze względu na brzmienie art. 18 Konstytucji RP. Niestety, Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie ostatecznie doprowadził do blokady interwencji ministra i Reformowany Kościół Katolicki pozostaje w Polsce wspólnotą legalną.

Biorąc pod uwagę takie orzecznictwo, można mieć poważne wątpliwości co do skuteczności ewentualnej interwencji państwa w przypadku próby wprowadzenia przez biskupów Kościoła katolickiego nie tyle przecież nawet „małżeństw” jedнопłciowych, ile „jedynie” błogosławienia nieformalnych związków gejowskich. Artykuł 53 ust. 5 konstytucji mówi wprawdzie o możliwości ograniczenia wolności uzewnętrzniania religii w drodze ustawy, jeżeli jest to konieczne dla ochrony m.in. moralności. Nawet jeżeli władze państwa mogłyby, powołując się na ten zapis, podjąć próbę odwiedzenia katolickich biskupów od wprowadzania liturgicznych ceremonii błogosławienia związków homoseksualnych, to nie musiałyby to być skuteczne.

Obecnie pojawienie się w Kościele katolickim w Polsce biskupów, którzy próbowaliby wprowadzać błogosławieństwa par homoseksualnych, jest jednak wciąż mało prawdopodobne. Praktyka pokazuje, że takie inicjatywy rodzą się w Kościele wyłącznie responsywnie, jako reakcja na akceptowanie homoseksualnych związków partnerskich lub jedнопłciowych „małżeństw” przez państwo. W tym tkwi prawdziwe zagrożenie: jeżeli wskutek decyzji politycznych w Polsce pojawiłyby się rozwiązania prawne, które wychodziłyby naprzeciw postulatowi środowisk LGBT, to mogłoby to znaleźć swoje odzwierciedlenie również w Kościele. Tym samym odejście ustawodawstwa świeckiego od prawa naturalnego mogłoby pociągać za sobą również zapoznanie przez część biskupów właściwej katolickiej misji i podjęcie przez nich próby uzgadniania praktyk duszpasterskich lub zgola doktryny z prawem świeckim. Istnienie takiego niebezpieczeństwa jest kolejnym powodem, by świadomy katolik zdecydowanie sprzeciwiał się uznawaniu związków jedнопłciowych w Polsce w jakiegokolwiek prawnej formie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Z Janem Sadkiewiczem, redaktorem „Pism wybranych” Stanisława Cata-Mackiewicza oraz serii „Historia i Polityka” rozmawia Łukasz Warzecha

Żaden naród nie jest wolny od romantyzmu





„Stańczyk”. Obraz Leona Wyczółkowskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

ŁUKASZ WARZECHA: Czy istnieje polska szkoła realizmu politycznego?

JAN SADKIEWICZ: Tak, i to bardzo bogata. Za jej fundatora uważałbym Stanisława Koźmiana z jego „Rzecz o roku 1863”, a szerzej – w ogóle stańczyków krakowskich. W następnych pokoleniach to Roman Dmowski, Stanisław Mackiewicz, bracia Bocheńscy, Stanisław Stomma, a bliżej naszych czasów – Andrzej Walicki i Bronisław Łagowski.

Powiedział pan o stańczykach jako kładących fundament pod polską szkołę realizmu. Korzeniem było tutaj traumatyczne doświadczenie roku 1863. Jeśli spojrzeć na mit powstania styczniowego, który trwa do dzisiaj, to jest on niemal całkowicie bezkrytyczny. Stańczycy wzięli się zaś z krytycznego podejścia do tego wtedy świeżego doświadczenia i może to jest część odpowiedzi na pytanie o słaby wpływ myśli realistycznej na polską politykę: nie konweniuje z mitologią, którą kochamy.

To efekt zmagani, które szkoła realistyczna toczy ze swoimi przeciwnikami ideowymi, których można określić jako idealistów, romantyków czy utopistów. Na postrzeganie roku 1863 miał wpływ swego rodzaju cud polityczny, którym było odzyskanie niepodległości w 1918 r., w pewnym sensie wbrew logice i realizmowi. Cat-Mackiewicz nazwał nawet tamten moment klęską realizmu politycznego, a Bronisław Łagowski – pozornym zwycięstwem romantyków, ponieważ Polska odzyskała niepodległość w wyniku nieoczekiwanego zakończenia pierwszej wojny światowej, gdy wszyscy trzech zaborcy zostali pokonani, choć walczyli w przeciwnych obozach. To niejako wykrzywiło polską myśl polityczną, ponieważ pozwoliło zbudować mit, że insurekcje prowadziły do niepodległości, mimo że związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy powstaniami a rokiem 1918 nijak nie da się przeprowadzić. Nawet przeciwnie – zgadzam się z tezą, że gdyby nie powstania, Polska odzyskałaby niepodległość w lepszych warunkach. Właśnie tamto wydarzenie zepchnęło realistów do defensywy.

Jaki wpływ na spór między realizmem a idealizmem mają dwa nowsze mity: mit powstania warszawskiego i mit Żołnierzy Wyklętych? Czy to skoordynowany atak romantyków?

Skoordynowanym atakiem bym tego nie nazwał. To nie jest spisek romantyków przeciwko realistom. Zakładałam, że wielu

ludzi, którzy te mity głoszą, działa niezależnie od siebie i naprawdę wierzy w to, co mówi. Niemniej faktycznie wszystkie te mity mają pewną wspólną cechę, obecną w polskim myśleniu o polityce i w ogóle o funkcjonowaniu narodu w świecie: że najwyższą formą istnienia narodu jest walka. Walka zawsze ma mieć wyższość nad kompromisem czy ustępstwem.

Szkoła romantyczna potrafiła wielu przekonać, że walka przynosi skutki pozytywne, nawet jeśli nie są one dostrzegane od razu albo wręcz w ogóle nie da się ich dostrzec. Profesor Andrzej Walicki stwierdzał, że polityków powinno się rozliczać z bezpośrednich skutków ich działań. Tymczasem w polskiej wyobraźni politycznej ukształtowało się przekonanie, że działania bezpośrednio przynoszące czasami straszliwe szkody i straty można usprawiedliwić i obronić, powołując się na jakieś domniemane korzyści, które kraj odnosi w perspektywie kilkudziesięciu, a nawet kilkuset lat.

Wspomniał pan Romana Dmowskiego jako jednego z przedstawicieli polskiej szkoły realistycznej. Można odnieść wrażenie, że dzisiaj niektóre osoby odwołujące się do jego myśli całkowicie ten jej aspekt pomijają. W czym przejawiał się realizm Dmowskiego?

W publicystyce politycznej Dmowskiego jest wiele rzeczowej i przenikliwej krytyki romantycznych polskich zrywów. Cenne jest też u niego rozumienie, że konflikt polityczny nie pokrywa się z konfliktem moralnym. Dmowski stwierdza, że nie czuje nienawiści do Niemców czy Rosjan za to, iż realizują swój państwowy interes. Rozumie, że ten interes może być sprzeczny z polskim, i gotów jest z nimi walczyć – ale bez nienawiści. Nienawiść czuje do ludzi nikczemnych, niezależnie od tego, jakiej są narodowości. Natomiast jest tu pewien paradoks. Dmowski był ideologiem nacjonalizmu, czyli prądu myślowego, który od XIX w. jest jednym z najważniejszych w polityce międzynarodowej. To nacjonalizm, w połączeniu z rewolucją przemysłową – która udostępniła narodom znacznie potężniejsze narzędzia toczenia walki niż wcześniej osiągalne – sprawił, że wojny z ograniczonych konfliktów monarchów, którymi były jeszcze w XVIII w., przerodziły się w wojny narodów. Żeby zaś skłonić narody do tak morderczych konfliktów, trzeba im pokazać przeciwnika jako

Uosobienie zła, bo inaczej narody nie godziłyby się z ponoszeniem takich ofiar. I na to polscy realiści także zwracali uwagę. Niestety, dziś już bardzo trudno byłoby sprawić, aby wojna nie wiązała się z aż takim natężeniem nienawiści.

Wspomniał pan, mówiąc o Dmowskim, że konflikt polityczny nie pokrywał się w jego oczach z konfliktem moralnym. Dzisiaj zdecydowana większość tak jednak na to patrzy i sądzi, że polityka międzynarodowa to proste przedłużenie obowiązków moralnych, działających między ludźmi. Czy to jest podejście unikatowe dla Polaków czy może jednak uniwersalne?

Rodzimi realiści wiele przywar naszej zbiorowej wyobraźni politycznej uznawali za typowo polskie. Ja jednak byłbym zdania, że natura ludzka aż tak bardzo się nie różni w zależności od narodowości. Takie rozważania, jak np. Edwarda Halletta Carr'a z jego książki „Kryzys dwudziestolecia”, pokazują, że wiele tego rodzaju fałszywych wyobrażeń o polityce nie jest wyjątkowych dla Polaków. Zwracam uwagę właśnie na Carr'a, bo Brytyjczycy uchodzą w Polsce – w dużej mierze za sprawą Cata-Mackiewicza, który to wielokrotnie powtarzał – za mistrzów realizmu politycznego i naród, który zawsze prowadził politykę zimną i wyrachowaną. Carr pokazał, jak wiele było idealizmu i przede wszystkim utopizmu w polityce brytyjskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego. A więc żaden naród nie jest od tego wolny, choć różne nacje w różnych momentach swoich dziejów w różnym stopniu popadają w romantyzm.

Skoro już mowa o Brytyjczykach, to mamy w polskiej wyobraźni zbiorowej kliszę opartą na dwóch obrazach, zresztą chętnie przywoływaną w Polsce w kontekście wojny na Ukrainie. Pierwszy obraz to Neville Chamberlain wysiadający z samolotu po powrocie z Monachium, powiewający układem monachijskim i ogłaszający: „Przywiozłem wam pokój”, a drugi to Winston Churchill występujący w 1940 r. w Izbie Gmin i ogłaszający w płomiennym wystąpieniu: „Będziemy z nimi [Niemcami] walczyć na plażach” oraz w każdym innym miejscu. No i oczywiście „złego” i „słabego” Chamberlaina „realistę”, który rzekomo doprowadził do wzrostu siły Hitlera, przeciwstawia się „bohaterskiemu” Churchillowi – „romantykowi”. Ile w tym przeciwstawieniu jest prawdy?

Bardzo wiele można by o tym powiedzieć, ale najkrócej rzecz ujmując,

Chamberlaina demonizuje się bardziej, niż na to zasłużył, a Churchilla się ponad miarę idealizuje.

To zapewne w dużej mierze zasługa samego Churchilla, który napisał znakomite pamiętniki, przedstawiając swą rolę w sposób nieco podrasowany.

To również, ale w ogóle bardziej działa na wyobraźnię poza niezłomnego wojownika niż ktoś, kto ustępuje i jest gotów na koncesje. Klisza, o której pan mówi, opiera się na przekonaniu, że Francuzi i Brytyjczycy nie powstrzymywali Niemców, bo jakoby nie chcieli, ale potem przyszedł Churchill, który chciał, i już wszystko było dobrze. Tymczasem prawda historyczna jest taka, że Wielka Brytania i Francja w 1939 r. – czego potem dowiódł przebieg pierwszych dwóch lat drugiej wojny światowej – były zwyczajnie za słabe, żeby pokonać Niemcy. Przenikliwie skomentował to brytyjski historyk A.J.P. Taylor (1906–1990), który zwrócił uwagę, że postawa Brytyjczyków w 1939 r. była niewątpliwie heroiczna, jednak był to heroizm na koszt innych. Taylor zauważa, że Czechosłowacja została zdradzona przez Chamberlaina, a Polska „uratowana”, jednak Polska w wyniku tej polityki poniosła znacznie większe straty niż Czechosłowacja. Jak się okazało, nie wystarczyło zerwać z appeasementem – trzeba było też zgromadzić odpowiednią siłę. Zwycięstwo nad III Rzeszą nie byłoby możliwe bez znacznie dalej idącego appeasementu – którego się jednak w ten sposób nie nazywa – czyli dogadania się z innym strasliwym dyktatorem, Józefem Stalinem, i ze Związkiem Sowieckim. Zapomina się w naszych polskich rozważaniach o czynniku siły i o tym, że w przypadku Wielkiej Brytanii nie wystarczyły niezłomność i wola walki – potrzebna była także siła, a tej Londyn, nawet w sojuszu z Paryżem, w momencie rozpoczęcia wojny w wystarczającym stopniu nie miał.

W rozmowie o polskim realizmie nie sposób nie wspomnieć o margrabim Aleksandrze Wielopolskim, można chyba powiedzieć: chłopcu do bicia polskich romantyków. Nawet niektórzy zwolennicy realizmu zarzucają mu, że jego realizm był wadliwy, ponieważ nie brał pod uwagę realnego czynnika nastrojów społecznych i charakteru Polaków. To trafna diagnoza?

Zgadzam się z Aleksandrem Bocheńskim, który tę kwestię odsuwał na dalszy

plan. W latach 50. Bocheński pisał – ta diagnoza pozostaje aktualna – że być może Wielopolskiemu zabrakło skuteczności w radzeniu sobie z nastrojami Polaków w tamtym okresie, ale z obecnej perspektywy pierwszorzędne znaczenie ma to, że jego program w tamtym czasie był optymalny. Jeśli zatem chcemy kształtować dzisiaj poczucie realizmu wśród Polaków, to przede wszystkim powinniśmy zwracać uwagę na to właśnie, a nie na błędy jego taktyki, ponieważ nikt nigdy już nie będzie działał w takich okolicznościach, w jakich działał Wielopolski. Ważne jest natomiast, żeby kolejne pokolenie udzieliło programowi realistycznemu poparcia zamiast rzucania kłód pod nogi.

Cztery lata temu, pisząc w „Teologii Politycznej Co Tydzień” o Thomasie Hobbesie, prof. Piotr Kimla stwierdził: „Czy w polskiej kulturze politycznej ten, kto boi się śmierci, nie wpada nieraz w podejrzenie, że jest po prostu tchórzem? Czy testem dla prawdziwego człowieczeństwa nie powinna być zdolność do przekraczania ograniczeń nałożonych nam przez naturę? Czy można budować teorię polityczną przeznaczoną dla ludzkich społeczeństw na instynkcie samozachowawczym, który człowiek dzieli ze zwierzętami? Czy Hobbes może odnieść perswazyjny sukces w społeczeństwie, w którym dominuje zafałszowany pogląd na siłę – pogląd, który prawie automatycznie utożsamia siłę z agresją? W związku z powyższym utożsamieniem w umysłach wielu Polaków pokutuje przekonanie, że słabości przysługuje moralna prawda, siła natomiast z konieczności oznacza moralną degenerację. Tymczasem Hobbes nie żywi wątpliwości, że siła jest jedną z największych wartości tego świata, nie tylko zresztą w sferze polityki (bez siły, rzecz oczywista, polityka nie może istnieć)”. Patrząc na reakcję Polaków na wojnę na Ukrainie, trzeba by się chyba z prof. Kimlą zgodzić: Polacy mają skłonność, aby z automatu uznawać tego, kto jest słabszy, za mającego „rację”.

Diagnozy prof. Kimli są przenikliwe i słuszne. Można by dodać, że Polacy przez długie okresy w ostatnich stuleciach byli narodem słabym i uciskany, co wypaczyło nasze wyobrażenie o polityce międzynarodowej, zafałszowując pojęcia siły i moralności. Czy jednak zawsze mamy przekonanie, że racja jest po stronie słabszego? Chyba grają rolę także inne czynniki. Na przykład w przypadku wojny w Iraku nie wystąpiliśmy w obronie słabszego, a przeciw-

nie – wzięliśmy udział w tym konflikcie po stronie silniejszego. Natomiast wielu realistów zwracało uwagę, że Polacy nie za bardzo dają sobie radę z pojęciem siły w polityce. Przeceniają niektóre jej elementy, np. propagandę, a nie doceniają siły ekonomicznej.

Czy w okresie, gdy kształtowała się na Zachodzie nowoczesna myśl realistyczna, miało to jakiś wpływ na myślenie polskich realistów? Czy w ich rozważaniach można znaleźć echa rozważań myślicieli takich jak Hans Morgenthau czy Kenneth Waltz?

Na pewno można odnaleźć echa jeszcze przedwojennej myśli zachodniej. Na przykład publicystyka Jacques'a Bainville'a (1879–1936) mocno wpłynęła na myśl polityczną Stanisława Mackiewicza czy Adolfa Bocheńskiego. Co do okresu powojennego, to na wyraźne tropy myśli zachodniej nie trafiłem u Stommy czy Aleksandra Bocheńskiego. Prędzej można by je znaleźć w pismach przedstawicieli kolejnych pokoleń polskich realistów: Walickiego, Łagowskiego czy wspomnianego prof. Piotra Kimli. Ale są wyraźne pokrewieństwa ideowe. W książkach Morgenthaua czy Waltza można znaleźć passusy, które są bliźnia-

nie historii PRL, o którym można poczytać u Walickiego czy Łagowskiego. Trafna wydaje mi się sformułowana przez nich diagnoza, że główną siłą wyzwającą Polskę z komunizmu i zależności od Związku Sowieckiego było polskie państwo narodowe. Owszem, było poddane ideologii komunistycznej i Moskwie, lecz jednocześnie, jako państwo (Hobbessowski „lewiatan”), w naturalny sposób dążyło do uniezależnienia. W momencie przełomu 1989 r. to państwo było już z tego właśnie powodu w dużej mierze zdekomunizowane i dawno zdetotalitaryzowane. Natomiast w latach 90. zbudowano mit, jakoby ustroj i zależność od ZSRS zostały obalone przede wszystkim walką. Po drugie – w latach 90. królowało przekonanie o końcu historii. Nawet jeśli ludzie nie do końca trafnie zrozumieli, co chciał przekazać w swoim eseju Francis Fukuyama. Sądzono, że pod przewodnictwem dobrotliwego hegemonu narody świata zmierzają ku świetlanej przyszłości. To sprawiło, że myśl realistyczna z ograniczeniami, które narzuca politycznemu myśleniu i działaniu, była niepopularna. Jak się okazało – historia jednak wróciła, a debata między realizmem a innymi nurtami myśli politycznej ponownie nabrała rumieńców.

realizm „kompromituje się”, ponieważ nie gwarantuje osiągnięcia tych celów, które idealizm obiecuje lub których się głośno domaga. Tyle że idealizm tych celów też nie gwarantuje, ale idealistom to nie przeszkadza, podczas gdy realizm jest z tego rozliczany.

Jest jeszcze powtarzający się zarzut o niemoralność realizmu.

To kompletne nieporozumienie. W polityce moralność to przede wszystkim odpowiedzialność za skutki. Niemoralny jest więc nie tylko ten, kto z rozmysłem czyni zło, lecz także ten, kto porywa się na jakieś przedsięwzięcie, choćby w dobrych intencjach, nie dysponując odpowiednimi środkami, żeby swój cel zrealizować, i w efekcie przysparza więcej szkód niż pożytku.

Jak by pan opisał polski kurs w sprawie wojny na Ukrainie w kategoriach, o których rozmawiamy?

Realizm polityczny to kultura politycznego myślenia i działania, którą trudno krótko opisać i zdefiniować. Najważniejsze wydają mi się w niej natomiast następujące czynniki: po pierwsze, zrozumienie znaczenia siły (zarówno jej nieodzowności dla politycznego działania, jak i jej ograniczeń); po drugie, odpowiedzialność za skutki; następnie oszczędność w działaniu, ostrożność, rzeczowość – umiejętność dostrzeżenia istoty zdarzeń spoza ich propagandowej fasady – i wreszcie świadomość tragizmu politycznych wyborów. Nie zajmuję się jednak bezpośrednim komentowaniem bieżących wydarzeń politycznych i unikam tego. Za swoje zadanie nie uważam mówienia czytelnikom, co mają myśleć, ale raczej dostarczanie im narzędzi do samodzielnej analizy i wyciągania wniosków. Realizm jako nurt myśli politycznej jest właśnie takim narzędziem.

Czy bardzo ostatnio modny w Polsce prąd analizy zjawisk pod kątem geopolityki współgra z realizmem?

Nie specjalizuję się w geopolityce. Wydaje mi się, że w pewnych miejscach ten sposób analizy jest zbliżony do realizmu, ale bynajmniej nie jest z nim tożsamy. To jednak nieco inny nurt myślenia o polityce międzynarodowej. Ze wszystkich narzędzi, którymi dysponujemy do analizy tej sfery rzeczywistości, realizm

Zgadzam się z tezą, że gdyby nie powstania, Polska odzyskałaby niepodległość w lepszych warunkach

czo podobne do tego, co pisał np. Aleksander Bocheński. W bardzo podobny sposób obłudę moralnego perfekcjonizmu w polityce obnażali Morgenthau i Stomma.

Może działać się to na zasadzie „wielkie umysły myślą podobnie”.

To bardzo możliwe, bo realizm polityczny pozwala na formułowanie i dowodzenie twierdzeń w sposób może nie tak jednoznaczny jak w naukach ścisłych, jednak bardzo rzeczowy.

Co się działo z polską myślą realistyczną po 1989 r.? Czy na jej odbiór mogło mieć wpływ skokowanie jej – niekoniecznie trafne – z ustępstwami wobec komunistów poczynionymi u zarania III RP?

W większym stopniu wpływ miały dwa inne zjawiska. Po pierwsze – zafałszowa-

Tak dochodzimy do 24 lutego 2022 r. Czy po tej dacie w tym sporze coś się zasadniczo zmieniło?

Myślę, że tak, choć obie strony skłonną są tu sobie przypisywać rację. Realizm jako narzędzie pozwalające przewidywać wydarzenia i opisywać świat udowodnił swoją wartość, ponieważ realisci, od Kennana przez Kissingera do Mearsheimera – a z polskich autorów podobne ostrzeżenie formułowali Walicki, Łagowski czy Stomma – najtrafniej przewidywali bieg wydarzeń. Przy czym trzeba zaznaczyć, że to nie oznacza wartościowania, czy dana polityka była słuszna czy nie. Wartość realizmu polega na tym, że wiele lat temu realisci sformułowali ostrzeżenie przed tym, co się stanie. Ktokolwiek podejmował decyzje, mógł te ostrzeżenia wziąć pod uwagę i odpowiednio się przygotować. Natomiast idealisci uważają, że

■ jest narzędziem najlepszym, przy świadomości wszystkich jego słabości. Amerykański naukowiec, prof. Stephen Walt, powiedział – co zostało powtórzone w polskim podręczniku do stosunków międzynarodowych – że realizm pozwala poprawnie wyjaśnić 80 proc. zdarzeń na arenie międzynarodowej, a pozostałe teorii – 20 proc. Podpisałbym się pod tym stwierdzeniem.

Jest pan redaktorem serii dzieł Stanisława Cata-Mackiewicza. Jaki jest odbiór tej serii?

Odbiór jest bardzo dobry, a seria jest dużym sukcesem. Ukazały się już 23 tomy. Powiedziałbym, że ten odbiór bywa nawet zbyt entuzjastyczny i dlatego w posłowniu do ostatniego tomu, zatytułowanego „Życie daremne”, starałem się „urealnaczyć” realizm „Cata”. Wskazywałem, że jest u Mackiewicza trochę podtrzymywania romantycznych tendencji w polskim myśleniu o polityce. Dlatego dobrze jest wychodzić poza „Cata” i stąd seria „Historia i Polityka”, w której obok polskich klasyków ukazują się także książki klasyków anglosaskich. Chcemy pokazać, że Mackiewicz to elementarz myślenia realistycznego – elementarz, czyli coś, od czego się zaczyna, ale na czym nie powinno się kończyć.

Kilkanaście dni temu podrzucił pan na Twitterze zabawny, ale i gorzki cytat z dzienników Galeazza Ciano, włoskiego ministra spraw zagranicznych przed drugą wojną światową i podczas niej. Mowa jest w nim o Bolesławie Wieniawie-Długoszewskim, pod koniec lat 30. ambasadorze RP w Rzymie. „31 marca 1939 – Wieniawa deklaruje spory optymizm w kwestii możliwości stawienia oporu przez polskie armie. 15 maja – Wieniawa przyznał, że w wielu kwestiach mam rację, ale wierzy w ostateczne zwycięstwo, które na nowo uczyni Polskę potężną. 17 września – Wieniawa, który powiadomił mnie o rosyjskiej inwazji, po raz pierwszy był przybity, a oczy miał zaczerwienione od bezsenności i płaczu. 19 września – Wieniawa, który przyszedł zaprotestować przeciw temu, co włoskie dzienniki napisały o ucieczce Rydza-Śmigłego do Rumunii, rozplakał się, gdy przedstawiłem mu dowody, że marszałek naprawdę przekroczył granicę”. Jakie są reakcje na takie, ktoś by powiedział, prowokacyjne cytaty?

Odbiór jest pozytywny i inteligentny. W większości przypadków bez didaskaliów czytelnicy rozumieją, o co chodzi i jakie wnioski z tamtych sytuacji



Stanisław Koźmian
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

możemy wyciągnąć. Ten cytat z dziennika Ciano jest tylko jedną z wielu takich historii. Na podobne możemy trafić w dziennikach Jana Szembeka czy we wspomnieniach Michała Łubieńskiego (oba byli współpracownikami ministra Becka), w „Pamiętniku po klęsce” Kazimierza Wyki i wielu innych źródłach. To pokazuje, do jakiego stopnia elity ówczesnego państwa polskiego potrafiły się oderwać od rzeczywistości. To jest wręcz niewiarygodne! Ostatnio trafiłem na wypowiedź wiceprezesa organizacji związków zawodowych w II RP, który 27 sierpnia 1939 r. pisał, że Niemcy są spieszeni, bo zastanawiają się, czy dostaną od nas w skórę mocno czy słabo.

Miałbym ogromne wątpliwości, czy wyciągnęliśmy wnioski z tego rozjazdu pomiędzy wyobrażeniami elity a upadkiem polskiego państwa we wrześniu 1939 r.

Nie wyciągnęliśmy. Jest w „Diariuszu” Jana Szembeka cytat, z którego wynika, że po klęsce wrześniowej w elicie sanacyjnej zaczął się pojawiać cień zrozumienia, że Polska prowadziła politykę mocarstwa, nie będąc mocarstwem. Refleksja ta jednak nie ma większego wpływu na polską zbiorową wyobraźnię polityczną. Można powiedzieć, że Polska nie jest zdolna pogodzić się ze swoją rolą państwa słabego czy choćby średniego. Ileż razy słyszymy w polskiej debacie publicznej stwierdzenia, że „Polska musi to” albo „Polska nie zgodzi się na tamto”, podczas gdy „to” czy „tamto” to rzeczy pozostające absolutnie poza naszym zasięgiem.

Walka niezmiennie pozostaje na piedestale, kompromis utożsamiany jest z kapitulacją, a ustępstwo ze zdradą, co uniemożliwia prowadzenie dyplomacji w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Tymczasem w naszym interesie leży właśnie przenoszenie konfrontacji, będącej nieusuwalnym elementem stosunków międzynarodowych, z pola walki zbrojnej na pole negocjacji, gdzie zmagania nadal się toczą, ale w innej formie. Nie giną ludzie i nie płoną miasta. Jedną z najbardziej cennych myśli w dorobku polskiej szkoły realizmu politycznego jest stwierdzenie, że niepodległość jest właściwością stopniowalną.

W polityce międzynarodowej nie ma tak niskiego miejsca, z którego nie można by spaść niżej, ani tak wysokiego, z którego nie dałoby się wejść wyżej. Dla państwa słabego niebezpieczna jest próba zbyt gwałtownego przeskakowania stopni na tej drabinie. Tymczasem wydaje się, że w polskiej wyobraźni politycznej jedyny akceptowalny jest stopień najwyższy, poniżej którego przestaje mieć znaczenie, czy jesteśmy o jeden czy o 10 stopni niżej. Można by tu zaproponować proste ćwiczenie umysłowe: nie było niepodległego państwa polskiego w roku 1780 i nie było w 1797 r.; nie było w 1825 i nie było w 1835 r.; nie było w 1900 r. i 1917 r. – a jednak warunki naszego bytu narodowego były w tych latach bardzo różne i można by się nawet pokusić o uszeregowanie ich wedle stopnia posiadanej niezależności. Natomiast dla polskich idealistów wszystkie one oznaczają po prostu brak niepodległości i dlatego idealisci często gotowi są poświęcać to, co możliwe, dla jakichś celów w danych warunkach nieosiągalnych, a często w ogóle nieokreślonych. Dominacja takiego podejścia nadaje polskiej myśli politycznej charakter irracjonalny i uniemożliwia dokonywanie rzetelnej kalkulacji zysków i strat. Realizm jest o wiele bardziej elastyczną metodą myślenia i działania politycznego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Sadkiewicz – redaktor „Pism wybranych” Stanisława Cata-Mackiewicza oraz serii „Historia i Polityka”.

Kiedy 18 lat temu Jan Paweł II umierał, wydawało się, że niemal cała Polska zjednoczona jest w żalu i wdzięczności.

Dotyczyło to polityków wszystkich opcji, celebrytów wszelkiej maści, nie wspominając o zwykłych Polakach. Płakali publicznie nawet funkcjonariusze antykatolickich mediów, co więcej – robili to niezwykle przekonująco, a wielu, jak mi się wydaje, robiło to szczerze.

To, co dzieje się obecnie w Polsce, można by skwitować łacińską sentencją „sic transit gloria mundi”, ale byłaby to tylko część prawdy. Oczywiście najbardziej nawet popularni ludzie, kiedy znikają z mediów, ulegają zapomnieniu. Gwiazdy mediów po śmierci są zapominane, ale rzadko wiele lat po śmierci stają się przedmiotami kampanii nienawiści. Dlaczego spotkało to Jana Pawła II?

Czy powodem były nagłośnione przez TVN zaniechania kard. Wojtyły? Przypadki księży Loranca i Surgenta bynajmniej nie są niczym świeżym. Ich przestępstwa miały miejsce przed ponad pół wiekiem, a kilka miesięcy temu zostały opisane przez dziennikarzy „Rzeczpospolitej”, którzy nie zarzucili abp. Wojtyłę ochraniającą drapieżców seksualnych. Sprawy abp. Paetza i Maciela Degollado, pokazujące niewydolność struktur kościelnych w przeciwdziałaniu skandalom seksualnym, były szeroko znane od lat. Tak więc to nie odkrycie wstrząsających skandali sprzed lat jest powodem nagonki medialnej. Jakie są więc jej przyczyny?

CUDZOŁOŹNICY I INNI

W ostatnich latach obserwujemy kolejną próbę dostosowania nauki Kościoła do standardów świata. Proble-

Zniszczyć Wojtyłę. Powody ataku



Mariusz Dzierżawski

To nie odkrycie wstrząsających skandali sprzed lat jest powodem nagonki medialnej. Jakie są więc jej przyczyny?

mem nowatorów jest jednak kategoryczne odrzucenie ich też w nauczaniu Jana Pawła II.

Pokazują to wątpliwości, które kardynałowie Brandmüller, Burke, Caffarra i Meisner zgłosili wobec adhortacji „Amoris laetitia”. Wśród pięciu pytań, które znalazły się w dubiach, trzy odwoływały się do encykliki „Veritatis splendor”, ogłoszonej przez Jana Pawła II w roku 1993.

Kardynałom chodziło o dopuszczanie do Komunii Świętej cudzołożników, co zgodnie z „Veritatis splendor” było niedopuszczalne, a zgodnie z „Amoris laetitia” stało się możliwe.

Pytania tego rodzaju, dotyczące istotnych kwestii doktrynalnych, należą do tradycyjnych form sprawowania Magisterium. Mimo upływu ponad sześciu lat od zadania pytań nie doczekały się one odpowiedzi. Widać więc, że obecny papież i jego otoczenie

mają poważny problem z „Veritatis splendor”.

ABORCJONIŚCI

Zreformowana przez Franciszka papieska Akademia Życia zaprasza do swojego grona zwolenników aborcji. Trudno to pogodzić z kolejną encykliką, „Evangelium vitae”, w której Jan Paweł II nazywa aborcję odrażającą zbrodnią i sprzeciwia się jakimkolwiek formom jej relatywizowania. Tymczasem papież Franciszek spotyka się i fotografuje z zaciekłymi aborcjonistami – Joe Bidenem i Nancy Pelosi.

Elity polityczne Zachodu, pod pretekstem równouprawnienia, wprowadzają przepisy uniemożliwiające jakkolwiek krytykę środowisk homoseksualnych. Tymczasem Katechizm Kościoła katolickiego, ogłoszony przez Jana Pawła II, naucza, że czyny homoseksualne „są grzechami pozostającymi w głębokiej

sprzeczności z czystością”. Papież Franciszek natomiast wspiera Jamesa Martina, jezuitę promującego związek jedнопłciowe.

W roku 2000 kard. Ratzinger, wówczas prefekt Kongregacji Doktryny Wiary, podpisał zatwierdzoną przez Jana Pawła II deklarację „Dominus Iesus”, o jedyności i powszechności zbawczej Jezusa Chrystusa i Kościoła. Trudno pogodzić ten dokument z deklaracją z Abu Zabi, w której czytamy: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru, płci, rasy i języka są rzeczami, których Bóg chce w swojej mądrości, poprzez którą stworzył istoty ludzkie”.

Promocja aborcji i relacji seksualnych, które jeszcze niedawno były określane jako zbrodzenia, znajduje się w centrum zainteresowania administracji Joe Bidena. Trudno więc się dziwić, że kampanię przeciwko Janowi Pawłowi II podjęła stacja TVN.

Przyczyną nagonki na Jana Pawła II nie są więc jego działania lub zaniechania w okresie, kiedy kierował Kościołem krakowskim czy Kościołem powszechnym, ale jego nauczanie, które dla wielu nie jest wystarczająco nowoczesne.

Warto w tym kontekście przypomnieć kampanię medialną przeciw kard. Pellowi, oskarżonemu o niemożliwe do zrealizowania przestępstwa seksualne. Siła medialnego kłamstwa doprowadziła do skazania kardynała na więzienie w dwóch instancjach sądowych.

Oczyścił go z zarzutów dopiero Sąd Najwyższy Australii. Poszukiwania zleceniodawców kampanii przeciw Pellowi prowadziły do Watykanu.

Zaangażowanie TVN wskazuje, że zlecenie kampanii przeciw Janowi Pawłowi II mogło wyjść z Waszyngtonu.

PIOTR WŁOCZYK: W swojej książce pokazuje pan niedaleką przyszłość, jeżeli konserwatyści przegrają. Jak będzie wyglądał świat Wielkiego Resetu?

MARC MORANO: Jeżeli pozwolimy na to, by globaliści zrealizowali swoją wizję, to będziemy żyli jak za Mao Zedonga. Liderzy Światowego Forum Ekonomicznego (World Economic Forum – WEF) zupełnie otwarcie przekonują społeczeństwa na świecie, że jeżeli nie będziemy niczego posiadali, to będziemy szczęśliwi. To wcale nie oznacza jednak, że na świecie nie będzie ludzi posiadających rzeczy na własność. Po prostu ja i pan nie będziemy niczego posiadali. Wszystko, co będziemy użytkować, będzie własnością wielkich korporacji, które będą zrosnięte w państwa, bądź też to same państwa będą właścicielami. My będziemy tylko wynajmującymi.

Gdzie będziemy żyli?

Globaliści najchętniej widzieliby nas zamkniętych w czterech ścianach, z minimalnym kontaktem ze światem zewnętrznym. Wszystko ma być dostarczane pod drzwi dronami, więc ludzie nie będą czuli konieczności wychodzenia z domów. W jednym z materiałów WEF planiści nowego świata napisali, że jeżeli zamówimy jakiś sprzęt AGD, to zostanie on dostarczony dronem, użyjemy go np. godzinę, a następnie znów zamówimy drona i to urządzenie zostanie przekazane kolejnej osobie. Promotorzy takiego świata mają obsesję na punkcie efektywności. Wszystko musi być efektywnie wykorzystywane! I twierdzą przy tym, że są w stanie stworzyć doskonały system, który będzie tym wszystkim zarządzał. Zrozumiałe więc, że posiadanie na własność domu czy mieszkania, gdy nie spędza się w nim całego dnia, musi zostać uznane za trącenie zasobów. Dlatego do mieszkań i domów, które tylko będziemy wynajmować od korporacji czy państw, w czasie naszej nieobecności, gdy pójdziemy np. na kawę do ulubionej kawiarni, zostaną wypuszczeni ludzie, którzy będą potrzebowali w tym czasie kąta do przespania się czy umycia.

Co będziemy jeść?

Na pewno nie będzie to mięso. A przynajmniej będziemy je jeść tak rzadko, jak tylko to możliwe. Planiści nowego świata



Z Markiem Morano, amerykańskim publicystą, autorem książki „Wielki Reset: Globalne elity i wieczny lockdown”

rozmawia Piotr Włoczyk

Jak wyłączyć Wielki Reset



FOU ANDRE STOCK

wprost mówią, że mięso ma być rzadkim i bardzo drogim luksusem. Oczywiście na zjazdach WEF w Davos serwuje się wołowinę i inne przednie mięsa. Okazuje się bowiem, że planiści Wielkiego Resetu sami nie chcą zmieniać swoich nawyków. To samo z prywatnymi odrzutowcami – oni mogą nimi latać, ale pan i ja mamy maksymalnie ograniczyć podróże lotnicze, by ratować planetę.

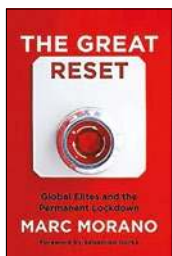
Kto będzie rządził takim światem?

Na pewno nie USA. Ameryka – według globalistów – musi przestać być supermocarstwem. Ponadto ten nowy światowy układ uwzględnia rosnącą rolę Chin i takiego modelu państwa, gdzie biurokracja wie o tobie wszystko i kontroluje jak najwięcej dziedzin życia. Niezbędne są do tego wyeliminowanie gotówki i monopol cyfrowej waluty autoryzowanej przez bank centralny. Nawiasem mówiąc, już

wiem, jak wyobraża sobie taki system Bank Anglii. Jego przedstawiciele wyjaśnili niedawno, że chodzi o to, by obywatele mogli wydawać pieniądze w sposób, który władze uznawać będą za „rozsądny”. Nie da się więc wykluczyć, że jeżeli będziemy chcieli kupić kawałek mięsa albo benzynę, to nie będziemy mogli tego zrobić, bo jakiś urzędnik uzna to za działanie „nierozsądne”.

Jak będzie wyglądała technologia rządzenia?

Świat Wielkiego Resetu to miejsce, gdzie władze rządzą za pomocą nadzwyczajnych narzędzi. Widzieliśmy, jak ochoczo rządy na całym świecie korzystały z takich możliwości na początku pandemii. Dla aktywistów klimatycznych i planistów z WEF oznaczało to jedno: jeżeli można tak działać w kontekście wirusa, to będzie też można tak rządzić w sytuacji „zagrożenia klimatycznego”.



MARC MORANO
„THE GREAT
RESET: GLOBAL
ELITES AND THE
PERMANENT
LOCKDOWN”
REGNERY
PUBLISHING
2022

Przecież covidowe lockdowny były żywcem wyjęte z marzeń twórców Wielkiego Resetu!

Najważniejsze decyzje, które wpływały na życie całych narodów, były zazwyczaj podejmowane bez udziału parlamentów. Okazało się, że mogą pozamykać nasze szkoły, zakłady pracy i kościoły bez grama mechanizmów demokratycznych. Na podstawie naciąganych interpretacji ustaw o stanach wyjątkowych biurokraci mogli obejść wszelkie zasady i odebrać ludziom wolność. Wielki Reset to niekończący się stan wyjątkowy, gdzie wybory nie będą miały najmniejszego znaczenia, bo żaden polityk nie będzie w stanie zmienić systemu – prawdziwa władza będzie należała do bezosobowej maszyny państwowej, która będzie się bro- niła przed zmianami.

Łatwo można sobie wyobrazić, że hasło „Nie będziesz miał nic i będziesz szczęśliwy” może brzmieć atrakcyjnie dla studentów liberalnych uczelni, którym wpaja się, że kapitalizm to zło.

Ten sam problem mieliśmy z marksizmem i komunizmem. To wielkie wyzwanie, bo ta utopia faktycznie może dobrze brzmieć w uszach niektórych ludzi. Tym bardziej że wielcy i popularni tego świata przekonują, iż wartości Zachodu nie są już ważne. Justin Trudeau mówił wprost, że podziwia chiński system sprawowania władzy za to, jak łatwo potrafi sterować tak kolosalnym krajem i realizować wielkie wyzwania. Premier Kanady chwalił komunistyczną dyktaturę! Tim Cook z Apple też komentował chińskie przywództwo. Wielu intelektualistów na Zachodzie jest pod wrażeniem działania chińskiego systemu oceny ludności, na którego podstawie obywatele są karceni i nagradzani. Dziś można wręcz uznać, że amerykańscy intelektualiści o poglądach lewicowo-liberalnych uważają ChRL za pozytywny przykład. W związku z tym to nie przypadek, że wolne niegdyś społeczeństwa Ameryki, Wielkiej Brytanii czy Australii naśladowały chiński wzorzec walki z COVID. Ale to nie wszystko. Protest truckerów w Kanadzie pokazał, jak państwo – wydawałoby się demokratyczne – może zadekretować, że dana grupa obywateli jest wrogiem porządku

publicznego, można odciąć takich ludzi od usług bankowych i dusić w ten sposób wszelki opór społeczny.

Wielki Reset to oczywiście pomysł, pod którym podpisuje się Klaus Schwab, szef WEF. Kto jeszcze – poza Schwabem – chce takiego świata? Czy można tu generalizować, mówiąc np., że w USA demokraci są za wizją Schwaba, a republikanie są jej przeciwni?

To niestety nie jest takie proste. Na oko jakieś 80 proc.

demokratów przychylnie patrzy na postulaty Wielkiego Resetu, ale też zapewne ponad połowa republikańskich polityków w mniejszym lub większym stopniu chciałaby iść w tym kierunku. To nie jest kwestia lewicy czy prawicy, demokratów czy republikanów. To sprawa dotycząca rzeczy fundamentalnych: wolności i tyranii. Mówiąc w dużym uproszczeniu, to konflikt między elitami zapatrzonymi w globalizację a rządzonymi. Obawiam się, że republikańscy przywódcy w Kongresie nie mają większych problemów z postulatami Wielkiego Resetu. Trudno, żeby było inaczej, skoro nie zwalczali zbyt energicznie covidowych obostrzeń, jak lockdowny czy noszenie masek. Jak dobrze wiemy, nawet Donald Trump w dużej mierze zgodził się na te absurdalne obostrzenia. Oczywiście co do zasady republikanie są pod tym kątem lepszym wyborem niż demokraci, ale niestety kierownictwo tej partii jest powiązane z Wall Street, kompleksem wojskowo-przemysłowym, i w związku z tym jest ono na wojennej ścieżce z wolnościami wewnątrz tej partii, jak choćby Rand Paul.

Jak to się na razie przekłada w USA na rzeczywistość?

Przeciwnicy wolności w Waszyngtonie wzięli na celownik nasze zasoby ropy i gazu, chcą usunięcia aut spalinowych, destabilizują rynek żywności, zmuszając farmerów do podążania do utopijnego celu, jakim jest zeroemisyjność rolnictwa. Najgorzej wygląda to obecnie w Holandii, ale w USA farmerzy również są zagrożeni. W swojej książce przywołuję hasło Lenina z okresu rewolucji, który mawiał, że im gorzej, tym lepiej. Dziś słycać echo jego słów. Im większy kryzys i chaos, tym lepiej

dla twórców Wielkiego Resetu, którzy chcą budować nowy świat na zgłiszczach obecnego.

I zagrożenie klimatyczne ma być dla nich szansą na realizację tego celu?

Na to stawiają elity. Klimat ma być kolejnym COVID. Jednak globaliści wiedzą już, że nie sposób skupiać się tylko na zagrożeniach klimatycznych, bo ludzie to generalnie niezbyt obchodzą. Kolejne modele przedstawiające zalewane miasta nie są w stanie wystraszyć społeczeństw. Od 2020 r. wiemy już jednak, że choroba potrafi postawić niemal cały świat na równe nogi. Wygląda na to, że lewicowe elity będą starały się przekonać nas, że zmiany klimatyczne doprowadzą do kolejnych epidemii. WHO już zresztą uznała klimat za największe wyzwanie zdrowotne XXI w.

Mimo wszystko ciężko wyobrazić sobie, by Wielki Reset miał się szybko ziścić na skalę globalną. Nie ma pan wrażenia, że „zwykli” wyborcy mają na tyle oleju w głowie, by powiedzieć wyraźnie „nie” ekstremizmowi globalistów? Spójrzmy choćby na wyniki ostatnich wyborów w Holandii, gdzie postulaty zeroemisyjności rolnictwa nie spotkały się z dobrym przyjęciem...

Od tego właśnie zacząłem – jeżeli pozwolimy im na to... Wszystko jest w naszych rękach, zaczynając od tego, jak działają nasze szkoły. W USA to właśnie szkoły zamieniły się w punkty oporu wściekłych rodziców, którzy nie tylko zwalczali maseczkowanie dzieci i lockdowny, lecz także równolegle walczyli z odwróconym rasizmem, czyli tzw. Krytyczną Teorią Rasy, a także z ideologią transgenderyzmu. Demokraci przerazili się tego oporu i ostatecznie odeszli od postulatów zmuszania ludzi do szczepienia. To jest nasza nadzieja: wściekły zwykły wyborca, który mówi „nie” i chce żyć po „staremu”, czyli normalnie. Jestem tu optymistą – też wierzę, że obywatele wolnych społeczeństw nie pozwolą zamienić się w stado przerażonych wszystkim jednostek bez własności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marc Morano jest amerykańskim konserwatywnym publicystą, byłym republikańskim strategiem politycznym, autorem książki „The Great Reset. Global Elites and the Permanent Lockdown” („Wielki Reset: Globalne elity i wieczny lockdown”).

Iść po słonecznej stronie



Powstanie w getcie warszawskim, zdjęcie z raportu Jürgena Stroopa
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Sebastian Ligarski

Przez lata monopol na upamiętnianie powstania w getcie warszawskim miały władze Polski Ludowej. Z czasem monopol ten zaczęto przełamywać

Niemcy od samego początku okupacji Polski dążyli do eksterminacji ludności żydowskiej (Holokaust, Shoah). Po zajęciu terytorium naszego państwa rozpoczęli tworzenie na terenie podbitych miast, szczególnie tam, gdzie były duże skupiska ludności żydowskiej, wydzielonych obszarów zamieszkania dla ludności żydowskiej (tzw. gett). Były one początkiem eksterminacji tej grupy narodowościowej.

Getta posiadały własny samorząd, system policyjny oraz administracyjny. Otoczone były wysokim murem, a wejścia i wyjścia były dokładnie kontrolowane. Z czasem wyjście z getta było możliwe tylko po uzyskaniu stosownych zezwoleń. W środku panowały straszliwe warunki żywieniowe, mieszkaniowe i sanitarne, przyczyniające się do ogromnej śmiertelności. Największe getto w Polsce powstało 2 października 1940 r. w Warszawie. Stłoczono w nim ponad 450 tys. Żydów. Było ono otoczone murem o długości 18 km. Od jesieni 1941 r. każdą próbę ucieczki i pomocy Żydom karano śmiercią. Gettem kierowała Rada Starszych (Judenrat), na której czele stał Adam Czerniaków. Podlegała ona władzom okupacyjnym Warszawy.

Decyzje o tzw. ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej (Endlösung der Judenfrage) zapadły na jesieni 1941 r., a ostatecznie zostały uzgodnione na konferencji w Wannsee 20 stycznia 1942 r. W połowie 1942 r. Niemcy rozpoczęli

opróżnianie warszawskiego getta, grupując Żydów na Umschlagplatz (rampa kolejowa przy ulicach Stawki 4/6 i Dzikiej) i wywożąc do obozu zagłady w Treblince. Używano pojęcia „deportacja”, pod którym de facto kryła się akcja likwidacyjna.

Ostatecznie „w wyniku likwidacji getta warszawskiego między 22 lipca a 24 września 1942 r. od 280 000 do 310 000 Żydów zostało wywiezionych i zamordowanych w Treblince, około 10 000 zginęło w czasie wysiedlenia, a ponad 11 000 umieszczono w obozie pracy w Trawnikach lub Majdan-ku”. W stolicy zostało ok. 60 tys. Żydów, a ich liczba stale ulegała zmniejszeniu na skutek chorób, głodu, eksterminacji. W podobny sposób Niemcy działali w innych miastach, np. w Łodzi czy Białymstoku.

NA RATUNEK LUDZKIEJ GODNOŚCI

Wywożenie ludności żydowskiej z getta spowodowało zintensyfikowanie działań dążących do powstania organizacji

konspiracyjnej. Żydowska Organizacja Bojowa, bo o niej mowa, grupowała Żydów o poglądach lewicowych i syjonistycznych. To oni stanęli do nierównej walki 19 kwietnia 1943 r., gdy Niemcy rozpoczęli ostateczną likwidację getta w Warszawie. ŻOB kierował Mordechaj Anielewicz (1919–1943). Do walki przystąpił Żydowski Związek Wojskowy pod dowództwem Pawła Frenkela. Niemcy, najpierw pod dowództwem szefa policji i SS w dystrykcie warszawskim płk. Ferdinanda von Sammerna-Frankenegg, a następnie Jürgena Stroopa wraz z oddziałami Litwinów, Łotyszy i Ukraińców, przystąpili do akcji likwidacyjnej, ale zostali zaskoczeni zbrojnym oporem. Arie Wilner mówił: „My nie chcemy ratować swojego życia. Z nas żaden żywy nie wyjdzie. My chcemy ratować ludzką godność”.

Wypożyczeni w niewielką ilość broni, skazani na zagładę powstańcy ŻOB oraz Żydowskiego Związku Wojskowego z determinacją walczyli o swój honor. Niemcy systematycznie niszczyli budynek po budynku, podpalając je, szukając bunkrów powstańców, a po ich zlokalizowaniu mordując żydowskich żołnierzy i wszystkie osoby, które się tam wraz z nimi schroniły. Nierówna walka trwała do 16 maja (w niektórych miejscach getta strzały słychać było jeszcze w czerwcu 1943 r.). Mordechaj Anielewicz popełnił samobójstwo 8 maja 1943 r. w bunkrze przy ul. Miłej 18 (wraz z niemal setką towarzyszy broni), a 16 maja Niemcy wysadzili synagogę przy ul. Tłomackie. W czerwcu 1944 r. przy ul. Grzybowskiej 11 zginął Frenkel.

W wyniku walk śmierć poniosło 12 tys. Żydów, reszta została wywieziona do obozów zagłady. Niewielkie części udało się wydostać z getta. Ci ostatni wzięli też udział w powstaniu warszawskim. Getto warszawskie przestało istnieć zrównane z ziemią.

MONOPOL NA PAMIĘĆ

Przez lata monopol na upamiętnianie powstania w getcie warszawskim miały władze Polski Ludowej. To one organizowały główne uroczystości pod pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego wzniesionego ze składek społeczności żydowskiej. To także one piełęgnowały wybiórczą pamięć o tym zrywie. Jak pisała autorka monografii poświęconej obchodom rocznicy powstania w getcie war-

szawskim Renata Kobylarz: „Od pierwszej rocznicy, obchodzonej jeszcze w atmosferze wojennego chaosu i niepewności, aż po ostatnią, która przypadała na czas przełomu politycznego, manipulowano historią tego zrywu, interpretując ją tak, by pasowała do bieżącej sytuacji politycznej”. Pomnik Bohaterów Getta obrósł legendą od czasu słynnego klęknienia pod nim kanclerza RFN Willy’ego Brandta. W praktyce do lat 80. XX w. nikt nie zakłócał tego miejsca innymi inicjatywami, które mogły w jakikolwiek sposób zwrócić uwagę władz i spowodować jej głęboki niepokój w naruszeniu dotychczas funkcjonującej narracji o powstaniu, czyli „czynu zbrojnego polskiej i żydowskiej lewicy rewolucyjnej”. Monopol przełamało powstanie NSZZ „Solidarność” i coraz częstsze podnoszenie kwestii żydowskiej w historii Polski na łamach czasopism drugoobiegowych.

Teksty dotyczące problematyki polsko-żydowskiej pojawiały się chociażby we wrocławskim „Biuletynie Dolnośląskim”. W numerze listopadowo-grudniowym z 1980 r. poświęcono im specjalny dodatek. W jednym z najważniejszych pism opozycji demokratycznej w Polsce redakcja tak tłumaczyła powód poświęcenia miejsca tym relacjom: „Byli przecież częścią NAS, naszego społeczeństwa (niezależnie od stopnia integracji z tym społeczeństwem)”. Takich inicjatyw było znacznie więcej, a dyskusja z biegiem lat coraz bardziej szeroka i wnikliwa.

W 1983 r. przypadała 40. rocznica wybuchu powstania, co spowodowało zdynamizowanie działań środowisk, które chciały opowiedzieć inną historię powstania, niż robiła to do tej pory oficjalna wersja kolportowana przez władze. W 1983 r. w drugim obiegu ukazał się przedruk relacji Marka Edelmana pt. „Getto walczy” z 1945 r., a w „Tygodniku Mazowsze” opublikowano wywiad z Markiem Edelmanem, ostatnim żyjącym członkiem dowództwa powstania. Na marginesie wspomnijmy, że Edelman po wprowadzeniu stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. został aresztowany, co spowodowało szybką interwencję Jana Józefa Szczepańskiego i Klemensa Szaniawskiego u gen. Czesława Kiszczaka, który wydał polecenie jego zwolnienia.

Edelman w rozmowie z jednym z redaktorów „Tygodnika Mazowsze”

zatytułowanej „Iść po słonecznej stronie” wyjaśniał motyw podjęcia walki oraz atmosferę tamtych dni, gdy walczący mieli „»przekorną satysfakcję«, że nie giną potulnie, lecz zadają wrogowi ciosy”, opowiadał o ogromnym rozczarowaniu brakiem wystarczającej ilości broni oraz poczuciu osamotnienia w obliczu śmierci. W tej samej gazecie Edelman opublikował również list otwarty, w którym tłumaczył powody swojej decyzji o odmowie uczestniczenia w oficjalnym komitecie obchodów. Władze wykazały się niezwykłą hipokryzją, najpierw go aresztując, a potem zapraszając do komitetu obchodów.

13 kwietnia 1983 r., podczas audiencji generalnej w Watykanie, o powstaniu i jego bohaterach mówił papież św. Jan Paweł II, określając ich walkę jako „rozpaczliwy krzyk o prawo do życia, wolności, o ocalenie godności człowieka”. Papież zresztą nie poprzestał tylko na słowach, lecz podczas swojej drugiej pielgrzymki do Polski 20 czerwca 1983 r. wymógł zmianę w oficjalnym programie, uklęknął oraz zmówił modlitwę pod pomnikiem Bohaterów Getta. Nic zatem dziwnego, że środowiska kultywujące pamięć o powstaniu, a będące w opozycji wobec władz komunistycznych postanowiły zaplanować alternatywne obchody rocznicy powstania.

NIEZALEŻNIE OD WŁADZY

Z tej okazji postanowiono zorganizować w Warszawie 17 kwietnia większą manifestację na Umschlagplatz i przed pomnikiem Bohaterów Getta oraz dzień później mniejszą, bardziej kameralną uroczystość na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej przy grobie Michała Klepfisza, członka Bundu i Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Władze, znając zamiary środowisk opozycyjnych, prowadziły operację pod kryptonimem Kwiecień '83 i za wszelką cenę starały się nie dopuścić do uczestnictwa w tych nielegalnych obchodach Marka Edelmana, którego zatrzymano siłą w domu w Łodzi. Pomimo tego udało się do niego dostać dziennikarzom stacji zagranicznych i innym osobom, które chciały go nawet z tego aresztu domowego wydobyć i przetransportować do stolicy. Ostatecznie jednak Edelman nie pojawił się 17 i 18 kwietnia w Warszawie. Do uroczystości jednak doszło.

Rozpoczęły się one o godz. 16 na Umschlagplatz, gdzie pod tablicą, otoczoną kordonem milicyjnym, złożono kwiaty. Wokół niej zgromadziło się ok. 200 osób, przeważnie ludzi starszych, a milicjanci wzywali wszystkich do opuszczenia miejsca zgromadzenia. Nie użyto siły. Dzień później do spotkania na cmentarzu przy ul. Okopowej nie doszło, bo władze zamknęły nekropolię. Zjawili się na nim m.in. Jan Józef Lipski, Władysław Siła-Nowicki, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki czy Leopold Kummant. Ponieważ władze uniemożliwiły im wejście na cmentarz, pod jego bramą mowę wygłosił były żołnierz Armii Krajowej Józef Rybicki, a uczestnicy złożyli kwiaty z szarfą ozdobioną napisem: „Towarzyszom broni ŻOB – żołnierz Armii Krajowej”.

Kolejne duże niezależne obchody odbyły się pięć lat później – w 1988 r. Zorganizował je Obywatelski Komitet Obchodów 45. Rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim. W swojej odezwie jego członkowie napisali: „Byli naszymi braćmi. Przez osiem stuleci ziemia polska była ziemią wspólną, losy Żydów polskich stanowiły część losów Polski, a ich wiara, mowa, kultura i obyczaj były istotnym składnikiem jej pejzażu społecznego [...] Powstanie w getcie warszawskim stało się w oczach świata symbolem walki o wartości najwyższe – o godność ludzkiego życia i prawo wyboru godnej śmierci. Wyrażamy głębokie przekonanie, iż obowiązkiem naszym – reprezentantów niezależnej opinii społecznej – jest danie świadectwa wypowiedzianym wyżej prawdom”.

Ulotki na ulicach Warszawy, informujące o programie tych obchodów, kolportowali członkowie Grup Oporu „Solidarni”. Na rozmowy ostrzegawcze przez Służbę Bezpieczeństwa wzywani byli członkowie nielegalnego komitetu, w tym Jacek Kuroń, który zapewniał podczas jednej z nich, że uroczystości będą spokojne, a młodzież odgrywająca rolę służby porządkowej odpowiednio poinstruowana o zadaniach i do żadnych prowokacyjnych działań miało nie dojść. Służbę porządkową organizowało Niezależne Zrzeszenie Studentów. Do organizacji doproszono także przedstawicieli Ruchu Wolność i Pokój.

W ramach obchodów miano w samo południe 17 kwietnia odsłonić pomnik działaczy Bundu – Henryka Erlicha i Wiktora Adlera – na cmentarzu żydow-

Pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski, 16–23 czerwca 1983 r. W trzecim dniu swojej podróży apostolskiej zatrzymał się przed pomnikiem Bohaterów Getta i złożył hołd ofiarom zagłady FOT. JAN MOREK/PAP



skim przy ul. Okopowej (zgodę w grudniu 1987 r. wydał Urząd ds. Wyznań). O godz. 17 planowano złożenie kwiatów pod pomnikiem Bohaterów Getta, gdzie miało dojść do jednego okolicznościowego przemówienia, a następnie planowano udać się na Umschlagplatz, gdzie miano zmówić wspólnie kadiśz i „Ojcze Nasz”, odśpiewać hymn Polski i wygłosić okolicznościowe przemówienie przez Marka Edelmana i Janusza Onyszkiewicza. Wrocławska SB informowała sztab warszawski, że Lech Wałęsa nie przyjedzie na uroczystości, gdyż z powodu swojej niechęci udało mu się załatwić zwolnienie lekarskie z dyspozycją „ma leżeć”. Marek Edelman wysyłał zaproszenia na uroczystości m.in. do przewodniczącego Parlamentu Europejskiego czy szefa Międzynarodówki Socjalistycznej (a był nim wtedy Willy Brandt), przedstawicieli socjalistycznych związków zawodowych w USA czy Francji oraz innych organizacji. Władze obawiały się, że część delegacji zagranicznych może zdecydować się na bojkot oficjalnych uroczystości i dołączyć do tych organizowanych przez niezależny komitet, który szeroko kolportował swój apel. Tak się jednak nie stało. Dodatkowym elementem uroczystości była konferencja naukowa w kościele pw. Trójcy Świętej przy ul. Solec 61.

Służba Bezpieczeństwa również nie odpuściła i prowadziła operację pod kryptonimem Wiosna '88, której celem było głównie zabezpieczenie oficjalnych uroczystości, aby nie doszło do zakłócenia ich przebiegu. Na czele grupy operacyjno-

-sztabowej stanął płk Krzysztof Majchrowski, dyrektor Departamentu III MSW, spec od literatów i środowisk twórców.

Uroczystość na cmentarzu rozpoczęła się zgodnie z planem o godz. 12. Przybyło na nią ok. 1,5 tys. osób. Przy pomniku przemawiali: Marek Edelman, Zbigniew Bujak, synowa Erlicha oraz kilka innych osób. Po zakończeniu przemówień minutą ciszy uczczono zmarłych, a następnie Mieczysław Voit recytował wiersze żydowskiego poety. Potem złożono kwiaty, a Marek Edelman zaprosił wszystkich na godz. 17 pod pomnik Bohaterów Getta.

Uroczystość pod pomnikiem Bohaterów Getta trwała pół godziny. Wzięło w niej udział ok. 3 tys. osób. Prowadził ją Marek Edelman. Służba Bezpieczeństwa odnotowała transparenty kilkunastu organizacji opozycyjnych oraz hasło: „Solidarność między ludźmi i narodami uczyni świat wolny i sprawiedliwy”. Pod pomnikiem przemawiali Janusz Onyszkiewicz, który odczytał list nieobecnego Wałęsy do Edelmana, Zbigniew Bujak, który omawiał wpływ martyrologii narodu żydowskiego na historię Polski. Odśpiewano m.in. „Rotę” oraz odmówiono modlitwy w języku polskim i hebrajskim. Potem całą szerokością ulicy Dubois przemaszzerowano na ul. Stawki, gdzie złożono kwiaty. Uroczystości zakończono ok. godz. 18.20. Na obchodach obecni byli przedstawiciele ambasad zagranicznych, w tym ambasador USA w Polsce, ambasadorzy Belgii, Wielkiej Brytanii, Holandii oraz korespondenci z czołowych redakcji zagranicznych.

ZNACZKI PODZIEMNEJ POCZTY

Powstanie w getcie warszawskim upamiętniano także na znaczkach podziemnej poczty. Nie ma ich w porównaniu z powstaniem warszawskim czy nawiązywaniem do zbrodni katyńskiej zbyt wiele, lecz stanowią istotny fragment pamięci o powstaniu w getcie. Powstały zatem znaczki z wizerunkiem Marka Edelmana, wizerunkami Żydów w getcie oraz wierszami poświęconymi powstańcom i ich walce (Pocztą Rekontry), gwiazdą Dawida ze stylizowaną czcionką, z macewą i wizerunkiem starszego Żyda mędrca. Były też znaczki przypominające miejsce miesiąca kwietnia w polskiej martyrologii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.

DODATEK SPECJALNY

Kongres

Pamięci Narodowej



PARTNER DODATKU:



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Kongres Przyszłości Narodowej



dr Rafał Leśkiewicz

Jak projektować politykę historyczną i działania edukacyjne, by skutecznie docierać z przekazem historycznym do młodego pokolenia? Kwietniowy Kongres Pamięci Narodowej mocno przybliżył nas do odpowiedzi na to pytanie

Klasyczna edukacja może nie odchodzić do lamusa, ale na pewno ma już poważną konkurencję. Dla dzisiejszej młodzieży szkolnej głównym źródłem wiedzy historycznej są Internet i gry komputerowe (86 proc.). Na drugim miejscu znalazły się bardziej tradycyjne media: film, telewizja, radio (83 proc.), a dopiero na trzecim – lekcje szkolne (82 proc.). Takie wyniki przynosi obszerny raport „Edukacja dla pamięci”, przygotowany na zlecenie Instytutu Pamięci Narodowej przez zespół pod kierunkiem dr. hab. Krzysztofa Malickiego, profesora Uniwersytetu Rzeszowskiego. Pomy-

sławcą badań jest dr Karol Nawrocki, prezes IPN.

Tak szeroko zakrojonych badań tego rodzaju jeszcze po roku 1989 nie było. Zespół prof. Malickiego przepytał 3781 uczniów szkół średnich, 1115 nauczycieli i 1068 Polaków powyżej 20. roku życia. Dodatkowo przeprowadzono pogłębione wywiady z kilkuset osobami. Wszystko po to, by jak najlepiej zdiagnozować stan wiedzy i świadomości historycznej Polaków, ze szczególnym uwzględnieniem młodego pokolenia.

MŁODZIEŻ Z POTENCJAŁEM

Zespół prof. Malickiego wyodrębnił trzy główne typy postaw wobec historii.

U 15 proc. uczniów szkół średnich dominuje postawa refleksyjno-poznawcza. Takie osoby są nie tylko otwarte na poznawanie historii, lecz także skłonne widzieć w niej nauczycielkę życia. To ludzie z ponadprzeciętną wiedzą historyczną, na ogół deklarujący patriotyzm, zainteresowani także bieżącą polityką i zaangażowani społecznie. Chętnie korzystają z oferty edukacyjnej IPN – nie muszą tłumaczyć, że dla nas to idealna grupa docelowa.

Są też jednak tacy, którzy kontestują wiedzę historyczną. Mówią, że historia nie jest nam do niczego potrzebna, że zajmowanie się nią to tylko strata czasu

i pieniędzy. Takie osoby rzadko uznają się za patriotów, w niewielkim stopniu interesują się polityką, poglądy mają raczej lewicowe, a stosunek do wiary – niechętny. To właśnie z tego grona wywodzą się ci, którzy twierdzą, że Instytut Pamięci Narodowej należałoby zlikwidować, a teczki spalić lub zabetonować na wiele lat. Dotarcie do nich z ofertą IPN jest niemal niemożliwe. Na szczęście to zaledwie 8 proc. badanej młodzieży.

Jest wreszcie największa grupa uczniów – ci o ambiwalentnym stosunku do historii. Dotychczas niespecjalnie się nią zajmowali, tak zresztą jak polityką. Nie znaczy to jednak, że są uprzedzeni do poznawania historii i wyciągania z niej wniosków – po prostu nie trafili do tej pory na nikogo, kto obudziłby w nich pasję historyczną. Dotarcie do ich serc i umysłów będzie dla Instytutu Pamięci Narodowej nie lada wyzwaniem, ale gra zdecydowanie jest warta świeczki. Mówimy bowiem o ponad połowie młodzieży szkolnej (54 proc.).

PRZEKONAĆ NIEPRZEKONANYCH

Jak przekonać nieprzekonanych? Między innymi o tym rozmawialiśmy na Kongresie Pamięci Narodowej – wielkim wydarzeniu zorganizowanym przez IPN na Stadionie PGE Narodowym im. Kazimierza Górskiego w Warszawie.

Do dyskusji zaprosiliśmy wybitnych naukowców z Polski i zagranicy, edukatorów, nauczycieli, działaczy społecznych, weteranów, a także blogerów, vlogerów, pisarzy, dziennikarzy i wszystkich, dla których historia i pamięć historyczna są ważne. Przez trzy dni – od 13 do 15 kwietnia – wspólnie zastanawialiśmy się, jak sprawić, aby pamięć o trudnym wieku XX przeszła na kolejne pokolenia, wzmacniała naszą narodową wspólnotę i pomagała nam skutecznie kształtować przyszłość.

W środowisku naukowym wciąż jesteśmy mocno przywiązani do wyobrażenia, że to książka jest podstawowym źródłem wiedzy historycznej, że to przede wszystkim ona buduje erudycję człowieka i rozwija jego wyobraźnię. Wydawnictwo IPN to dziś lider na rynku książek historycznych – zarówno pod względem ilościowym, jak i wpływu na debatę naukową w Polsce. Instytut Pamięci Narodowej nadal będzie wydawał solidne monografie, edycje źródeł, albumy – bynajmniej nie tylko w wersji elektronicznej. Mamy do tego niezbędny potencjał: ok. 300 naukowców i ponad 90 km akt.

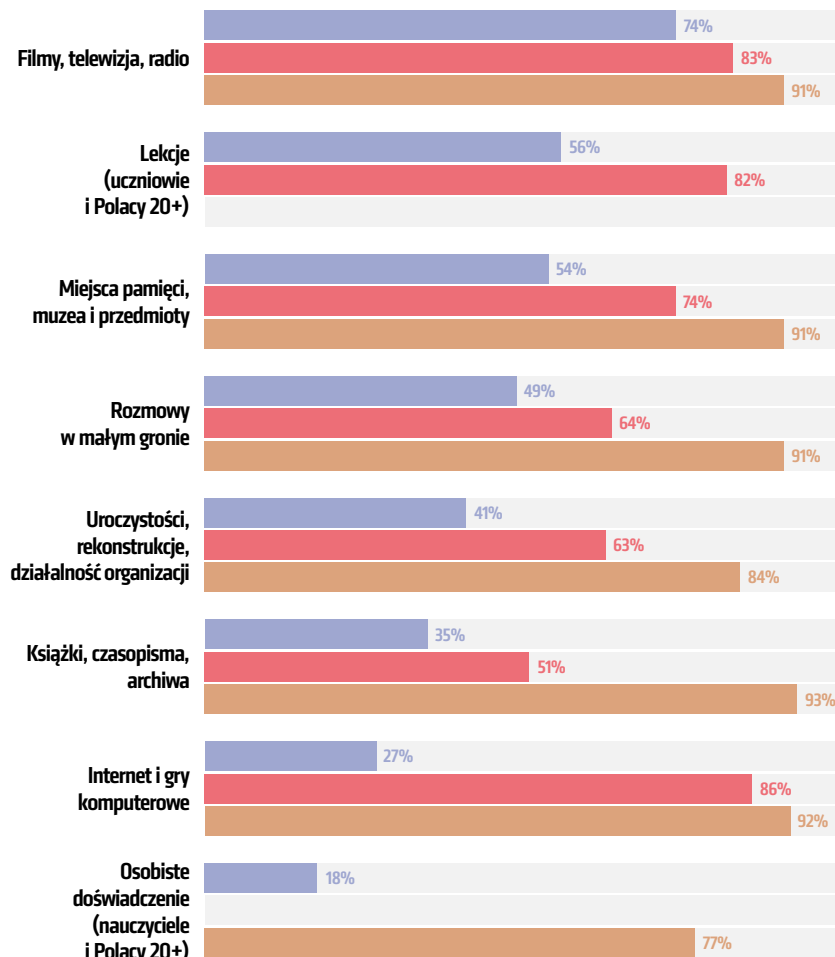
Trudno jednak ignorować generacyjny przełom, który następuje na naszych oczach. Chcemy przecież – na co wielokrotnie zwracał uwagę prezes IPN dr Karol Nawrocki – być Instytutem Przyszłości Narodowej, wciąż mówiącym prawdę o XX-wiecznej historii Polski, ale czyniącym to na miarę trzeciej dekady XXI w. Aby tak się stało, język naszych opasłych archiwów musimy umieć przełożyć także na przekaz atrakcyjny dla pokolenia, które właśnie wchodzi w dorosłość albo ma ten proces jeszcze przed sobą.

HISTORIA ZAPISANA W SMARTFONIE

Nie od dziś głosimy się nad tym, jak trafić do młodych ludzi, którzy gros czasu spędzają w wirtualnej rzeczywistości albo słuchając muzyki. Najprostsza recepta: wejść do ich świata. Instytut Pamięci Narodowej już stara się to robić. W naszej strukturze powołano nowe pionierzy, których do tej pory brakowało. Biuro Nowych Technologii, działające od jesieni 2021 r., zdążyło już zaistnieć z przypływem. Przygotowana przez nie „Gra szyfrów”, przenosząca nas w czasy wojny polsko-bolszewickiej, cieszyła się wielkim

Źródła wiedzy historycznej

„Skąd czerpałeś/czerpałaś do tej pory wiedzę historyczną? Zaznacz wszystkie odpowiedzi, które Ciebie dotyczą”.



Procenty nie sumują się do 100 ze względu na możliwość wyboru więcej niż jednej odpowiedzi. Połączono odpowiedzi szczegółowe w szersze kategorie i pominięto „inne źródła”.

■ N = 1068 Polacy 20+ ■ N = 3776 uczniowie ■ N = 1108 nauczyciele

powodzeniem m.in. na targach PAX East w Bostonie, a teraz także na Kongresie Pamięci Narodowej. Biuro Wydarzeń Kulturalnych organizuje z kolei atrakcyjne koncerty, spektakle, pokazy filmowe. Nie zapomniano też o najmłodszych. Dla przedszkolaków Biuro Przystanków Historia ma w ofercie „Historię Misia Wojtka” – przedstawienie teatralne przybliżające losy sympatycznego niedźwiedzia, który towarzyszył żołnierzom Armii Andersa na ich szlaku bojowym.

Historia musi odczytywać znaki czasu. W ciągu ostatnich dwóch dekad

wyrośliło całe pokolenie Polaków, którego nie dotyczą sprawy lustracji, a które wciąż czeka na skuteczny przekaz w edukacji. Spotkania ze świadkami historii, wizyty w miejscach pamięci i nowoczesnych muzeach wciąż mają w sobie potencjał, którego nie można lekceważyć. Wielki potencjał niosą też jednak nowe technologie. Oferta IPN – dostępna coraz szerzej na komputerach, smartfonach, tabletach czy w goglach VR – wyznaczy nowe standardy nauczania.

Autor jest rzecznikiem prasowym Instytutu Pamięci Narodowej.



prof. Krzysztof Malicki,
Uniwersytet Rzeszowski

Wypełniona obowiązkami codzienność rzadko skłania nas do refleksji nad tym, w jak dużym stopniu historia i przeszłość przenikają każdy wytwór ludzkiej kultury, jak silnie odzwierciedlają się w aktywnościach i zachowaniach społeczeństwa, jak bardzo wpływają na to, kim jesteśmy i jaki jest dzisiejszy świat. Skłonni jesteśmy postrzegać historię jako odseparowaną od współczesności przestrzeń profesjonalnych badań i debat lub też zamkniętą na pewnym etapie naszego życia rozdział szkolnej edukacji – nakierowanej na zapamiętanie dat i wydarzeń z przeszłości sięgającej w odległe czasy starożytności

Bogactwo historii i potrzebę jej przemyślenia w kontekście złożonych procesów przyczynowo-skutkowych określających postać współczesnego świata niełatwo pogodzić z ograniczonymi czasowo ramami, w których odbywa się szkolne nauczanie. Tym samym często zaprzepaszcza się ważny cel nauczania historii, tj. pobudzanie do zadumy i refleksji nad przeszłością jako źródłem praktycznej i wyjaśniającej współczesność wiedzy. Ważnym celem jest utwierdzanie młodych ludzi w przekonaniu, że historia nie jest zbiorem nieprzydatnych dat, lecz najlepszym źródłem żywej pamięci o przeszłości. Pamięci, która powinna formować naszą tożsamość, wyjaśniać nam współczesny świat i pozwalać uniknąć popełnionych niegdyś błędów. Przy takim założeniu trudno byłoby nie zgodzić się z postulatem, by edukacja historyczna w większym stopniu stawała się edukacją dla pamięci, kształtującą świadomego swych korzeni obywatela, w sposób krytyczny czerpiące-

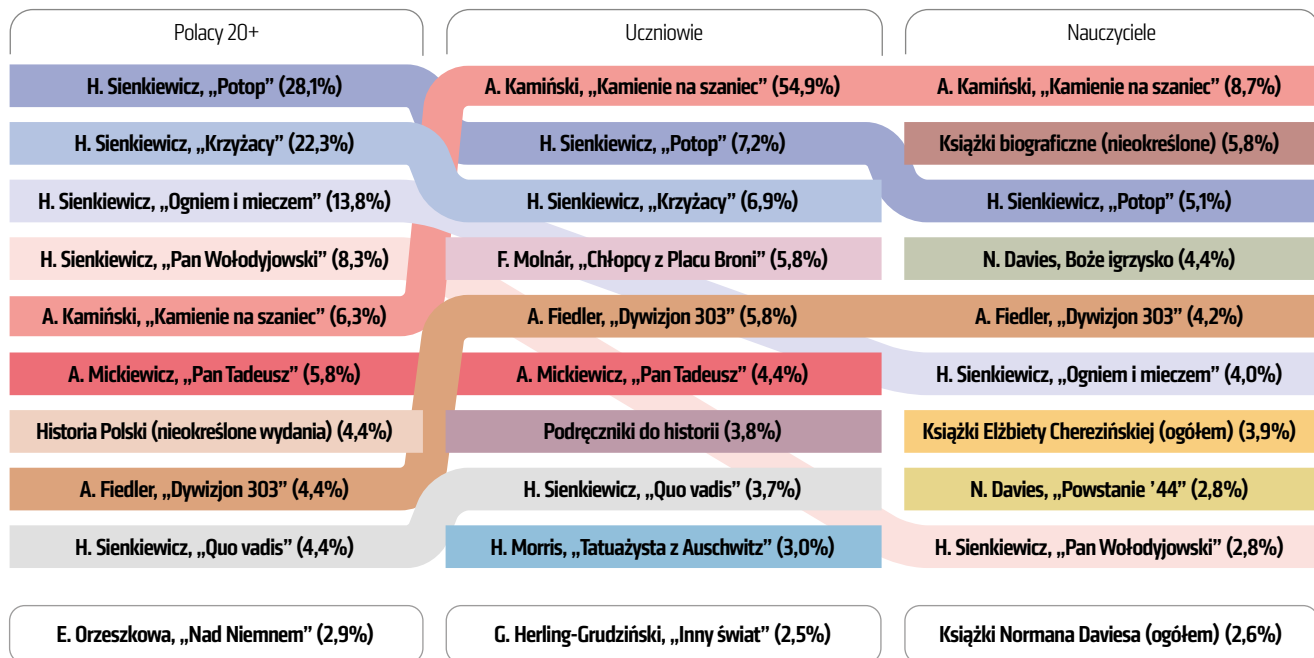
Edukacja dla pamięci



FOT. ADRIAN STOK

Książki przedstawiające historię w atrakcyjny sposób

Respondenci ze wszystkich trzech kategorii wskazali ok. 800 tytułów książek, które w ich ocenie atrakcyjnie przybliżają tematykę historyczną. Niejednokrotnie podawano tylko preferowanego autora, czasami gatunek literatury (np. biografie, pamiętniki, wspomnienia) lub okres historyczny, o którym respondenci lubią czytać.



„Tytuły książek, w których zetknąłeś/zetknęłaś się z historią w formie, która była dla Ciebie atrakcyjna, trafiła do Ciebie”.

Odsetek Polaków 20+, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 480 (45%)

Odsetek uczniów, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 1397 (37%)

„Tytuły książek, w których Pana/Pani zdaniem przedstawiano historię w sposób najbardziej atrakcyjny dla młodych osób”.

Odsetek nauczycieli, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 747 (67%)

go wiedzę z przeszłości. W efekcie takiej edukacji po osiągnięciu dorosłości podejście on społeczną aktywność na rzecz swej wspólnoty, co w konsekwencji ukształtuje przyszłość jego i następnych pokoleń.

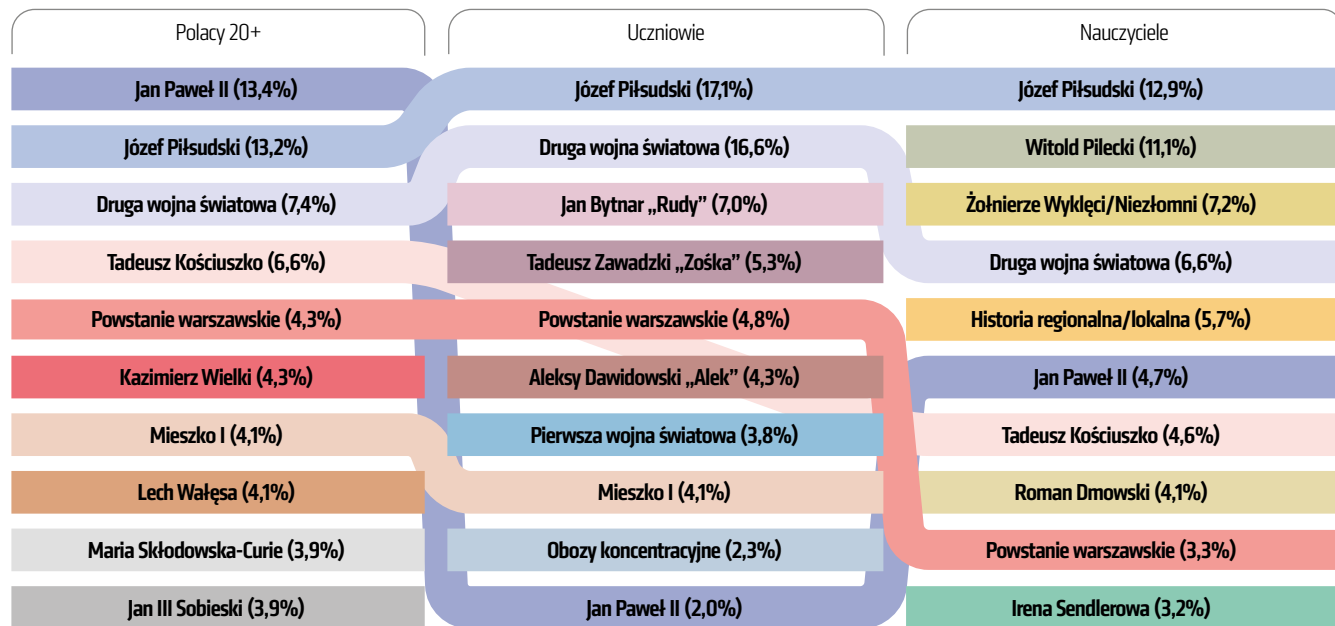
Zamiar kształtowania i zmieniania postaw społecznych, także tych odnoszących się do historii, wymaga uprzedniego ich rozpoznania. Analiza problematyki postaw wobec tego, co stało się domeną przeszłości, nie należy do prostych, gdyż obejmuje obszar cechujący się pojęciową wieloznacznością i trudnościami w pomiarze. Dodatkowym problemem jest wybór kategorii społecznych, które powinny być poddane badaniu. Naturalne wydaje się objęcie takimi badaniami młodzieży szkolnej, czyli tej części społeczeństwa, która w ramach lekcji szkolnych intensywnie przyswaja wiedzę w zakresie historii. W świadomości tych młodych ludzi formuje się światopogląd, który określi ich późniejsze życiowe wybory. Pojawia się

jednak pytanie o to, jaką wartość będzie mieć opis postaw jedynie młodego pokolenia, jeśli wyników takich nie będzie można skonfrontować z żadną inną kategorią społeczeństwa, a tym samym określić, co pozostaje w pejzażu pokoleń naszego społeczeństwa niezmiennie, a co uległo przeobrażeniom.

Jesienią 2022 r. Instytut Pamięci Narodowej podjął się wyzwania realizacji ogólnopolskich badań społecznych, których celem było zdiagnozowanie postaw Polaków wobec swej przeszłości. Projekt ten przyjął bezprecedensowy rozmiar pod względem zakresu społecznego, terytorialnego i tematycznego. Po raz pierwszy badaniu młodzieży szkół średnich towarzyszyło badanie reprezentatywnej próby społeczeństwa polskiego (osoby od 20. roku życia) oraz reprezentatywnej próby nauczycieli historii. Włączenie tej ostatniej grupy pozwala skonfrontować odpowiedzi uczniów z odpowiedziami tych, którzy „na

pierwszej linii” kształtują postawy wobec historii. Przyjęto założenie, że badanie musi mieć wymiar praktyczny; pozwoli to odtworzyć strukturę postaw przydatną do usprawniania edukacji historycznej. Ważnym segmentem badania uczyniono więc opinie młodzieży i nauczycieli o preferowanych metodach poznawania historii. W ramach badania poddano respondentów testowi wiedzy, który obejmował nie tylko znajomość dat i faktów z przeszłości Polski, lecz także rozpoznawalność kanonicznej ikonografii, tj. zdjęć kształtujących narodową pamięć o przeszłości. Ponieważ historia nie jest tylko zbiorem dat i faktów, wnikliwie przeanalizowano potoczne wyobrażenia respondentów o historii, sformułowano „rankingi” cenionych i wywołujących poczucie wstydu postaci i wydarzeń z dziejów Polski. Przeanalizowano także miejsca i media związane z pamięcią i tę pamięć najsilniej kształtujące. Materiał uzyskany za pomocą badań ankietowych

Postaci i wydarzenia z historii budzące ciekawość i chęć lepszego poznania



„Wydarzenia lub postaci z historii, które budzą w Tobie szczególną ciekawość, których losy chciałbyś/chciałabyś lepiej poznać”

Odsetek Polaków 20+, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 485 (45%)

Odsetek uczniów, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 1686 (45%)

„Wydarzenia lub postaci z historii, którymi Pana/Pani zdaniem warto byłoby w większym stopniu zainteresować młode osoby”

Odsetek nauczycieli, którzy udzielili odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 969 (87%)

■ dopełniono wynikami pogłębionych badań w formie wywiadów grupowych. W badaniu wzięło udział ponad 6 tys. osób.

Zrealizowane badanie dostarczyło bardzo obszernych danych. Kluczowe wnioski z ich analizy można sformułować następująco:

1. Historia jako zasób wiedzy przydatny w codziennym życiu

Historia pozostaje obszarem ciągle niewykorzystanego potencjału do budowania postaw refleksyjno-poznawczych, a zatem takich, w których zainteresowanie historią łączy się z namysłem nad nią i uznaniem jej za zasób wiedzy przydatny w codziennym życiu. Choć tego typu postawa wydaje się punktem docelowym edukacji historycznej i powinna charakteryzować każdego świadomego obywatela, to łączne występowanie obu jej komponentów (refleksyjnego i poznawczego) zaobserwowano u ok. jednej piątej uczniów i dorosłych Polaków. Tendencję do podważania sensu obecności historii w życiu społecznym zaobserwowano natomiast u 14 proc. uczniów szkół średnich i 22 proc. doro-

Postać Józefa Piłsudskiego jest bardzo ważna i budzi jakiś respekt, ale ja osobiście najbardziej podziwiam kontekst postaci Józefa Piłsudskiego i Dmowskiego, ponieważ to jest moim zdaniem przykład tego, jak powinna być prowadzona polityka współczesnie, i tego, że panowie mieli kompletnie odmienne poglądy i nawet zatargi prywatne o jedną kobietę, mimo to byli w stanie prowadzić politykę dla dobra narodu. I wydaje mi się, że to budzi mój respekt, że ludzie, którzy byli negatywnie personalnie do siebie nastawieni, to dla dobra kraju byli w stanie popychać tę politykę dalej. Uważam, że tego brakuje aktualnie w polityce polskiej.

Patryk, uczeń liceum, woj. łódzkie

słych Polaków. Postawę połowy uczniów szkół średnich i dorosłych Polaków określić można jako ambiwalentną. Nie przejawiają oni szczególnego zainteresowania historią, ale nie są też do niej negatywnie nastawieni.

2. Źródła wiedzy historycznej

Wiedzę o swej przeszłości Polacy pozyskują z wielu zróżnicowanych źródeł: zarówno tradycyjnych (rozmowy ze starszym pokoleniem, wizyty w muzeum), jak i nowoczesnych (Internet, gry komputerowe). Rodzina, jako ognisko pamięci, nie wydaje się na razie zagrożona, gdyż większość badanych deklaruwała rozmowy o historii w rodzinnym gronie, a tema-

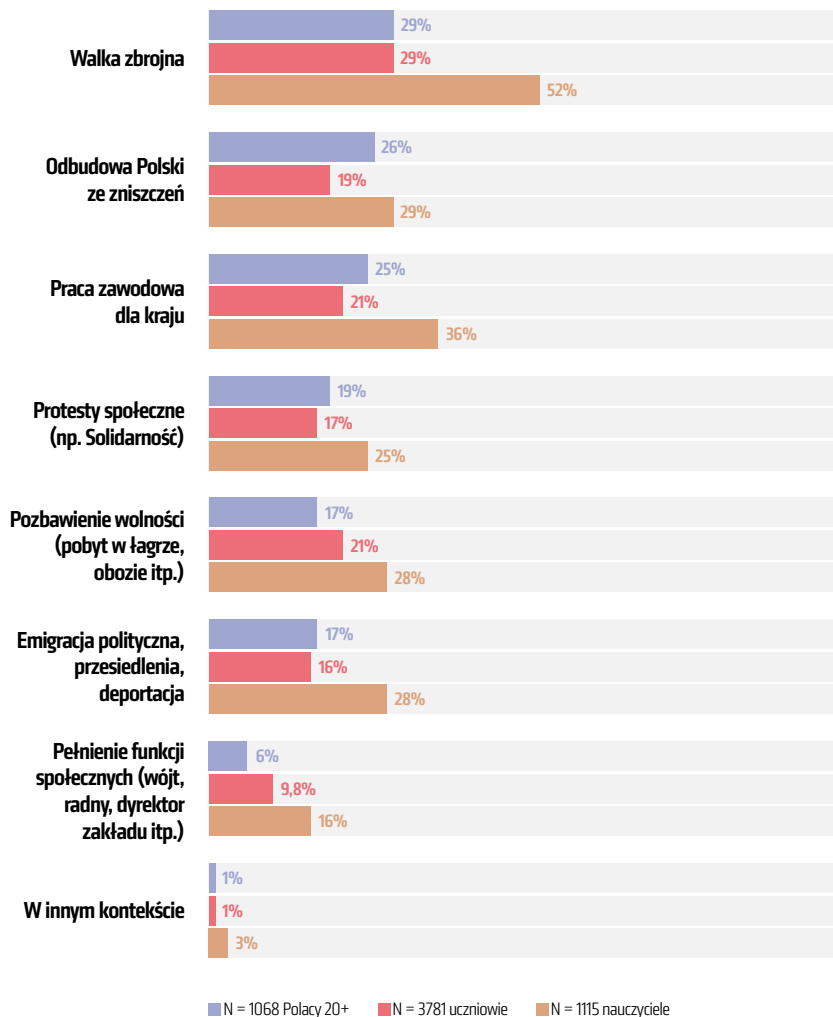
tyka takich rozmów obejmuje nie tylko dramaty wojen, lecz także codzienną pracę przodków dla kraju czy zmaganie się z niełatwą codziennością okresu komunizmu. Wyraźne są dysproporcje pokoleniowe w czerpaniu wiedzy o historii z różnych źródeł, zwłaszcza w przypadku Internetu, będącego domeną młodzieży. Wyniki ukazały kilka paradoksów: to, co jest źródłem wiedzy najważniejszym i najbardziej wiarygodnym (lekcje historii), rzadko bywa uznawane za ciekawe. To, co jest ważne i ciekawe (Internet), w mniejszym stopniu jest uznawane za wiarygodne. Źródła, które nie są najważniejsze (rozmowy ze starszym pokoleniem, z pasjonatami

historii, kontakt z miejscami pamięci i muzeami, pamiątkami przeszłości), są uznawane za szczególnie wiarygodne. Paradoksy te wskazują pola do ewentualnych działań naprawczych, np. tworzenia wiarygodnych i atrakcyjnych przestrzeni poznawania historii w Internecie. Samą wiedzę Polaków o historii swojej ojczyzny można określić jako umiarkowaną, przy czym w przypadku młodzieży uzyskane wyniki były zauważalnie niższe w porównaniu z dorosłymi Polakami. Niepokój może budzić stan wiedzy o kluczowych wydarzeniach z historii najnowszej. Przykładowo: tylko jedna trzecia respondentów (zarówno młodzieży, jak i dorosłych Polaków) potrafiła wskazać prawdziwą przyczynę wprowadzenia przez komunistów stanu wojennego (czyli chęć zniszczenia Solidarności i zachowania władzy). Co trzeci dorosły Polak i co szósty uczeń nadal wyraża przekonanie, że stan wojenny był sposobem na ocalenie kraju przed sowiecką interwencją. Nieco lepiej wypadli badani w rozpoznawaniu zdjęć przedstawiających kluczowe postacie i wydarzenia z polskiej historii, jednak nawet tu widać duże obszary niewiedzy. Niepokoją one, tym bardziej że współczesny świat jest zdominowany przez przekaz wizualny. Zdecydowanie niezadowolająca jest wiedza o przeszłości regionalnych małych ojczyzn. Nieznajomości postaci oraz wydarzeń z ich przeszłości towarzyszy umiarkowana świadomość wkładu regionów w historię narodową.

3. Historia w mediach społecznościowych

Trudno byłoby spotkać opinię negującą potrzebę nauczania i mówienia o historii w sposób atrakcyjny, dlatego temat ten podjęto w trakcie badania. Zapytano respondentów o najatrakcyjniejsze formy kontaktu z historią. Niestety, historia w najatrakcyjniejszej dla Polaków formie rzadko ma postać słowa drukowanego, a jeśli już, to wyraża się w szkolnych lekturach (młodzież) oraz wielkich sienkiewiczowskich eposach (dorośli Polacy). Filmy są wskazywane jako ciekawe źródło, jednak ponownie kluczowe miejsce zajmują ekranizacje szkolnych lektur i dzieł Sienkiewicza. Choć w odpowiedziach respondentów nie brakowało „perełek” – niezwykle wartościowych filmów fabularnych i dokumentalnych – to były one wskazywane rzadko i głównie przez nauczycieli historii. Również przegląd stron internetowych

„W jakim kontekście wspomina się w Pana/Pani rodzinie o udziale przodków w wydarzeniach z przeszłości?”



Ja pytałam dziadków często, jak jeszcze żyli, i w sumie niewiele się dowiadywałam na ten temat, ponieważ dziadek [...] jako 16-latek został wywieziony do Niemiec i tam musiał pracować w tych obozach pracy. I on to bardzo ciężko wspominał. Niewiele o tym opowiadał. Wiem, że też miał jakiś dokument [...] z tą odznaką niemiecką i dziadek z żalu, z tego wszystkiego, po prostu to spalił kiedyś, bo on się nie chciał z tym nigdy identyfikować. Natomiast kiedyś na pewno to opowiem dzieciom, bo dziadek był dobrym człowiekiem.

Katarzyna, 34 lata, woj. małopolskie

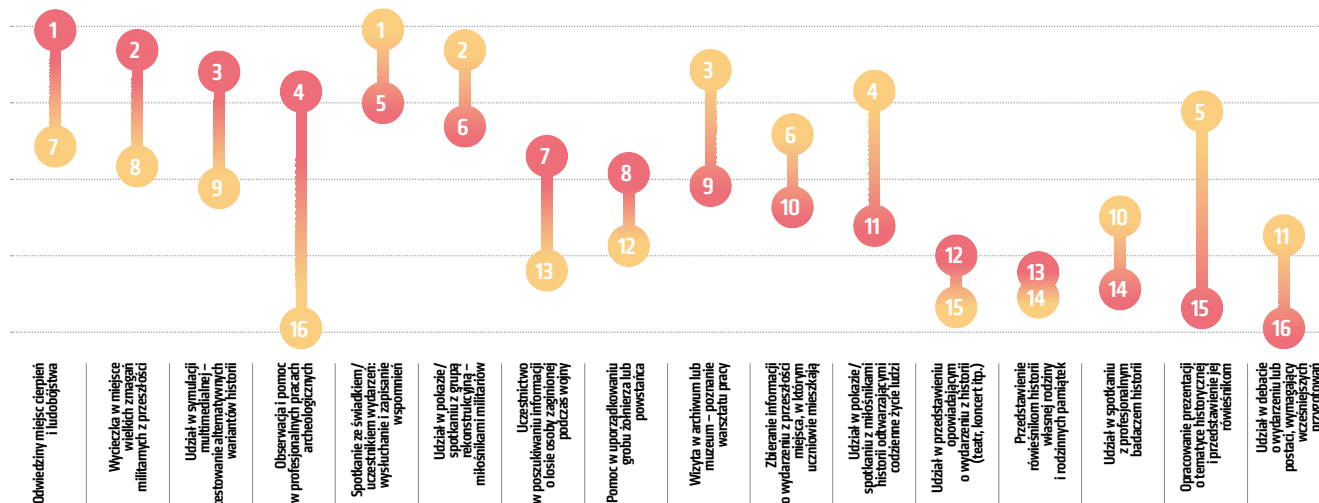
wskazywanych przez badanych dowodzi, że w marginalnym stopniu czerpią oni z profesjonalnych portali naukowych czy nieograniczonych zasobów wiedzy w postaci zdigitalizowanych archiwów i wirtualnych bibliotek z całego świata. Wiedzy

historycznej poszukuje się raczej na takich portalach jak YouTube, Wikipedia, Facebook czy nawet TikTok. Bardziej optymistyczne są wyniki dotyczące roli muzeów. Są one często uznawane za ciekawe i wiarygodne źródła wiedzy, a wszystkie łącznie

Jak chcielibyśmy uczyć się historii?

■ Ocena form pod względem atrakcyjności dla uczniów w opinii samych uczniów
Pozycja w hierarchii utworzonej na podstawie wskaźnika odpowiedzi: „Wziąłbym/wzięłabym w tym udział, nawet jeśli miałbym/miałabym poświęcić na to wyłącznie własny czas poza lekcją historii” N = 3726 uczniowie

■ Ocena form pod względem atrakcyjności dla uczniów według nauczycieli
Pozycja w hierarchii utworzonej na podstawie pytania: „Proszę jeszcze raz przywrócić się wyszczególnionym propozycjom przybliżania uczniom historii i wybrać z nich maksimum 5, które Pana/Pani zdaniem (na podstawie swego doświadczenia) byłyby dla uczniów najbardziej ciekawe?” N = 1115 nauczyciele



■ (respondenci wymienili ich ok. 400) oferują historię zróżnicowaną i o wysokim stopniu profesjonalizmu. Duże znaczenie muzeów i miejsc pamięci, uchwycone w niniejszym badaniu, wskazuje na niewykorzystany w pełni potencjał tych przestrzeni w procesie edukacji historycznej.

4. Atrakcyjne lekcje historii

Szczególnie istotne wydają się wyniki badania na temat preferowanych przez uczniów sposobów uatrakcyjnienia lekcji historii, skonfrontowane z odpowiedziami nauczycieli historii. Zauważamy tutaj, że formy przekazu wiedzy historycznej, które interesowałyby uczniów, oraz te, które nauczyciele uznają za interesujące dla młodzieży, pokrywały się jedynie częściowo. Preferowane przez uczniów formy są aktywne i dynamiczne, często „w terenie”. Nauczyciele częściej niż uczniowie przypisują wyższą rangę formom statycznym i ograniczonym ścianami klasy szkolnej. Oczywiście należy pamiętać, że wpływ na odpowiedzi nauczycieli ma świadomość ograniczenia programem nauczania oraz czasem, którym dysponują. Dysproporcje te warto przeanalizować i dalej monitorować. Optymistycznym wnioskiem z badania jest to, że tylko co 10. uczeń deklarował skrajną niechęć do jakiegokolwiek eksperymentów w zakresie wdrażania nowych form dydaktyki historii.

Moim zdaniem fajne by były np. organizowane spotkania ze starszymi ludźmi, którzy pamiętają wojnę. Jakies spotkania właśnie z powstańcami czy uczestnikami po prostu drugiej wojny światowej. I taka wymiana właśnie poglądów między naszym pokoleniem a tymi, którzy to przeżyli i którzy są realnymi świadkami. Uważam, że to zdecydowanie bardziej realnie oddziałuje na ludzi, gdy słuchają od osoby, która to widziała z pierwszej ręki, aniżeli informacje własnie czytane z książki czy z jakichś filmów. Myślę, że to by było fajne rozwiązanie.

Maciej, uczeń szkoły branżowej, woj. lubelskie

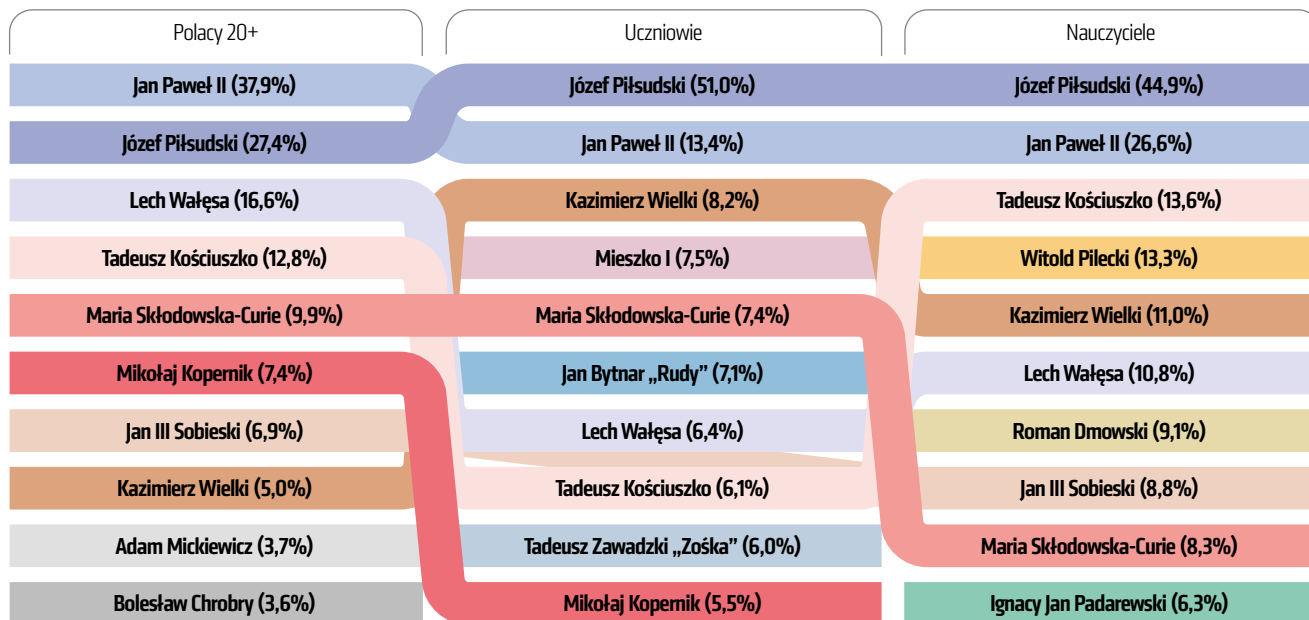
5. Pamięć o przeszłości a obraz historii Polski

Pamięć o przeszłości to nie tylko wiedza o historii, lecz potoczne wyobrażenia o niej. To postaci i wydarzenia z przeszłości Polski, z których jesteśmy dumni i których się wstydzimy. Aspekty te zostały również szczegółowo przebadane, a obraz historii Polski, wyłaniający się z odpowiedzi respondentów, wskazuje na skuteczną transmisję wyobrażeń o przeszłości z pokolenia na pokolenie. Listy wskazywanych postaci i wydarzeń, z których jesteśmy dumni i których się wstydzimy, nie odbiegają istotnie od tych, które Polacy formułowali w podobnych badaniach w minionych dziesięcioleciach. Najbardziej istotnym przypadkiem zmiany jest malejące znaczenie postaci Jana Pawła II dla młodego pokolenia. W centrum naszej pamięci sytuują się nadal postać Józefa Piłsudskiego i odzyskanie niepodległości w 1918 r. Niektóre

wyniki pokazują potrzebę głębszej refleksji nad proporcjami nauczanych w szkole treści, szczególnie gdy we wskazaniach młodego pokolenia na wydarzenia, z których jako Polacy możemy być dumni, niemal nie występuje ruch Solidarności czy pontyfikat Jana Pawła II.

W wyniku badania „Edukacja dla pamięci”, zrealizowanego przez Instytut Pamięci Narodowej, we współpracy z Uniwersytetem Rzeszowskim, zgromadzono bogaty materiał empiryczny, który dostarcza użytecznych informacji dla planowania zmian w nauczaniu historii. Badanie przyczyni się do rzetelnej i pogłębionej debaty nad formami i celami dydaktyki historycznej; pozwoli wyznaczyć kierunki dalszych badań monitorujących zdiagnozowane zjawiska, gdyż zrealizowany projekt ujawnił obszary, w których szybkie zmiany wydają się niezbędne.

Kanon bohaterów narodowych – postaci, z których jesteście dumni



„Postaciami z historii Polski, z których jestem dumny/dumna, są...”

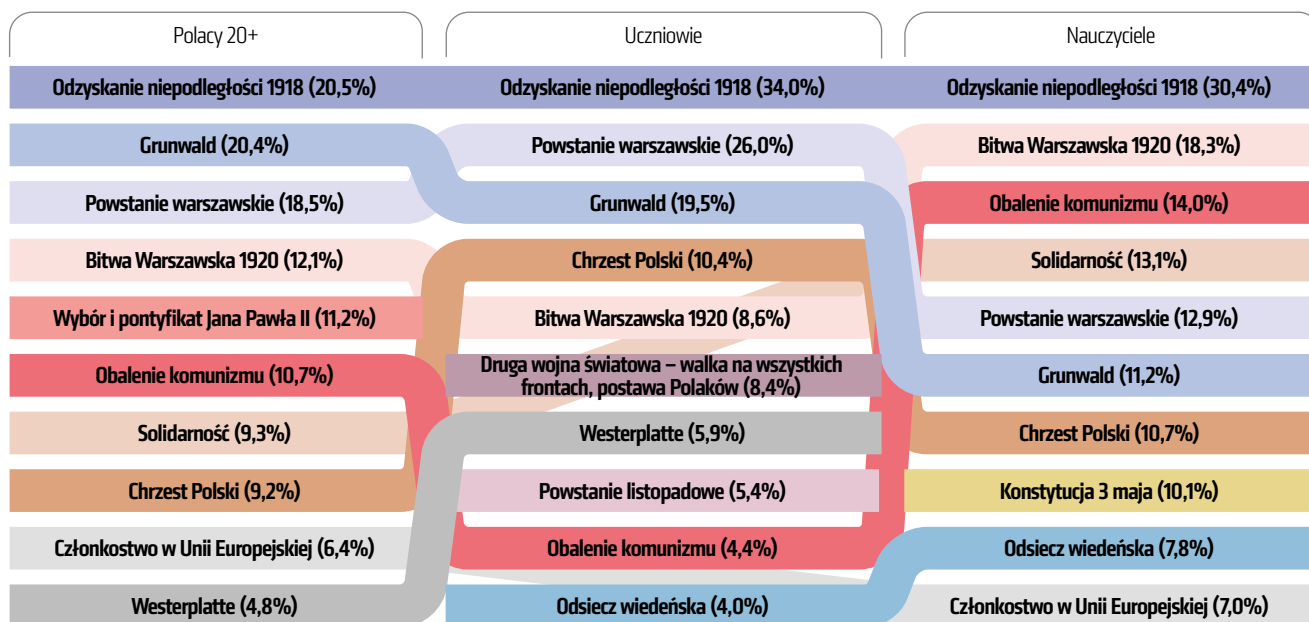
W odpowiedziach otwartych wskazywano również na postaci z bieżącej polityki, jednak nie zostały one uwzględnione w zestawieniu.

Odsetek Polaków 20+, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 839 (79%)

Odsetek uczniów, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 1992 (53%)

Odsetek nauczycieli, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 1046 (94%)

Kanon wydarzeń z historii Polski, które wywołują w nas dumę



„Wydarzeniami z historii Polski, z których jestem dumny, są...”

Odsetek Polaków 20+, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 795 (74%)

Odsetek uczniów, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 2227 (59%)

Odsetek nauczycieli, którzy udzielił odpowiedzi na pytanie otwarte:
N = 1058 (95%)



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOZERCA

Sądy
podziemne

W Polskim Państwie Podziemnym 1939–1942 jedną z płaszczyzn szczególnej aktywności było konspiracyjne sądownictwo. Jego istnienie było konieczne, ponieważ nie można było przecież iść do niemieckiego „wymiaru sprawiedliwości” dla Polaków (a był taki), aby rozstrzygać sprawy mające miejsce w konspiracji. Dlatego duże, poważne organizacje starały się uruchomić własny wymiar sprawiedliwości. Był on z natury rzeczy ułomny, wymuszony przez nienormalne warunki działania. Tylko trzy duże organizacje konspiracyjne uruchomiły własne struktury sądowe, oparte na przedwojennych zasobach kadrowych. Były to ZWZ-AK, NOW i NSZ.

Dysponowały one zapleczem politycznym i kadrowym, w postaci przedwojennych sędziów, prokuratorów, adwokatów i szerzej – prawników różnych specjalności. Ich działalność skierowana była przede wszystkim na regulacje prawne we własnych szeregach (były to m.in. podejrzenia o zdradę, malwersacje finansowe, dezercję itp.). Tu postępowanie było łatwiejsze, ponieważ na ogół dostępni byli oskarżeni i świadkowie oraz konieczne dokumenty. W przypadku spraw dotyczących osób z innych organizacji oraz osób spoza jakichkolwiek organizacji sytuacja była trudniejsza, ale na ogół radzono sobie z tym, choć z różnym skutkiem.

W strukturach tych organizacji (na różnych szczeblach) istniały wydzielone pionier – komórki, których zadaniem było prowadzenie działalności z tego zakresu. Ponadto struktury z tego zakresu musiały posiadać oddziały partyzanckie, do rozstrzygania spraw niecierpiących zwłoki. Tu na ogół sądy doraźne składały się z oficera, podoficera i szeregowca, a wyrok był każdorazowo zatwierdzany przez dowódcę oddziału. Po fakcie dokumentację z takich postępowań wysyłało do struktur wyższych, od komend powiatowych poczynając.

Ewenementem było natomiast podziemie komunistyczne, czyli PPR i GL-AL. Tu takich komórek nie było, zresztą te organizacje działały w trybie „rewolucyjnym”, czyli samowolnym. Komunistyczny „badacz” tego zagadnienia, sędzia Sądu Najwyższego płk Bogdan Dzieciot, w swej pracy „doktorskiej” opisał to tak: „Trudno byłoby dzisiaj ustalić, ile decyzji o przykładowym ukaraniu zapadło w drodze ściśle sądowej, ile zaś podjęto w trybie, który można byłoby nazwać administracyjnym, partyjnym i dowódczym, zapadłych jednoosobowo [...]”.

Nie ma w dokumentacji tego podziemia żadnych spraw, które nosiłby choć pozory praworządności. Były odnotowane bardzo liczne przypadki zabójstw, ale trudno je nazwać „wymiarowaniem sprawiedliwości”, choćby ułomnym. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bunt
gdański

Marcin Luter wystąpił przeciw istniejącym porządkom w Kościele jesienią 1517 r., a już kilka miesięcy później w Koronie pojawili się kaznodzieje głoszący jego nauki. W efekcie, w lipcu 1520 r., Zygmunt Stary wydał pierwszy edykt przeciwko heretykom. Zakazał przywożenia do Polski pism Lutra, nieposłusznym grożono wygnaniem i konfiskatą majątku, a trzy lata później ogłoszono, że propagowanie nauki niemieckiego reformatora będzie karane śmiercią.

Nikt się jednak specjalnie nie kwapił do ich egzekwowania. W Krakowie przez ponad ćwierć wieku wyznaczono tylko ok. 30 procesów o herezję, ale wyroki skazujące nie zapadały. Winnych wyłącznie upominano i nikt nie zamierzał ich wysyłać na stos.

Legalność królewskich edyktów przeciwko heretykom podawano zresztą w wątpliwość, zgodnie bowiem z konstytucją nihil novi z 1505 r. powinny zostać zatwierdzone przez Izbę Poselską, a to nie nastąpiło. W tej sytuacji starostowie, mający je egzekwować, działali bardzo opieszale, tym bardziej że sami uznawali to za bezprawie. Sądami biskupimi nikt z herbowych nie zamierzał się przejmować i zdarzały się nawet przypadki zbrojnego odbicia aresztowanych.

Także Zygmunt Stary zdawał sobie sprawę z tego,

że ściśle egzekwowanie jego edyktów jest niemożliwe, ale wiosną 1526 r. zdecydował się na interwencję zbrojną w Gdańsku, gdzie luteranie przejęli władzę. Dotychczasowe władze zostały usunięte, a przy okazji skasowano też klasztory, gdzie nie obyło się bez gwałtów i profanacji. Zlikwidowano również urzędy proboszczów, a rebelianci wysłali oficjalne pismo do Zygmunta Starego. Potwierdzono lojalność wobec Polski i zapewniono o regularnym płaceniu podatków.

Buntownicy mieli nadzieję na pozytywną odpowiedź ze strony króla, ale nie przewidzieli jednak, że ten potraktuje tumult gdański jako bunt przeciwko porządkowi społecznemu w państwie.

17 kwietnia 1526 r. Zygmunt Stary na czele ośmiotysięcznej armii wkroczył do miasta. Czternastu przywódców rebelii ścięto przed Dworem Artusa, a pozostałym zwolennikom reformacji dano dwa tygodnie na opuszczenie miasta. Przywrócono poprzednie władze, klasztory oddano zakonom, a kościoły proboszczom. Jednak zmian nie można było już zatrzymać i gdy 20 lat później Rzesza Niemiecka pogrążyła się w wojnie religijnej, Zygmunt Stary kategorycznie zabronił poddanym udziału w konflikcie. I to zarówno po stronie katolickiej, jak i protestanckiej. ©©



JAK SIĘ „DROczy” DALAJLAMA

W lutym w mieście Dharamsala w Indiach chłopiec podszedł do Dalajlamy i zapytał, czy może go przytulić. Osiemdziesięciosiedmioletni duchowny kazał się najpierw pocałować w policzek, potem przyciągnął chłopca i pocałował go w usta. Następnie poprosił: „Ssij mój język”. Po ujawnieniu nagrania z tego zajścia biuro Dalajlamy przekazało, że pragnie przeprosić chłopca i jego rodzinę. „Jego Świątobliwość często droczy się z ludźmi w niewinny i zabawny sposób, nawet publicznie i przed kamerami” – stwierdzono w oświadczeniu.

FOT. ALAN BRAH/ARND BRONKHORST

MURDOCH ZRYWA ZARĘCZYN

Nici z piątego ślubu miliardera. Dziewięćdziesięciodwuletni Rupert Murdoch zaręczył się z higienistką dentystyczną i prezenterką radiową – 66-letnią Ann Lesley. Wybrance podarował pierścionek za 2,5 mln dol. Dwa tygodnie później para zerwała zaręczyny. Według „Vanity Fair” powodem miało być „silne przywiązanie narzeczonej do wiary ewangelickiej”.

NIEŻYJĄCY SYN OJCEM DZIECKA SVOJEJ MATKI

W ubiegłym tygodniu pisaliśmy w tej rubryce o przypadku hiszpańskiej aktorki Any Obregón, która w wieku 68 lat została matką – bo skorzystała z surogatki. Celebrytka ujawniła teraz, że ojcem tego dziecka jest jej syn, który zmarł w 2020 r. Zapłodnienie było możliwe dzięki przechowywaniu jego zamrożonego nasienia. Obregón wyznała więc „New York Post”: „Ta dziewczynka nie jest moją córką, jest moją wnuczką”.

NAUCZYCIELKA ORGANIZOWAŁA BÓJKI

Angel Footman, nauczycielka ze średniej szkoły na Florydzie (USA), została oskarżona o organizowanie w placówce walk uczniów. Dwudziestotrzylatka miała pozwalać na bijatyki w klasie, ustalała zasady (żadnego ciągnięcia za włosy, maksymalnie 30 sekund walki – takie instrukcje nagrały się na filmie z jednego z zajęć). Po zatrzymaniu nie przyznała się do zarzutów, twierdziła jedynie, że nie zgłaszała przemocy rozgrywającej się w klasie.

OJIEC Z TIKTOKA

Trzydziestoletnia Brytyjka Sarah-Jayne Snow na swoim kanale na TikToku umieściła nietypowe ogłoszenie. Pokazała, że podczas ubiegłorocznych wakacji bawiła się z 19-letnim chłopcem. Niestety, nie wymienili się nawet numerami telefonów, a okazało się, że... został ojcem. Postanowiła go odnaleźć, używając swojego kanału w mediach społecznościowych. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ekoterror zniszczy Europę?

Już 22 kwietnia obchodzony będzie Dzień Ziemi. Niestety, mimo krwawej wojny na Ukrainie, ważnych rozsad na geopolitycznej szachownicy oraz szybko rosnących cen nośników energii oraz żywności kryzys wciąż nie zajął w oczy Europejczykom na tyle, aby porzucili skrajnie szkodliwe pomysły tzw. ekologów.

Stowarzyszenie Swiss Senior for Climate Protection pozwało do sądu szwajcarski rząd, twierdząc, że robi on zbyt mało w kwestii zmian klimatycznych, co – zdaniem emerytek – zagraża ich prawom człowieka, zdrowiu, a nawet życiu. Jeśli

Europejski Trybunał Praw Człowieka przyzna im rację, to niebawem ruszy lawina podobnych pozwów od Europejczyków, którzy nie mają w życiu innych problemów niż „losy planety”. Ekoterrorysty żądają droższej energii, wyśrubowanych norm dla już piekielnie drogiego samochodu, wprowadzenia zakazu lotów, zakazu używania elektrowni atomowych, gazu, oleju napędowego i realizacji innych bezsensownych postulatów. Bezsensownych nie tylko dlatego, że na efekty długiej listy ograniczeń trzeba czekać dziesiątki, jeśli nie setki lat. Także dlatego, że wpływ takich Szwajcarów, Greków,

Czechów etc. na globalną emisję CO₂ jest niewielki, a europejskie emerytki i tak cierpieć będą przez azjatyckie potęgi. Największymi trucicielami są od lat Chiny, USA, Indie, Rosja czy Japonia.

Pozew został złożony, zanim prezydent Francji udał się do Pekinu, aby dać popis geopolitycznej naiwności i uległości. Emmanuel Macron i szefowa KE Ursula von der Leyen mogli zobaczyć, jak wygląda kraj, którego gospodarka szybko się rozwija i zdobywa kolejne rynki. I który ekoterrorystów ma tam, gdzie Emmanuel Macron może Xi Jinpinga łaskawie pocałować...



Maciej Pieczyński

Opowiadają się za nieograniczoną eskalacją wojny z Ukrainą i Zachodem. Putin to dla nich mięczak. Marzą o takim władcy jak Iwan Groźny czy Stalin. Bezkarne krytykują władzę, bo ta się ich boi. Kreml musi liczyć się z ich zdaniem. Kim są rosyjscy „wściekli patrioci”?

Na początku swoich rządów Władimir Putin próbował się dogadywać z Zachodem. Wydawał się godnym następcą Jelcyna – kapitalistą i demokratą, którego władza opiera się na skorumpowanych elitach oligarchów. Dlatego do pewnego momentu nienawidzili go wielkoruscy szowiniści, nacjonaści, imperialiści i narodowi komuniści, zjednoczeni w tzw. sojuszu czerwono-brunatnym pod wspólnym hasłem walki z Zachodem o odbudowę wielkiego mocarstwa. Obóz ten do dziś dominuje na skrajnie „patriotycznym” skrzydle rosyjskiej sceny politycznej i medialnej. Putina zaczął postrzegać jako „swojego” po aneksji Krymu. Gdy jednak się okazało, że dalej ekspansja nie pójdzie, „czerwono-brunatni” znowu przeszli do opozycji. Po 24 lutego 2022 r. po raz kolejny poparli Putina, by potem go krytykować za to, że nie bombarduje dywanowo Ukrainy, że traci teren, zamiast go zdobywać. „Patrioci” oczekują eskalacji. Żadnych porozumień z Kijowem, tylko podbój, „zbieranie ziem ruskich” i walka z Zachodem. A Putin musi ich czasem słuchać, bo w czasie wojny nie może sobie pozwolić na lekceważenie partii wojny i jej zdyscyplinowanego elektoratu radykałów.

Niedawno w Rosji powstał „klub rozwścieczonych patriotów” – czyli nieformalna grupa radykalnych nacjonalistów i imperialistów, niezadowolonych z przebiegu „specoperacji”. „Patrioci” opublikowali w Internecie wideomanifest, w którym tłumaczą: „Tworzymy wspólnotę patriotycznie nastawionych ludzi, którzy od wielu lat nie słowem, a czynem służą Rosji. Uznajemy prawo Rosji do odtworzenia jej historycznych granic. Ta wojna jest

Klub wściekłych Rosjan



Paweł Gubariew, Ukrainiec z Donbasu, który w 2014 r. ogłosił się „gubernatorem ludowym” Doniecka. FOT. EVGENY MALOLETKA/AP/EAST NEWS

dla nas święta. Jesteśmy rozwścieczeni tym, że idziemy od porażki do porażki” – zapewniał Paweł Gubariew. Narzekał też na rosyjskie władze, w których jest wielu „porządných ludzi”, ale to wciąż zbyt mało, by przezwyciężyć „inercję skorumpowanego systemu”. Elitę rządzącą nazwał „elitą katastrofy”. Gubariew to Ukrainiec z Donbasu, który w 2014 r. ogłosił się „gubernatorem ludowym” Doniecka. Jeden z pierwszych liderów separatystów, od lat działa w Rosji. Po 24 lutego walczył na froncie. Publicznie nazwał Ukraińców „Rosjanami opętanymi przez diabła” i zapowiedział ich eksterminację: „Będziemy was mordować, aż zrozumiecie, że musicie zostać wyleczeni”.

„Chcę żyć w wielkiej, zjednoczonej Rusi, a nie w bazie surowcowej Zachodu [...] 24 lutego przekroczyliśmy Rubikon, zaczynając wojnę o zjednoczenie naszych ziem [...] Klęska jest niedopuszczalna, bo oznacza rozpad Federacji Rosyjskiej” – mówił publicysta Maksym Kałasznikow. Zachęcał też, by „prawdziwi patrioci” nie

bali się krytykować władzę. Stwierdził, że taka krytyka jest niezbędna, bo inaczej władza „nic nie zrobi”, żeby wojnę wygrać. Podobnie jak Gubariew nie szczędził ostrych słów elicie. Ci „łapówkarze, złodzieje i szabrownicy” – przekonuje Kałasznikow – zdradzają Rosję, gdy tylko nadarzy się okazja. W oparciu o masy, niezadowolone klęskami na froncie, zdrazieckie elity doprowadzą do rewolucji, która skończy się jak w lutym 1917 r. – rozpadem państwa w interesie wroga Zachodu. „We władzy są różni ludzie. Jedni otwarcie orientują się na Zachód [...], inni są patriotami, ale mają ograniczone możliwości zmiany sytuacji” – narzekał Maksym Klimow, ekspert ds. wojskowości. Krytykował Kreml za to, że do tej pory państwo nie zostało przestawione na wojenne tory.

Władimir Grubnik, chirurg z Odessy i zdrajca Ukrainy, przekonywał ze swojej strony, że klęska w wojnie oznaczać będzie „ludobójstwo całego narodu” rosyjskiego. „Kolejnych porozumień mińskich

nasze państwo nie przeżyje” – zapewniał dramatycznym tonem. Podobnie jak pozostali wspominał o „piątej kolumnie” w szeregach elit władzy, z którą należy się rozprawić. Były parlamentarzysta Wiktor Ałksnis stwierdził zaś, że popiera inicjatywę „wściekłych patriotów”, ponieważ po 24 lutego zawsze okazywało się, że mieli rację. Podał przykład: „Przez pół roku trąbili o potrzebie mobilizacji. Wtedy mówiono, że gadają głupoty, śmiano się z nich. W końcu jednak władza mobilizację musiała ogłosić”.

DRWINY Z PUTINA

Najważniejszą postacią ruchu jest Igor Girkin, znany pod pseudonimem Striełkow. Weteran konfliktów w Nadmniestrzu, Bośni i Hercegowinie, dwóch wojen czeczeńskich. Pułkownik FSB, który rok po formalnym odejściu ze służby na czele 50-osobowego oddziału rozpoczął prorosyjską rebelię w Donbasie. Dowódca armii i minister obrony samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej. Oskarżany o zbrodnie wojenne, skazany zaocznie przez holenderski sąd na dożywocie za zestrzelenie malezyjskiego boeinga nad Donbasem. Po kilku miesiącach zmuszony do powrotu do Rosji. Jego miejsce w DRL zajęli miejscowi kolaboranci. Od tej pory niemal nieprzerwanie krytykował Putina i jego otoczenie za zaniechanie podboju Ukrainy. Rozwiązaniem wszystkich problemów Rosji jest jego zdaniem „zjednoczenie rozdzielonego narodu rosyjskiego”. Czyli podbój byłych republik sowieckich oraz byłych terenów carskiej Rosji (Polski i Finlandii w to nie wliczał). Jest monarchistą.

Inwazję na Ukrainę, rzecz jasna, poparł. Ale bardzo szybko zaczął krytykować kierownictwo polityczne i wojskowe za niepowodzenia na froncie. Z zalem przyznawał, że Ukraińcy (których uważa za śmiertelnych wrogów) walczą profesjonalnie i są lepiej dowodzeni. W rosyjskich mediach głównego nurtu jest persona non grata. Komentarze wideo na temat sytuacji na froncie nagrywa w amatorskim studiu, z flagą nieodżałowanej Noworosji (nieodszłej konfederacji separatystycznych prorosyjskich republik na Ukrainie) na ścianie. Gdy Putin po raz kolejny zalił się mediom, że Zachód przez wiele lat wodził go za nos i oszukiwał, Girkin „poradził” mu, żeby lepiej milczał: „Zamknij się,

Władimirze Władimirowiczu. I nam nie będzie wstyd, że mamy takiego prezydenta, i wróg nie będzie z nas szydzić”. Drwił też z tłumaczeń władcy Kremla, który w 2014 r. nie najechał całej Ukrainy rzekomo dlatego, że nie dysponował jeszcze bronią hipersoniczną, podczas gdy w obecnym konflikcie broń ta została użyta zaledwie kilka razy. W tym samym vlogu wyraził jednak oburzenie nakazem aresztowania dla Putina, twierdząc, że to policzek wymierzony Rosji.

Girkin i jego współpracownicy zapewniają, że klub rozwścieczonych patriotów nie zamierza walczyć z władzą, tylko w ramach prawa pomagać różnymi sposobami tym, którzy walczą na froncie. Zgodnie ze starą rosyjską zasadą „dobry car – bojarzy żli” wściekły są głównie na bliżej nieokreślone elity władzy, personalnie oszczędzając Putina (tytady Girkina to wyjątek). Deklarują sprzeciw wobec „polityki młotów, żargonu więziennego i bezprawnych wyroków śmierci”. To aluzja do metod wagnerowców. Jak wiadomo, fewgienij Prigożyn (który sam kiedyś siedział) prowadził werbunek w więzieniu. Młotem wagnerowcy zatłukli kiedyś na śmierć dezertera, a nagranie z egzekucji opublikowali w Internecie. Narzędzie zbrodni stało się wręcz symbolem wagnerowców, powodem do patriotycznej dumy. Młotem, otrzymanym od Prigożyna, chwalił się publicznie Siergiej Mironow, lider nacjonalistycznej (akceptowanej przez Kreml) partii Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę. Mironow ostatnio publicznie optuje za przywrócenie kary śmierci w Rosji, czując radykalizację nastrojów społecznych, na którą wypłynął też szef Grupy Wagnera.

KONCESJONOWANE JASTRZĘBIE

Prigożyn i Ramzan Kadyrow, podobnie jak Girkin, są jastrzębiami – w odróżnieniu jednak od niego jastrzębiami koncesjonowanymi przez władze. Dowodzących „specoperacją” generałów otwarcie krytykują zarówno w mediach państwowych, jak i w prywatnych mediach nacjonalistycznych, bezpośrednio z władzą niepowiązanych. Mowa głównie o telewizji Tsargrad.tv, należącej do prawosławnego oligarchy Konstantina Małofiejewa, który już w 2014 r. finansował separatystów w Donbasie, opłacając m.in. działalność Girkina. Otoczenie Małofiejewa to legalni „wściekli patrioci”.

Na antenie Tsargrad.tv często dochodzi do łagodnej krytyki Kremla za brak postępów na froncie czy zbyt łagodne traktowanie wroga. Zintensyfikowane jesienią ub.r. ostrzały infrastruktury krytycznej były w pewnym sensie wyjątkiem naprzeciw żądaniom „patriotów”. Małofiejew chwalił tę zmianę taktyki, ale narzekał, że wojna nie wyglądała tak od samego początku. Były ukraiński polityk Oleg Cariow w rozmowie z Tsargrad.tv stwierdził, że wycofanie się spod Kijowa było błędem, za który Rosja może zapłacić utratą Krymu.

Do stajni Małofiejewa należy również słynny filozof i geopolityk Aleksandr Dugin. Gdy armia rosyjska wycofała się z Chersonia, niezadowolony Dugin zasugerował, że w przypadku dalszych klęsk „władca” powinien ponieść odpowiedzialność, a być może nawet zapłacić własnym życiem. Bo samodziśzawie to nie tylko prawa, lecz także obowiązki. Za groźby pod adresem Putina Duginowi włos z głowy nie spadł. Ponadto geopolityk jest zafascynowany Prigożynem, a w wagnerowcach widzi nową opróczinę (gwardia przyboczna Iwana Groźnego do walki z bojarami) – zaprawioną w bojach, uwielbianą przez prostych Rosjan i gotową do rozprawy ze zdrajcami elitami. Jak widać, antyelitaryzm jest wśród rosyjskich „patriotów” powszechny. Dugin zresztą nazwał kiedyś stalinowskie czystki niezbędną dla sprawnego funkcjonowania państwa „cyrkulacją elit”.

Podobne poglądy wyznaje Aleksandr Prochanow – prawosławny stalinista, pomysłodawca ikony przedstawiającej Bogurodzicę ze Stalinem (bo zwycięstwo nad faszyzmem było „święte”). Prochanow jest redaktorem naczelnym gazety „Zawtra” – tuby propagandowej obozu „czerwono-brunatnych”. Czyli sojuszu politycznego skrajnych nacjonalistów i komunistów (głównie stalinistów), których łączy kult silnego, imperialnego państwa. Według ogłoszonej kilka lat temu teorii Prochanowa dzieje Rosji to historia pięciu imperiów. Każde z nich powinno mieć swojego Stalina – czyli wielkiego, zwycięskiego, świętego wręcz wodza. Piątym powinien być Putin. Jednak Prochanow nawet po 24 lutego nie jest jeszcze pewien, czy obecny władca Kremla zasługuje na to, by go porównać z generalissimusem...

W trakcie odbywającego się w połowie marca szczytu Organizacji Państw Turkijskich prezydent Azerbejdżanu İlham Alijew oświadczył, że „decyzja władz sowieckich, by oddzielić Zangezur, nasze historyczne ziemie, od Azerbejdżanu i przekazać je Armenii, doprowadziła do rozdzielenia świata tureckiego”, dodając, że w 1991 r. Azerowie zostali wygnani z terenu Karabachu i wschodniego Zangezuru, a Ormianie zniszczyli tam historyczne dziedzictwo Azerów.

Trudno w tak krótkiej wypowiedzi nagromadzić tak dużą liczbę kłamstw, ale propaganda Azerbejdżanu od dawna jest w tym zakresie znana z perfekcji. Jedyne, co się zgadza, to fakt, że Zangezur vel Sjunik rozdziela świat panturecki, który zdaniem turańskich imperialistów rozciąga się od Gagauzji w południowej Mołdawii do prowincji Xinjiang (znanej również jako Ujguria lub wschodni Turkistan) w Chinach. Co ciekawe, mają do niej należeć także Węgry, które nie zdoławszy przez 100 lat otrząsnąć się z traumy Trianon (utrata ziem Wielkich Węgier po pierwszej wojnie światowej), pogrążyły się w legendach o swej stepowej, przedchrześcijańskiej przeszłości i wyszło im, że są etnicznymi braćmi Turków, Uzbeków i Turkmenów, a także oczywiście Azerów. Dlatego zostali obserwatorami w Organizacji Państw Turkijskich, a Viktor Orbán potakiwał, gdy Alijew opowiadał swoje historyczne banialuki.

DŁUGA HISTORIA ORMIAN

Historyczna Armenia rozciąga się od rzeki Kura na wschodzie do Karsu, Vanu i Erzurumu na zachodzie i tak jej granice jeszcze 100 lat temu widział prezydent USA Woodrow Wilson, gdy stawiał warunki zakończenia pierwszej wojny światowej przegranej koalicji niemiecko-austro-węgiersko-tureckiej.

Historia Ormian na tych ziemiach sięga co najmniej IV w. p.n.e., gdy Sjunik oraz sąsiadujący z nim na wschodzie Arcach stanowiły dwie z 15 prowincji starożytnego królestwa Armenii. Warto dodać, że istniał wówczas również Azerbejdżan, a w zasadzie Aturpatakan, czyli perska prowincja, której nazwa oznaczała „strażników ognia”. Nigdy nie sięgała ona jednak terenów na północ od rzeki Araks, która dziś wyznacza granicę między irańską prowincją Azer-



Plan ostatecznej



Witold Repetowicz

Azerbejdżan coraz wyraźniej zgłasza pretensje do armeńskiej prowincji Sjunik, która odgrywa niezwykle ważną rolę geopolityczną. Państwo, rządzone przez despotyczną dynastię Alijewów, opiera swoje roszczenia na fałszowanej przez siebie historii, jednocześnie gromadząc sojuszników na arenie międzynarodowej i nastawiając międzynarodową opinię publiczną przeciwko Ormianom

Ormianie palący portret Putina podczas pierwszej rocznicy inwazji na Ukrainę, Erywań, 24 lutego 2023 r.

FOT. HAYK BAGHDASARYAN/PHOTOLURE/AP/EAST NEWS

Russian occupying
forces out
of Armenia

zagłady Ormian

bejdżanu a Republiką Azerbejdżanu oraz Armenią. Nazwa Zangezur jest późniejsza i odnosiła się początkowo do jednej z części Sjuniku, przy czym jej etymologia jest również ormiańska.

Podobnie jest zresztą z Nachiczewanem, rzekomo sztucznie oddzielnym od Azerbejdżanu przez Sowietów w 1920 r. Końcówka „-awan” jest charakterystyczna dla jednostek terytorialnych Armenii i po prostu oznacza „ziemię”. Jednym z ważniejszych miast tego rejonu jest Dżolf, której armeńskie dziedzictwo przetrwało

wyłącznie niemal tysiąc kilometrów na południe, w irańskim Isfahanie. Jest tam bowiem armeńska dzielnica Nowa Dżolf, założona przez Ormian przesiedlonych z Nachiczewana przez perskiego szacha Abbasa Wielkiego na początku XVII w. Znajduje się tam m.in. przepiękna i bardzo dobrze utrzymana katedra ormiańska z XVII w., z cudownymi freskami ozdabiającymi jej wnętrze. Na szczęście w Islamskiej Republice Iranu, w przeciwieństwie do kandydującej do Unii Europejskiej Turcji i znajdujących się tam dawnych bizantyj-

skich kościołów z konstantynopolitańską Hagią Sophią na czele, nikt nie wpadł na pomysł, by zasłaniać chrześcijańskie malowidła i zmieniać kościół na meczet.

W samej Dżolfie, podobnie jak w całym Nachiczewanie, Azerowie zatarli w okresie sowieckim wszelkie ślady po Ormianach, niszcząc kościoły i burząc tradycyjne ormiańskie chaczmary, czyli kamienne płyty krzyżowe. Tylko na cmentarzu w Dżolfie jeszcze w XIX w. było 10 tys. chaczmarów, a lokalny badacz Argam Ajvazian udokumentował w latach 1964–1987 zniszczenie 5840 chaczmarów, 22 tys. nagrobków oraz 89 armeńskich kościołów. Niektórzy określają to jako największe kulturowe ludobójstwo w dziejach świata, które oczywiście odbywało się przy cichej akceptacji sowieckiej Moskwy, w której ojciec dzisiejszego dyktatora Azerbejdżanu Hajdar Alijew urzędował w latach 1982–1987 jako wicepremier ZSRS. Warto dodać, że według spisu z początku XX w. Ormianie wciąż stanowili 40 proc. mieszkańców Nachiczewanu. Dziś nie ma tam ich w ogóle.

W Średniowieczu królestwo Armenii miało swoją stolicę w Ani – miejscowości, która dziś znajduje się na granicy turecko-armeńskiej. Dla Ormian jest to perła ich dziedzictwa kulturowego, dla Turcji – miejsce bez żadnej wartości. Nikt tam nie mieszka, a choć od 2016 r. ruiny Ani są na liście UNESCO, to turystów przyjeżdża tam niewielu. Gdy w 1921 r. Sowietci uzgadniali z Turkami granicę, Ormianie starali się o to, by Ani znalazło się w Armeńskiej SRR, ale Turcy się na to nie zgodzili z czystej złośliwości, a Lenina i Stalina bardziej obchodziła komitywa z Ataturkiem niż jakieś dziedzictwo narodowe. Po pierwszej wojnie światowej zakładana przez Ataturka Republika Turecka oraz Sowiecka Rosja miały wspólnego wroga: Zachód. Szybko zatem powstał sojusz, a Sowietci postanowili oddać Turcji całą zachodnią Armenię, w tym Kars, zdobyty przez Rosjan w 1877 r. w wyniku wojny z imperium osmańskim, a nawet Igdir, który (jeśli nie liczyć krótkich okupacji) nigdy do Turcji nie należał, a zdobyty został przez Rosjan w wojnie z Persją na początku XIX w. Sowietci, których teraz Alijew oskarża o „rozdzielenie świata tureckiego”, byli zatem bardzo hojni w swych darach dla tego świata. Uzgodnili bowiem z Turkami, że zarówno Nachiczewan, Sjunik, jak

■ i Arcach (znany lepiej pod nazwą Górski Karabach) zostaną przyłączone do Azerbejdżańskiej SRR.

Plan się nie powiódł, bo wybuchło powstanie Ormian pod wodzą gen. Garegina Nyzdeha, który proklamował tam Republikę Górskiej Armenii i stawiał zaciętki opór Armii Czerwonej. Ogromne straty, ponoszone przez Sowietów mimo gigantycznej przewagi liczebnej, spowodowały, że zawarty został kompromis polegający na pozostawieniu Sjunika w Armeńskiej SRR. Nyzdeh wycofał się do Iranu, ale ostatecznie Sowietci go dopadli i zamordowali w więzieniu w 1955 r. Gdy w 2016 r. w Erywaniu stanął jego pomnik, Moskwa wyła z oburzenia.

Alijew oczywiście nieprzypadkowo postanowił przypisać „rozdzielenie świata tureckiego” Sowietom. Wpisuje się to w jego grę polegającą na stwarzaniu wrażenia, jakoby był sojusznikiem Zachodu przeciwko Rosji, a Armenia była jej wiernym wasalem. Oczywiście to również nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, ale proazerbejdżańscy lobbyści wspierani przez azerskich dyplomatów mają sporo sukcesów w kreowaniu takiego obrazu. Dotyczy to również Polski, w której ambasador Nargiz Gurbanowa jest niezwykle aktywna w urabianiu dziennikarzy i polityków. Groteskowo wygląda ten kontakt z kręgami polskiej prawicy, zważywszy na bogaty dorobek dynastii Alijewów w niszczeniu krzyży, a także to, iż Hajdar Alijew zaczynał swoją karierę jako funkcjonariusz NKWD. Dziś straszy w Gnieźnie na pomniku przyjaźni polsko-azerbejdżańskiej, gdzie jego podobizna umieszczona jest obok Jana Pawła II. Gurbanowa potrafiła też powoływać się na opisy Baku w „Przedwiośniu” Żeromskiego jako dowód bliskich relacji między Polską i Azerbejdżanem, choć w książce tej chodzi o masakry Ormian w tym mieście w 1918 r., których świadkiem był młody Cezary Baryka.

Faktem jest natomiast to, że pierwszego dnia wojny na Ukrainie Alijew podpisał na Kremlu umowę o sojuszu z Rosją, a Azerbejdżan nigdy nie zagłosował w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ przeciwko Rosji. Sukcesem propagandowym była też sprawa dostaw gazu azerskiego do Europy, w miejsce gazu rosyjskiego. Tyle że w listopadzie 2022 r. wyszło na jaw, że w celu zapewnienia tych dostaw Azerbejdżan podpisał umowę na kupno 1 mld m sześć. gazu ziemnego od... rosyjskiego Gazpromu.

Tymczasem w Armenii od dawna narażają nastroje antyrosyjskie, bo Ormianie widzą, że Rosja ich oszukuje, prowadząc konszachty z Azerbejdżanem. Armenia nie może jednak otwarcie wystąpić przeciwko Rosji, gdyż następnego dnia Azerbejdżan by ją najechał, a z Moskwy wjechałaby do Erywanu zrusyfikowana diaspora ormiańska w celu przeprowadzenia przewrotu. Armenia rozpaczliwie szuka więc gwarancji bezpieczeństwa, zwłaszcza że po inwazji rosyjskiej na Ukrainę siłowe zmiany międzynarodowo uznanych granic nie są już bezprecedensowe.

NA KOGO MOŻE LICZYĆ ARMENIA?

Spór między Armenią a Azerbejdżanem od dawna nie dotyczy już Górskiego Karabachu, który od 2020 r. jest de facto okupowany przez Rosję. Dotyczy natomiast Sjunika, przez który Azerbejdżan chce przeprowadzić korytarz eksterytorialny łączący go z Turcją i Nachiczewanem. Jednocześnie krok po kroku stara się przesunąć na zachód granicę ze Sjunikiem, korzystając z faktu, że nie doszło nigdy do jej delimitacji. Armenia wie, że nie może liczyć na to, iż w razie inwazji Azerbejdżanu Rosja jej pomoże. Tym bardziej nie może liczyć na Organizację Układu Bezpieczeństwa Zbiorowego (rosyjski odpowiednik NATO), bo dwóch jej „sojuszników” – Kazachstan i Kirgizja – jest też członkami Organizacji Państw Turkijskich i prędzej poprą Azerbejdżan. Alijew zabiega o to wsparcie, roztaczając wizję zjednoczonego świata turańskiego, a jednocześnie próbuje zneutralizować zachodnią opinię publiczną sugestiami, że uderzenie na Sjunik rozbije OUBZ, a więc będzie ciosem w Rosję.

Pod rządami Bidena USA są jednak odporne na taką propagandę, niemniej otwarte jest pytanie, czy pomogą Armenii militarnie w razie takiego ataku. Zwłaszcza że Alijew gra jeszcze kilkoma innymi kartami i wsparcie ze strony Turcji, bądź co bądź członka NATO, jest w tym kontekście ważne, ale nie najistotniejsze. Nie jest bowiem tajemnicą ścisły sojusz Azerbejdżanu z Izraelem, dzięki któremu ten ostatni ma bazy wywiadowcze w sąsiedztwie swego arcywroga – Iranu. Niedawno, po ataku uzbrojonego napastnika na azerbejdżańską ambasadę w Teheranie, Azerbejdżan ewakuował całą placówkę, obniżając rangę i tak już bardzo złych stosunków dwustronnych.

Problem w relacjach Azerbejdżanu i Iranu związany jest z czymś, co określa się geopolityką nazw. Do początków XX w. mieszkańców terenów dzisiejszego Azerbejdżanu nazywano Tatarami kaukaskimi. Byli oni potomkami osadników kierowanych tam przez szachów perskich, by jako szyici strzegli tych terenów przed inwazjami sunnickich Osmanów. Ale na początku XX w. podział szyicko-sunnicki został przyćmiony przez nowe ideologie nacjonalistyczne, w tym przez panturkizm. Turcy wymyślili więc nowy Azerbejdżan, by mieć podstawy do zgłaszania pretensji terytorialnych do irańskich prowincji Azerbejdżanu. Sowietci to zręcznie podchwycili, a w czasie drugiej wojny światowej okupowali irański Azerbejdżan, tworząc w latach 1945–1946 na jego terenie marionetkową Republikę Autonomiczną. Nie zdecydowali się jednak na „zjednoczenie” Azerbejdżanu. Problem w tym, że ostatnio Alijew coraz częściej do tego nawiązuje.

Ponadto relacje irańsko-armeńskie – czasem trudne, czasem pozytywne – sięgają starożytności. Wystarczy zatem spojrzeć na mapę, by zrozumieć, że dla obu państw – Armenii i Iranu – wspólna granica jest kwestią fundamentalną. Pozbawienie jej oznacza dla Iranu osaczenie przez żywioł turecki i opanowanie przez niego szlaków łączących Iran z Rosją i Europą. Dla Armenii to kompletna katastrofa i zagrożenie całkowitą blokadą. Kolejnym krokiem mogłaby być zresztą likwidacja państwa armeńskiego, gdyż Alijew od czasu do czasu wspomina też o „chana-cie Irewania”, który istniał przez 80 lat na przełomie XVIII i XIX w., a w Turcji działał „emigracyjny rząd Azerbejdżanu Zachodniego”, którego stolicą jest jakoby... Erywań. Trzem milionom Ormian, którzy zostali w swej ojczyźnie po tych wszystkich ludobójstwach i rzeziach, pozostanie udać się na emigrację. Gdyby wybrali Polskę, to dla nas nie byłaby to najgorsza opcja, zważywszy na nasze historyczne doświadczenia z tym narodem. Ale po prostu szkoda Ormian i ich dziedzictwa, bo nie zostanie po nim kamień na kamieniu. Chodzą jednak słuchy, że Iran udzielił Armenii gwarancji bezpieczeństwa. To jednak rodzi pytanie, co zrobią Turcja i Izrael, jeśli Iran wesprze Armenię w przypadku ataku Azerbejdżanu na Sjunik. Najwyraźniej Alijew to właśnie testuje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nonkonformista



FOT. SEBASTIEN BOZON/AFEP/EAST NEWS



Tomasz Rowiński

Książka „Tylko prawda. Moje życie u boku Benedykta XVI” to duchowy i intelektualny portret człowieka, który był jedną z najwybitniejszych postaci katolickiego świata w naszych czasach

Zgadzam się z opinią wyrażoną przez Pawła Milcarka, redaktora naczelnego pisma „Christianitas”, który o książce abp. Georga Gänsweina, powstałej przy współpracy z włoskim dziennikarzem Saverio Gaetą, napisał, że „jest to bowiem nie tylko wspomnienie Zmarłego, lecz także – chce ktoś czy nie – obecny w tym wspomnieniu dyskretny komentarz do obecnego pontyfikatu, zwłaszcza niektórych jego aspektów”. Nie da się ukryć.

Książka zręcznie balansuje pomiędzy narracją osobistą, którą tworzą wspomnienia papieskiego sekretarza, a bardzo solidnym i spójnym przypomnieniem dorobku Ratzingera. Ten zaś powstawał na przestrzeni dziesięcioleci, ponieważ Ratzinger tworzył zarówno jako profesor teologii, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, jak i potem jako papież i papież emeryt. Zresztą te dwie perspektywy – osobista i intelektualna – nie tylko dają równowagę książce, lecz także – ponieważ się przenikają

– pozwalają czytelnikowi na głębszy wgląd w całokształt postaci bawarskiego duchownego.

Z KOGO CZERPAŁ JAN PAWEŁ II

Dla polskiego czytelnika z pewnością szczególnie ciekawe będą te rozdziały książki, które pokazują nie tylko jak bliska była przyjacielska relacja Jana Pawła II i jego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, lecz także jak bardzo intelektualnie dorobek polskiego papieża jest zależny od pracy, którą włożył w niego kard. Ratzinger. Dotyczyło to po kolei najważniejszych dokumentów pontyfikatu Jana Pawła II: nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego, monumentalnego Katechizmu Kościoła katolickiego, kluczowych encyklik jak „Veritatis splendor” – o etyce i moralności, „Evangelium vitae” – o godności ludzkiego życia, „Fides et ratio” – o relacji wiary i rozumu, a szerzej o ludzkiej racjonalności. Wreszcie to Joseph Ratzinger z inicjatywy Jana Pawła II przygotował na Jubileusz Roku 2000 budzącą wielkie emocje deklarację „Dominus Iesus”, będącą zdecydowanym wystąpieniem Stolicy Apostolskiej przeciwko relatywizmowi religijnemu.

Dziś, gdy jednym ze znaków firmowych pontyfikatu papieża Franciszka jest deklaracja z Abu Zabi, w której możemy przeczytać, że inne religie niż wiara katolicka są pożądane – a nie tylko dopuszczone – przez Boga, samo przypomnienie przez Gänsweina zasad zawartych w „Dominus Iesus” ma wymiar polemiczny. „W ożywionej dyskusji, jaka toczy się dzisiaj wokół relacji pomiędzy chrześcijaństwem a innymi religiami, coraz wyraźniej dochodzi do głosu pogląd, jakoby wszystkie religie były dla swoich wyznawców równie wartościowymi drogami zbawienia. [...] Najważniejszą konsekwencją takiego sposobu myślenia i odczuwania w odniesieniu do centralnych treści oraz istoty wiary chrześcijańskiej jest niezgoda na utożsamienie konkretnej postaci historycznej, jaką jest Jezus z Nazaretu, z rzeczywistością samego Boga, Boga

żywego. [...] Przekonanie, że w dziejach istnieje prawda uniwersalna, wiążąca i ważna, dopełniona w postaci Jezusa Chrystusa i przekazywana przez wiarę Kościoła, uchodzi za coś na kształt fundamentalizmu, który rzekomo stanowi zamach na ducha naszych czasów i zagraża tolerancji i wolności” – wyjaśniał Ratzinger, tłumacząc potrzebę stojącą za powstaniem „Dominus Iesus”.

I tak jest rzeczywiście w wielu miejscach książki abp. Gänsweina – cytaty z książek i wystąpień, słowa przywołane z pamięci sekretarza Benedykta XVI czy też postawa samego papieża brzmią i wyglądają niczym wyrzut wobec światowego konformizmu, który zapanował w Kościele w czasach pontyfikatu papieża z Argentyny. Zresztą to właśnie gotowość Josepha Ratzingera do nonkonformizmu jest tym, co przebija się nieustannie ponad powierzchnię narracji. Bawarczyk zdaje się

w książce Gänsweina przypominać kota – sam był przecież miłośnikiem kotów – woli iść swoją drogą, nie przyjmując żadnej odpowiedzialności bezrefleksyjnie, nie idąc w żadnej sprawie po prostu za większością czy za autorytetem.

KOCIE KROKI

Posługa Ratzingera pełna jest kocich kroków. W roku 1975 odmówił on Pawłowi VI wygłoszenia rekolekcji w Watykanie, zastaniając się słabą znajomością francuskiego i włoskiego. W 1977 r. szukał wymówek, by odmówić przyjęcia nominacji na arcybiskupa Monachium, co wiązało się z porzuceniem pracy akademickiej. W roku 1979 odmówił Janowi Pawłowi II, gdy ten zaproponował mu objęcie funkcji prefekta Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej. W roku 1981 ponownie chciał odmówić papieżowi z Polski, gdy ten poprosił go, by został prefektem Kongregacji Nauki Wiary. Ratzinger odpowiedział fortelem, mówiąc papieżowi Wojtyłe, że może przyjąć tę propozycję, jeśli nadal będzie mógł tworzyć dzieła teologiczne pod własnym nazwiskiem. Jak wiadomo, Jan Paweł II był na tyle zdeterminowany, że – jak

pisze Gänswein – „poprosił swoich współpracowników o sprawdzenie, czy coś takiego byłoby możliwe”. Okazało się, że tak. Dopiero wtedy Ratzinger uległ.

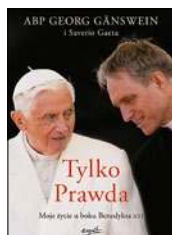
Sprawy podobnie toczyły się jednak i później. Gdy Ratzinger był prefektem Kongregacji, sprzeciwiał się papieżowi w sprawie jego idei spotkania międzyreligijnego w Asyżu, które odbyło się w roku 1986. Mimo że w roku 2002, podczas przygotowań do drugiego spotkania asyjskiego, Jan Paweł II uznał słuszność wielu zastrzeżeń prefekta co do wcześniejszej formuły tego wydarzenia i zreformował jego kształt, Ratzinger w dalszym ciągu odmawiał swojego w nim udziału. Uważał, że namiestnik Chrystusa nie powinien firmować synkretyzmu religijnego. Ostatecznie uległ namowom Jana Pawła II, ale, jak zauważa abp Gänswein, „w ostatniej chwili”.

PRZECIW SODANO

To Ratzinger w latach 90. przeciwstawił się potężnemu sekretarzowi stanu Stolicy Apostolskiej Angelo Sodano, który był gotowy ze względów politycznych zaakceptować, by katolickie poradnie w Niemczech wydawały zaświadczenia będące jednym z dokumentów koniecznych do dokonania aborcji. „Praktyka tego rodzaju [wydawanie zaświadczeń o konsultacjach – przyp. red.] okazała się bronią obosieczną, bo choć w zamierzeniu miała sprzyjać dialogowi i skłaniać ciężarne do przemyśleń (finansowe wsparcie ze strony państwa umożliwiałoby poradniom prowadzenie działań na rzecz ochrony życia), to w gruncie rzeczy zezwalała na aborcję do dwunastego tygodnia ciąży” – relacjonuje sprawę Gänswein.

Spór trwał aż do roku 1998. Ratzinger nie ustąpił i ostatecznie Jan Paweł II przychylił się do jego stanowiska.

Uśmiech na twarzy musi wywoływać lektura tych fragmentów książki, które opisują swoistą antykampanię wyborczą kard. Ratzingera przed konklawe w roku 2005. „Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że Ratzinger nie miał zamiaru brać udziału w »wyścigu o pontyfikat«, to z całą pewnością rozwiąłaby je homilia, jaką rankiem 18 kwietnia kardynał wygłosił podczas Mszy Świętej [...] w intencji wyboru rzymskiego papieża [...]”. Nieugiętość wyrażonych wówczas



ABP GEORG GÄNSWEIN, SAVERIO GAETA
„TYLKO PRAWDA. MOJE ŻYCIE U BOKU BENEDIKTA XVI”
ESPRESSO 2013

przekonań i śmiało przywoływanie własnych sztandarowych postulatów dały mu pewność, że znaczna część kardynałów opowie się przeciwko elekcji". Jednak i tu nie przemógł woli Bożej i pomimo oporu został następcą Piotra.

W czasie pontyfikatu przykładów nonkonformizmu także było wiele, nie mówiąc o samej abdykacji. Trzeba wspomnieć o wieloletniej pracy Josepha Ratzingera na rzecz przywrócenia w Kościele katolickim wolności odprawiania tradycyjnej liturgii rzymskiej, która przez wiele set lat była centrum katolickiego życia duchowego, a po Soborze Watykańskim II została bezprawnie zakazana. Ta ratzingerowska „krucjata”, której ukoronowaniem stało się opublikowane w roku 2007 motu proprio „Summorum Pontificum” liberalizujące dostęp kapłanom i wiernym do dawnego rytu mszy, pozostawała niezrozumiała nawet dla jego bliskich współpracowników. Jednocześnie jednak stała się ona impulsem do niezwykłego ożywienia życia religijnego wielu katolików, którzy zrozumieli, że po ostatnim Soborze próbowano wierzącym

odebrać najbardziej życiodajne duchowo tradycje.

Sprawie tej abp Gänswein poświęcił pewną część swojej książki, co wywołało poruszenie, a nawet w pewnych kręgach oburzenie. Jak wiadomo,

W czasie pontyfikatu Benedykta XVI nonkonformizmu było wiele, nie mówiąc o samej abdykacji

papież Franciszek w motu proprio „Traditionis custodes” z roku 2021 cofnął w znacznej mierze postanowienia zawarte w „Summorum Pontificum”. Zapowiedział w tym dokumencie także docelowe wygaszenie dawnego rytu rzymskiego w Kościele. Według relacji Gänsweina Benedykt miał krytycznie wypowiedzieć się na temat tych decyzji, mimo że zazwyczaj „smucił” się z powodu podsycanego przez

media kontrastowania jego postaci i postaci Franciszka. „Benedykt uznał za błąd szczególnie zakaz odprawiania mszy w dawnym rycie w kościołach parafialnych, gdyż niebezpieczne jest izolowanie jakiejkolwiek grupy wiernych; może to wzbudzić przekonanie, że są prześladowani i muszą za wszelką cenę strzec własnej tożsamości wobec »wroga«” – napisał Gänswein. Cały ten rozdział jest szczególnie godny uważnej lektury, ponieważ dobrze pokazuje, że ci, którzy z papieża Franciszka zrobili swojego idola, nie potrafią znieść nawet najdrobniejszej krytyki jego poczynąń. Tymczasem ton Gänsweina jest w tej sprawie i w innych spokojny i rzeczowy.

Co szczególnego przekazuje nam książka sekretarza Benedykta XVI? Na pewno to, że w życiu i dorobku Josepha Ratzingera zawarte jest niezwykle pocucie na temat konieczności łączenia nonkonformizm z uległością wobec woli Boga. Książka „Tylko prawda” da każdemu czytelnikowi wiele wskazówek, jak należyć to robić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Książka

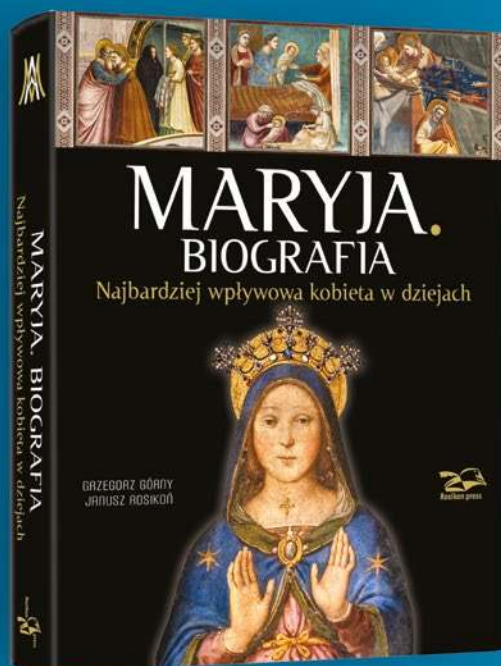
Grzegorza Górnego
i Janusza Rosikonia

*to pierwsza tak obszerna,
dobrze udokumentowana
i bogato ilustrowana opowieść*

*o ziemskim życiu
Matki Bożej.*



WWW.ROSIKONPRESS.COM



Sekrety ceny gazu



PC

Polskie Górnictwo
i Gazownictwo

Oddział w C



Jakub Wozinski

Na europejskich rynkach cena gazu spadła do poziomu sprzed niemal dwóch lat. Mimo to Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) obniżało taryfy w dość niemrawym tempie. Państwowy monopolista kolejny raz testuje cierpliwość Polaków

Dokładnie 27 kwietnia 2022 r. Polska na dobre rozstała się z gazem sprowadzanym z Rosji, a podstawowym wyznacznikiem cen płaconych przez odbiorców końcowych stały się notowania błękitnego paliwa na zachodnioeuropejskich giełdach. Tam z kolei już od drugiej połowy 2021 r. nakręcała się panika związana z ograniczaniem przez Rosję eksportu surowca dla całego kontynentu. Gazprom celowo przestał zapełniać magazyny gazu, fałszywie zasłaniając się trudnościami technicznymi. Prawdziwy popłoch zapanował jednak oczywiście dopiero po rozpoczęciu rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie, a w sierpniu ubiegłego

roku cena 1 MWh gazu w największym europejskim hubie gazowym w Amsterdamie przebiła nawet poziom 300 euro.

MROŻENIE CEN I SZYBKA ODWILŻ

W reakcji na to w listopadzie 2022 r. rząd przyjął ustawę zamrażającą na cały obecny rok ceny gazu dla gospodarstw domowych na poziomie z 2022 r. (200 zł za MWh), co z ówczesnej perspektywy mogło się przedstawiać wręcz jako wybawienie. Różnicę między faktyczną ceną kupowanego gazu a kosztem ponoszonym przed odbiorców miało pokryć państwo (czyli w praktyce wszyscy podatnicy) z funkcjonującego już wcześniej



źródeł, publiczny dostawca nie nosi się jednak na razie z zamiarem odstąpienia od korzystnego dla niego rozwiązania.

Przedstawiciele rządu oraz Urzędu Regulacji Energetyki starają się stworzyć wrażenie, że sytuacja na rynku gazu daleka jest jeszcze od stabilizacji, i przestrzegają przed zbyt pociągającymi ruchami. Po czterech miesiącach systematycznych spadków wyciągnięcie pewnych wniosków wydaje się zresztą uprawnione. Na dodatek ryzyko, że za jakiś czas ceny znów wzrosną do poziomów z lat 2021–2022, jest naprawdę stosunkowo małe, ponieważ Europa zdążyła się już przestawić na zupełnie nowe kierunki dostaw. Gaz w formie ciekłej płynie dziś szerokim strumieniem m.in. z USA i Kataru, odpowiadając za 40 proc. wszystkich dostaw (w 2021 r. tylko 22 proc.). Rosja nie jest już w stanie zastosować surowcowego szantażu na tak wielką skalę, a Europa zdołała już poczynić odpowiednie przygotowania na kolejną zimę, m.in. poprzez rozbudowę magazynów i budowę nowych gazoportów.

Zamrażając ceny jesienią, rząd szacował koszt tego rozwiązania na 30 mld zł. Tak wielkiej sumy na szczęście nie trzeba będzie wydać. Z upływem każdego dnia coraz bardziej prawdopodobne wydaje się jednak to, że realnie największe wsparcie finansowe otrzymają nie tyle obywatele, ile państwowy monopolista. Choć prawdą jest, że PGNiG dokonuje części zakupów w kontraktach długoterminowych, to nie zmienia to wciąż faktu, że coraz większą część ze sprzedawanego Polakom gazu nabywał w ostatnich tygodniach już po dużo niższych cenach. Ceny gazu w kontraktach są bowiem na ogół indeksowane do aktualnych poziomów. Nawet jeśli znaczna część błękitnego paliwa na 2023 r. została nabyta w czasie, gdy panowała drożyzna, od dłuższego czasu warunki cenowe uległy już diametralnej zmianie.

PRZEDSIĘBIORCY BEZ TARYFY ULGOWEJ

Bodajże najbardziej poszkodowanymi przez wysokie ceny surowca i politykę państwa były w ostatnim czasie małe i średnie przedsiębiorstwa. Najpierw nie zostały objęte rządowym programem zamrożenia cen na poziomie 200 zł za MWh (taką propozycję zgłaszała opozycja), a następnie PGNiG zaproponowało im w styczniu możliwość zamrożenia ceny na poziomie

525 zł/MWh, choć już wtedy cena na giełdach była nawet 100–150 zł niższa. Gdy wreszcie w kolejnych miesiącach doszło do jeszcze większych spadków na giełdach, PGNiG wykazało się opieszałością przy wprowadzaniu obniżek taryf. Na pierwszą obniżkę zdecydowało się w połowie marca (z 793 na 353 zł/MWh), a kolejna ma wejść w życie od 1 maja (nowa cena została ustalona na 301,72 zł/MWh). Specjalną stawką w wysokości 200,17 zł za MWh objęci zostaną natomiast właściciele piekarni i cukierni, co ma przyczynić się do znaczącej obniżki cen żywności. Wciąż jednak cena, którą płaci sektor małych i średnich przedsiębiorstw, jest w chwili, gdy powstaje ten tekst, wyższa o nawet 20 proc. niż ta obowiązująca na giełdach.

Horrendalnie wysokie ceny gazu w ostatnich miesiącach wydają się powoli odchodzić do przeszłości, niemniej

Wygląda na to, że realnie największe wsparcie finansowe otrzymają nie tyle obywatele, ile państwowy monopolista

jednak wiele rodzimych firm przypłaciło je w ostatnich miesiącach swoim bankructwem. Zauważalny ich wzrost miał miejsce szczególnie na przełomie roku. Wiadomo także, że to właśnie wysokie ceny gazu i energii elektrycznej były jedną z głównych przyczyn, dla których przedsiębiorcy podnosili ceny swoich usług i produktów, jeszcze bardziej podkręcając inflację. Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że państwo i należący do niego gigant energetyczny nie uczynili jednak wszystkiego, aby jak najszybciej przyjąć ulżyć całemu sektorowi.

INDEKSACJA JEDNAK MOŻLIWA

PGNiG uprawiało w ostatnich miesiącach bardzo kontrowersyjną politykę cenową względem Polaków. Najlepiej świadczy o tym niedawna decyzja zarządu firmy, aby na cenę obowiązującą od 1 kwietnia składał się element indeksowany do giełdy, stanowiący średnią arytmetyczną z kursów rozliczeniowych kontraktów miesięcznych notowanych na rynku terminowym towarowym Towa-

Funduszu Wypłaty Różnicy Cen. Jak na ironię losu, od tego momentu ceny zaczęły jednak systematycznie zjechać w dół. Już w lutym za 1 MWh na giełdzie płacono się mniej niż 50 euro i od tego czasu ceny nie wspięły się już na dawny wysoki poziom.

Jak nietrudno zauważyć, mechanizm wypłacania PGNiG finansowej rekompensaty dość szybko stracił swój pierwotny sens. Potrzeba udzielenia obywatelom finansowego wsparcia osłabła, lecz państwowy monopolista nadal może korzystać z finansowanego przez podatników mechanizmu rekompensaty. Opierając się jednak na dość zawiłym mechanizmie kontraktowania surowca z wielu różnych

rowej Giełdy Energii. Samo wprowadzenie tego komponentu pokazuje dobitnie, że PGNiG nie jest wcale tak bardzo związany kontraktami długoterminowymi i może na bieżąco modyfikować ceny dla swoich odbiorców. Jeśli uwzględnić ten fakt i skonfrontować go z niespiesznymi obniżkami cen gazu w ostatnich miesiącach, to nie stawia to niestety koncernu w zbyt pozytywnym świetle. Tym bardziej że wiadomo przecież, iż PGNiG dysponuje także własnymi złożami, umożliwiającymi pozyskiwanie dużo tańszego surowca.

Zdecydowanie najlepszym rozwiązaniem w obecnej sytuacji byłoby uwolnienie cen gazu dla odbiorców indywidualnych i rezygnacja z modelu wypłacania państwowemu monopoliście finansowej rekompensaty. Ceny byłyby niestety wyższe niż obecnie, gdyż gaz sprowadzany z USA, Norwegii czy innych krajów nie jest już tak tani jak ten z Rosji. Lepiej dla wszystkich stałoby się jednak, gdyby mechanizm uzyskiwania przez PGNiG finansowej rekompensaty był bardziej przejrzysty i niepozostawiający żadnej przestrzeni do podejrzeń o nadużycia. O uniknięcie tychże trudno zaś w momencie, gdy giełdowa cena gazu okresowo spada poniżej ceny płaconej przez odbiorców. W roku wyborczym zlikwidowanie cenowej zamrażarki może być jednak praktycznie niewykonalne.

Potrzebę likwidacji nadzwyczajnych rozwiązań dostrzegają jednak nawet sami rządzący. Minister finansów Magdalena Rzeczkowska zasugerowała niedawno, że za jakiś czas będzie można pomyśleć o wycofaniu lub przynajmniej przemodelowaniu obecnych instrumentów osłonowych. Jak jednak można było odczytać z jej wypowiedzi, nikomu w rządzie ze zniesieniem cenowej zamrażarki zanadto się nie spieszy. Od początku wiadomo bowiem, że istniejące rozwiązanie funkcjonuje bez jakiegokolwiek kryterium dochodowego i ma nieco populistyczny charakter. Gdy w listopadzie ubiegłego roku toczyły się dyskusje nad zamrożeniem cen na 2023 r., pojawiły się propozycje, aby nie staszać publiczny groszem w czasie galopującej inflacji, lecz rząd wybrać najbardziej rozsądne ze wszystkich rozwiązanie.

PRZESYPYWANIE PUBLICZNYCH PIENIĘDZY

Jak informowały władze spółki, w całym ubiegłym roku PGNiG

Najlepszym rozwiązaniem w obecnej sytuacji byłoby uwolnienie cen gazu dla odbiorców indywidualnych

otrzymało łącznie ok. 10 mld zł z tytułu rekompensaty z Funduszu Wypłaty Różnicy Cen. Istnieje szansa, że w obecnym roku będzie to mniejsza kwota. Uwagę zwraca natomiast to, że wspomniany fundusz był do tej pory zasilany z dwóch źródeł: Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 oraz zyskom z aukcji sprzedaży uprawnień do emisji CO₂ (EU ETS). Rozkładając wszystko na czynniki pierwsze, uzyskujemy więc zadziwiający mechanizm, w ramach którego narzut w postaci pozwoleń na emisję w całkowicie sztuczny sposób winduje ceny energii, a gdy te stają się nie do udźwignięcia, dla wielu konsumentów państwo bohaterstwo przychodzi z odsieczą, aby rozdać pieniądze, które wcześniej zabrało im w ramach systemu EU ETS.

KONCERN POD OCHRONĄ

Mimo że mrożenie cen gazu dla odbiorców indywidualnych zostało dofinansowane z pieniędzy podatników, Unia Europejska naciska wciąż na to, aby w Polsce wprowadzony został wzorem innych państw tzw. podatek solidarnościowy (od nadmiarowych zysków). Pomimo nieustannych nacisków ze strony Brukseli rząd wciąż ociaga się z wdrożeniem tego rozwiązania. Przeciwno takiemu rozwiązaniu ostro występuje także szefostwo PGNiG, przekonując, że firma ponosi z tytułu zamrożenia cen gazu znaczne koszty, a zapłacenie daniny solidarnościowej znacząco wpłynie na realizację wielomiliardowych inwestycji koncernu.

Nieugięta postawa Komisji Europejskiej w kwestii podatku od nadmiarowych zysków jest przy tym rzeczywiście niezrozumiała, ponieważ jego ewentualne wdrożenie wprowadzałoby mechanizm, który tak naprawdę już istnieje. Nadmiarowe zyski z daniny solidarnościowej mają być przeznaczane na dopłaty do rachunków dla odbiorców indywidualnych, a przecież te są już wypłacane poprzez mecha-

nizm zamrożenia cen gazu. Zachowanie Brukseli trudno interpretować inaczej niż jako pozbawione dobrej woli działanie na szkodę polskiego dostawcy gazu.

Część przedsiębiorców w reakcji na politykę cenową PGNiG w ostatnich miesiącach złożyła nawet oficjalną skargę w Komisji Europejskiej, lecz nie została ona jeszcze rozpatrzona. Teoretycznie w takiej sytuacji całą sprawę w swoje ręce powinien wziąć UOKiK, lecz uznał, że ceny były wyznaczane rynkowo. Wydaje się jednak, że publiczny regulator rynku zbyt pochopnie umył ręce, nie chcąc najwidoczniej wchodzić w paradę spółce wchodzącej w skład energetycznego megakoncernu, któremu powierzono realizację tak istotnych z politycznego punktu widzenia zadań (by wspomnieć tylko wielomiliardowe inwestycje w farmy wiatrowe czy też małe reaktory jądrowe).

Wedle oficjalnych komunikatów nasz narodowy energetyczny megakoncern ponosił już 14 mld zł kosztów w związku z zamrożeniem cen gazu. W ostatnim raporcie finansowym przed przejęciem PGNiG wykazało jednak, że w pierwszym półroczu 2022 r. spółka wykazała 4,8 mld zł zysku netto. Wyodrębnienie dokładnej kwoty zysków, za którą w Grupie Orlen odpowiada wchłonięty przez nią narodowy operator gazowy, jest dziś już niemożliwe, jednakże już po dokonanej fuzji zyski koncernu wzrosły w czwartym kwartale do 8,1 mld zł (przy 21 mld zł w całym 2022 r.). Wchłonięcie PGNiG ewidentnie zrobiło dużą różnicę – nawet pomimo faktu, że Polacy zużyli w ubiegłym roku nawet 16–17 proc. mniej gazu niż rok wcześniej.

Nasz energetyczny megakoncern zdjął z rządu bezpośrednią odpowiedzialność za projekty w znacznej mierze polityczne, a nie biznesowe, opierając finansowanie swojej działalności na zwykłej biznesowej działalności. W razie pogorszenia gospodarczej koniunktury i ewentualnych kłopotów finansowych wszystkie części składowe energetycznej grupy nie będą miały jednak do dyspozycji podatków, lecz co najwyżej pozycję monopolisty oraz pokusę, aby z niej skorzystać. Ostatnie miesiące wyraźnie zachwiały przekonaniem sporej części Polaków, że w kryzysowych momentach państwowe spółki rzeczywiście robią wszystko, co mogą, aby zapewnić im możliwie jak najniższe rachunki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Samobójcza mania Polaków

Zaiste, trudno dociec, dlaczego Polacy tak lubią bezalternatywność. Wszelako lubią ją tak bardzo – wprost ubóstwiają – że żyć bez niej nie potrafią, a każdego, kto domaga się „alternatywności”, przeganiają gdzie pieprz rośnie, wyzywając od najgorszych. A to od ciemnogrodzian, a to od płaskoziemców, a to – ostatnio – od ruskich onuc.

W każdym razie w Polsce niemal wszystko musi być takie samo – i według rządu, i według opozycji, choć to przecież coś, co z zasady powinno się wykluczać. Wszelko – nie u nas.

I tak właśnie, bezalternatywnie – bo przecież jedna, raz po raz zgłaszająca odmienne stanowisko mało znacząca Konfederacja mało tu zmienia – było w przypadku sposobu postępowania w obliczu tzw. pandemii COVID-19, a dziś już wiadomo, że raczej wobec jednego z największych humbugów ostatnich stuleci. Tak jest w sprawie niepodważalności przynależności Polski do UE – nawet w obliczu wielu milionów Polaków popadających z tego powodu w energetyczne ubóstwo i wiszącej nad Polską finansowej katastrofy. Tak jest w przypadku sposobu zachowywania się wobec inwazji Rosji na Ukrainę i toczącej się za naszą granicą wojny. Tak też jest w sprawie proinflacyjnych „tarcz antyinflacyjnych”. Jeden front idzie jednym frontem, a kto ma inne zdanie, ten ciemnogrodzianin, płaskoziemiec i ruska onuca.

A to sprawia, że w Polsce – i to w kluczowych kwestiach – nie ma realnego sporu politycznego, a przez to opinia publiczna dokonuje wyborów najlepszego rozwiązania ze znacznie mniejszej palety opinii, bo wszystkie niezakwalifikowane do mainstreamu są z niej automatycznie wykluczone. I w rezultacie istnieje znacząco większe ryzyko, że dokonuje wyborów gorszych, niż mogłaby dokonywać, gdyby nie nasza mania bezalternatywności.

Tak, jak to się stało w przypadku tzw. pandemii COVID-19, kiedy to jak barany na rzeź poszliśmy – właśnie dosłownie na rzeź – za większością świata (a nie za np. Szwecją), i to poszliśmy tak bezalternatywnie, że przedwczesną śmiercią przypłaciło to aż ponad 200 tys. Polaków, co dało nam na całutkim świecie jedno z pierwszych miejsc pod względem liczby nadmiarowych zgonów.

Wcześniej więc z powodu naszej fatalnej skłonności do bezalternatywności podjęta została przez rządowo-opozycyjny (nie licząc Konfederacji) establishment śmiertelna decyzja o zamknięciu z powodu COVID-19 przed obywatelami szpitali i przychodni, a dziś z tego samego powodu brakuje siły politycznej, która by władze, które ją podjęły, rozliczyła, a jak trzeba, to i postawiła przed sądem. Bo przecież „wszyscy byli za”!

Tak jak teraz, gdy też „wszyscy są za” niemal w każdej ważnej dla Polski sprawie. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hazardzista w amoku

Koszmarnie długie exposé szefa MSZ, Zbigniewa Raua, dobrze pokazało, gdzie przebiega linia sporu pomiędzy obozem władzy, jego zwolennikami, a także niemałą częścią opozycji a rzecznikami odmiennego podejścia. Syntetycznie rzecz ujmując, minister spraw zagranicznych przedstawił wizję polityki zagranicznej jednowymiarowej, opartej na tylko jednym scenariuszu

zakończenia wojny na Ukrainie – wyparcie Rosji ze wszystkich ukraińskich terytoriów, z Krymem włącznie. Problem w tym, że jest to scenariusz najmniej prawdopodobny.

W pewnym sensie wystąpienie ministra spraw zagranicznych było zaprzeczeniem tego, czym powinno się zajmować MSZ. Dyplomacja jest bowiem sztuką rozpatrywania różnych wariantów, alternatyw dla przyjętych strategii, rysowania pól kompromisu i osiągania korzyści, a nie wygłaszania pełnych tromtadacji, maksymalistycznych wystąpień.

Powiedzmy wprost: strategia polskiej polityki zagranicznej została zarysowana tak radykalnie, jednowymiarowo i jednostronnie, że jeśli – a jest to bardzo prawdopodobne – sprawy potoczą się inaczej niż w opartych na chciejstwie wizjach polskich decydentów, to będzie to po prostu bankructwo tej polityki. A nawet gdyby jakimś trafem nadzieje, będące podstawą owej strategii, miały się w większości spełnić, to nijak nie rozgrzeszy to jej twórców. Będzie to tak, jakby trwający w amoku hazardzista postawił w pokerze cały swój majątek, co do grosza, wygrał, a potem chwalił się, że jego postępowanie było rozsądne i słuszne, skoro ostatecznie nie przegrał. ©©

Wystąpienie szefa MSZ było zaprzeczeniem tego, czym powinno się zajmować MSZ

rozwoju wypadków, pozbawionej alternatywy i, jak to sam ujął, przywołując Piłsudskiego – licytującej w górę. Inaczej mówiąc: szef MSZ powiedział, że w tych niezwykle trudnych okolicznościach mamy chwycić szablę w rękę, zamknąć mocno oczy i, wywijając nią na prawo i lewo, na oślep rzucić się w wir walki. Jeśli jest to nawet przenośnia przesadzona, to niewiele.

Zbigniew Rau potwierdził to, co i tak można było wywnioskować z wielu już wypowiedzi najważniejszych polskich polityków: że nasz kraj widzi tylko jedno możliwe

Balenciaga.

Studium wzlotu, upadku i odnowy



Sklep marki modowej Balenciaga FOT. ADOBE STOCK



Joanna Bojańczyk

Kolejność zdarzeń: wielki kreator mody, sława i talent. Po jego śmierci długotrwały letarg firmy. Korporacyjne przejęcie, młody narybek, sukces finansowy. Skandal i upadek. Czy uda się zszyc to, co pękło?

Nie sądzę, żeby czytelnicy „Do Rzeczy” fascynowali się czerwonymi (obecnie kremowymi) dywanami. Ale zapewne wpadło im w oko parę fotek z ostatnich Grammy, Cezarów, Oscarów lub innych podobnych wielkoświatowych szopek. A tam, cóż – to, co zwykle. Piękne panie i panowie w kreacjach. Nie powiem, że pięknych, bo różnie z tym bywa. Ładne czy brzydkie, jednak zawsze odbiorca jest poinformowany, w jakim stroju wystąpiła dana

celebrytość. Za tym stoją konkretne pieniądze.

Już na tygodnie przed ceremonią marki mody instalują swoje stanowiska w pobliżu nadchodzących wydarzeń, PR-owcy zabierają się do pracy. Konkurencja we wciśnięciu gwiazdom kreacji się ożywia. Im ważniejsza gwiazda, tym ważniejszy dom mody. Na tej ceremonii wsad ludzki liczy się mniej niż opakowanie – jesteś tylko tym, co masz na sobie. Tylko biedny Hugh Grant nie podporządkował się rytuałowi pochwalenia się nazwą swego garnituru, za co spadła na niego fala krytyki.

Nie podejrzewam również, żeby czytający te słowa interesowali się obsadą ważnych stanowisk w biznesie fashion. Większości ludzi kompletnie nie interesuje, czy dyrektorem artystycznym marki Z jest pan X czy pan Y. Ale kiedyś, gdy moda składała się z kilkudziesięciu ważnych kreatorów, a zwykły człowiek szył ubrania u lokalnego krawca, było inaczej. Nawet ci, którzy nigdy nie nosili drogich ubrań, wiedzieli, że Christian Dior, Yves Saint Laurent, Gabrielle Chanel to słynni projektanci mody.

Ale potem to się zaczęło zmieniać. Wazni kreatorzy umarli, pozostała marka i nazwa. A marka, jak wiadomo, przedstawia sobą sporą wartość, tylko należy wiedzieć, jaką nową treścią należy ją wypełnić. W języku biznesu mody oznacza to, że z marką można zrobić, co się chce.

LEGENDA WYŻSZYCH SFER

Jako case study mógłby tu służyć przypadek domu mody Balenciaga. Jest to jedna ze znanych europejskich marek, niegdyś nazwisko założyciela. Komercja wzięła ją w swoje obroty i przerobiła na swoją modłę, całkowicie zrywając z tym, co było jej tradycją (dziś się mówi filozofią), wręcz odwracając cały jej sens.

Kim był Cristóbal Balenciaga? Przypomnę, bo to postać mało znana, a dla mody historyczna. Dziś, gdy królami ubrań są T-shirt i dzinsy, trudno zrozumieć, że jego ciężkie jedwabie upięte w geometryczne formy nosiła cała elita Europy lat 50. i 60. Najwybredniejsze gwiazdy i arystokratki – Marlene Dietrich, Greta Garbo, królowa Fabiola z Belgii – chciały tylko jego sukni. Balenciaga był legendą wyższych sfer.

Ten samouk z biednej baskijskiej rodziny, który większość życia przeżył w Paryżu, w parę minut potrafił zrobić suknię z kawałka materiału, bez szwów i guzików. Ale jaką! Krzywe kobiecego ciała nabierały w niej aerodynamicznych kształtów, żyły nowym życiem.

Jednak senior Cristóbal nie nadawał się do nowych czasów. Z dziennikarzami nie chciał gadać, a gdy w latach 60. nadeszło prêt-à-porter, się wycofał. To nie było dla niego. „Moda stała się zbyt wulgarna” – powiedział i zamknął firmę w 1968 r. Zmarł cztery lata później.

Zostawił po sobie trójwymiarowe sylwetki, które powtarzali po nim – czy raczej próbowali powtarzać – kreatorzy XXI w. Bo to on stworzył minimalizm, tylko nazwę dopisano lata później. Dom mody Balenciaga, który mistrz pozostawił w stanie świetności, po jego śmierci popadł w letarg. Nic się tam nie działo przez 50 lat. I dopiero niedawno, kiedy moda wielkich korporacji nabrała rozpędu, menedżerowie z konglomeratu Kering doszli do wniosku, że marka ma potencjał, ale należy ją odpowiednio wskrzesić, wlewając współczesną treść. „Współczesna treść” polega na tym, że wciskając ludziom masówkę, wmawia im się, że kupują elitarny luksus. Sfabrykowano iluzję, że luksus mogą posiadać, tylko za mniejszą cenę.

Kiedyś luksus – przywilej elity – był rzeczywistością materialną. Istniał na prawdę. Ludzie, których było na to stać, kupowali futra, jachty, biżuterię i sztukę. Istniały świetnie wykonane, piękne przedmioty. Logo, brandy nie istniały. Gwiazdy nie były „ambasadorkami” marek dla mas.

Na czym to polega? Bierze się słynnego (niegdyś), ale prawie całkiem zapomnianego europejskiego krawca lub zakład słynący z pięknych dodatków, butów. Kreuje się wokół niego ogromny zgłęb reklamowo-informacyjny, który nieświadomemu klientowi ma uświadomić, że to nazwisko jest/ma być aktualnie najbardziej pożądane na rynku. Powstaje balon rozgłosu.

Tak postąpiono z wieloma europejskimi domami mody: z Diorem, Schiaparellim, Yves'em Saint Laurentem, Celine, z włoską Bottegą Venetą. Marki te przejęto bezwzględными metodami, często brutalnie postępując z żyjącymi członkami rodziny założyciela. Podręcznikowym przykładem,

jak ze skromnego producenta eleganckich torebek zrobić najmodniejszą markę świata produkującą ubrania, dodatki i kosmetyki, jest Louis Vuitton. Należy do korporacji LVMH, której prezesem jest najbogatszy człowiek świata – Bernard Arnault.

ETOLE I ŻŁOTE ŁAŃCUCHY

Wróćmy do Balenciagi. Menedżerowie postanowili dokonać definitywnej metamorfozy tej uśpionej marki. Przez stanowisko dyrektora kreatywnego przewinęło się paru panów: Francuz Michel Goma, Holender Josephus Thimister, Amerykanin Alexander Wang. Żaden nie wzbudził większego zainteresowania. Najdłużej, bo 15 lat, utrzymał się Belg Nicolas Ghesquière. Przełom nastąpił w roku 2015, gdy na tron Balenciagi wstąpił imigrant Demna Gvasalia.

Pan Gvasalia urodził się w Gruzji, uciekł przed wojną na Ukrainę, potem do Rosji, w końcu wylądował w Paryżu. Swoją misję pokierowania nowym domem mody potraktował z całą powagą, choć sposób, w jaki to zrobił, nijak się miał do wydarzeń z czasów minionej świetności. To jasne, że nikt nie wymagałby, żeby po 80 latach resuscytować jedwabne balowe etole. Ale też nikt nie wpadłby na to, żeby współczesną wersją Balenciagi został raper w złotym łańcuchu. A tak właśnie się stało.

Wstąpiłam ostatnio do firmowego sklepu tej marki w Warszawie. W Polsce jest ona znana głównie bywalcom portali plotkarskich, na których lansują się co zamożniejsi celebryci – ci, których stać na galanterię lub buty oznaczone modnym obecnie i obowiązkowo dużym napisem. To ubrania rapersko-dresiarские. Nie, to nie tandeta, to towar z wyższej półki. Bluzy, spodnie dresowe, T-shirty, czapki bejsbolówki itp. – w tym sklepie nic nie kosztuje mniej niż tysiąc złotych. Demna Gvasalia zrobił z Balenciagi godło raperów w złotych łańcuchach. Z sukcesem finansowym, o jakim jego założyciel nie mógłby nawet marzyć.

UPADEK

Jednak potem nadeszły wydarzenia, które gwałtownie przerwały pasmo sukcesu. Najpierw na pokazie, który odbył się jesienią 2022 r., już w czasie inwazji Rosji na Ukrainę, modelki uciekały na wybiegu, walcząc niby z burzą, trzymając w plasti-

kowych torbach (oczywiście z napisem Balenciaga) resztki ocalałego mienia...

Ten niesmaczny występ był, jak się okazało, tylko wstępem do prawdziwego wystrzału.

Chodzi o reklamę, która ukazała się w listopadzie ubiegłego roku w kilku magazynach mody. Widać na niej torebki (w cenie 3 tys. dol.) w kształcie misiów ubranych w stroje sado-maso. Wśród drobniaków stanowiących tło modelek bystrzy obserwatorzy dostrzegli dokumenty amerykańskiego Sądu Najwyższego dotyczące seksualnego wykorzystywania dzieci, książkę belgijskiego artysty Michaëla Borremansa, który specjalizuje się w portretowaniu nagich dzieci...

Wybuchł skandal, w którym wzajemnymi oskarżeniami przerzucali się winowajcy: producent Nicholas Des Jardins i Demna Gvasalia. Na swoją obronę pan Gvasalia nie miał wiele.

Nastąpił wir chaosu, oburzenia i teorii spiskowych, a Demna był w środku. Pozornie niepowstrzymany wzrost marki został nagle zatrzymany.

Od razu przystąpiono do naprawy utraconego nagle wizerunku. Pokaz, który odbył się w Paryżu w marcu tego roku, był najmocniejszą od czasu tamtych wydarzeń deklaracją marki Balenciaga. Pokaz bez wygłupów, bez teatru. Nawet bez celebrytów. Same ubrania, czyste krawiectwo. No, nie całkiem konwencjonalne – popis ekstrawaganckiego i niezwykle profesjonalnego krawiectwa. Spodnie jak kurtki, trenecz jak spódnica, sześć par spodni sprasowanych w coś w rodzaju rozkołysanej tuniki... Skóry, pachówki i dzinsy napompowane w dziwne kształty, trochę jak wzmocnienia dla motocyklistów czy bejsbolistów dla ochrony przed wypadkami. Dekonstruktoryzm w akcji. Ale pomylił tego z niczym innym się nie da.

„Gdy schroniłem się w Szwajcarii po ucieczce z Gruzji, nie miałem spodni. Musiałem przerabiać stare, kombinować, zszywać” – tłumaczył te pomysły ich autor.

Jedno można powiedzieć: ten pokaz był jakimś powrotem do korzeni. Mistrz Cristóbal mógłby docenić kunszt krawiecki Gvasalii. Ale czy rezygnacja z dresiarskiej estetyki na rzecz awangardy naprawi wizerunek i finanse firmy? Czas pokaże.



AUDI Q4 SPORTBACK 50 E-TRON

Wewnątrz elektrycznego SUV-a Audi panuje absolutna cisza. Dostępny natychmiast moment obrotowy wynoszący 460 Nm sprawia zaś, że auto mierzące ponad 4,5 m długości od zera do setki przyspiesza w ciągu 6,2 s (w najmocniejszej 299-konnej wersji 50 e-tron quattro). Na papierze nie wygląda to może szczególnie imponująco, ale w rzeczywistości – zwłaszcza przy niższych prędkościach – auto tak mocno rwie się do przodu, że prędzej czy później musi to wywołać uśmiech na twarzy kierowcy.

Jest przy tym stosunkowo tanie w eksploatacji, ponieważ – biorąc pod uwagę średnie zużycie prądu na poziomie 16–19 kWh/100 km – przejechanie tym audi 100 km nawet po zakorkowanej stolicy przy ładowaniu w domowym garażu kosztuje zaledwie kilkanaście złotych. Całkiem duża bateria pozwala na jednym ładowaniu przejechać w praktyce ok. 360–430 km (w zależności od stylu jazdy i tego, czy poruszamy się głównie po

mieście czy drogach szybkiego ruchu). Można więc na co dzień cieszyć się jazdą bez myślenia, czy na pewno uda się dojechać do stacji ładowania.

Auto pewnie trzyma się drogi i sprawnie pokonuje zakręty, choć można w tym modelu zauważyć naturalną tendencję do lekkiej podsterowności, którą można jednak banalnie łatwo i bezpiecznie skorygować, dodając po prostu nieco więcej gazu.

Agresywnie zarysowana linia nadwozia w wersji Sportback sprawia, że na pierwszy rzut oka auto nie wydaje się duże. W rzeczywistości elektryczne Q4 plasuje się wielkością między spalinowymi Q3 i Q5. Kabina jest więc przestronna i komfortowa. Miejsca nie brakuje ani z przodu, ani na tylnej kanapie. Wnętrze nie jest może aż tak luksusowe jak w droższych modelach Audi, ale miłośnicy minimalizmu powinni być zadowoleni. Poza tym wszystko jest tu logicznie zaprojektowane i proste w obsłudze (co w czasach, gdy w niektórych autach konkurencji trzeba przejść przez kilka ekranów systemu multimedialnego,

żeby obniżyć temperaturę w samochodzie o jeden stopień, nie jest wcale takie oczywiste, jak by się wydawało).

Miła niespodzianka czeka też po otwarciu bagażnika. Kufer ma pojemność aż 535 l (w wersji SUV to 520 l) i zupełnie płaską podłogę (serio!). Trzeba więc przyznać, że marka, która chwali się, że najnowsze technologie ma w swoim DNA, całkiem nieźle radzi sobie z przejściem na elektromobilność nie tylko w najdroższych modelach, lecz także w Q4, które jest skierowane do bardziej masowego klienta.

Nowe Audi Q4 e-tron oferowane jest w dwóch wariantach: SUV oraz Sportback. Za wersję z modnie opadającym dachem w najszybszej odmianie Sportback 50 s trzeba zapłacić minimum 289 tys. zł. Testowany egzemplarz z siedzeniami sportowymi, pedałami ze stali nierdzewnej i kilkoma dodatkowymi pakietami to już wydatek rzędu 368,9 tys. zł. ☺☺

PROJEKTOR EPSON EH-TW6250

Możliwość wyświetlania obrazu o przekątnej 500 cali, wysoka rozdzielczość, świetna jakość wykonania oraz niezły stosunek ceny do możliwości urządzenia – to największe zalety projektora japońskiej firmy Epson.

Ważący 4 kg biały projektor potrafi wyświetlać obraz o maksymalnej jasności 2800 lumenów w rozdzielczości 4 K-enhanced. I chociaż da radę się go używać przy świetle dziennym, to w praktyce i tak najlepiej sprawdza się w zaciemnionych pomieszczeniach.

Osoby, które zawsze marzyły o kinie domowym lub o wiosenno-letnich seansach w ogrodzie, ucieszy to, że projektor z lampą o mocy 200 W jest w stanie wyświetlać obraz od 40 cali aż do 500 cali (minimalna odległość projekcji wynosi 2,34 m). Mecze i filmy wyświetlane na całej ścianie wyglądają bardzo dobrze. Urządzenie można też podpiąć do konsoli, aby podbić świat w naprawdę dużym formacie, choć lepiej sprawdzi się przy typowych grach na Android TV niż przy najbardziej wymagających tytułach na pecety.

Obraz jest jasny, a dzięki wykorzystaniu techniki 3LCD kolory są wyraźnie żywsze i bardziej nasycone niż w projektorach używających jeszcze technologii DLP. Również odwzorowanie kolorów jest takie, jakiego spodziewałbym się po tej półce cenowej, czyli szaku nie ma, ale jest OK.

Zaletą są wbudowane moduły wi-fi oraz Android TV. Nawigowanie po rozrywkowych treściach ułatwiają piloty z przyciskami szybkiego dostępu do najpopularniejszych serwisów streamingowych (YouTube, Netflix, Google Play).

Banalnie proste w użytkowaniu urządzenie daje możliwość szybkiego i prostego dostosowania obrazu (ostrości, korekcy w pionie i w poziomie, wysokości etc.) do własnych potrzeb.

Testowany projektor ma również wbudowany głośnik. Gra on lepiej niż w standardowych telewizorach w podobnej półce cenowej, ale aby stworzyć prawdziwy efekt prywatnej sali kinowej, z pewnością przyda się osobny system audio. Głośność pracy projektora w normalnym trybie to 36 dB, ale w trybie Eco można ją obniżyć do 28 dB. Jest OK.

Minusy? Pierwszy to mocno ograniczona liczba złączy. Jest co prawda HDMI ARC do podłączenia telewizora, laptopa czy konsoli, ale do dyspozycji jest tylko jedno złącze. Drugi minus to wzornictwo: projektor wygląda jak milion podobnych, nie można go więc uznać za ozdobę salonu, jak niektóre produkty konkurencji.

Mimo tych wad stosunek ceny do jakości i możliwości w przypadku tego modelu jest naprawdę niezły. Cena: 4949 zł. ☺☺



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



ANNA POPEK Z D. CHRZUZI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZI

SIOSTRY GOTUJĄ

Zdrowy kompromis

Tydzień temu świętowaliśmy przy wielkanocnych stołach i – idziemy o zakład – raczej sobie nie odmawialiśmy przyjemności jedzenia. Podejrzewamy też, że nikt się wtedy także specjalnie nie odchudzał, prawda? Ale wracamy już do normalnego trybu życia, wracamy z nowymi siłami, które dały nam święta, a także wiosną oglądana już w pełnym rozkwicie.

Wciąż mamy w pamięci smak paschy i baby wielkanocnej, ale wiosną chcemy jednak cieszyć się smukłą figurą, więc proponujemy dzisiaj zdrowy kompromis.

Coś lżejszego, ale smacznego zarazem, czyli słodki smak karmelizowanej czerwonej cebulki.

Zanim o cebulce – kilka słów o cukrze. W książce Jarosława Molendy „Historia roślin jadalnych” znajdujemy ciekawy rozdział o cukrze. Korzenie nazwy sięgają sanskrytu, gdzie „cri” oznaczało ziarnka piasku. To Hindusi odkryli bowiem uprawę trzciny cukrowej i nauczyli się wyrabiania z niej cukru. W poemacie „Ramajana” napisanym ok. 1200 r. p.n.e. zamieszczono opis uczt, podczas których „stoły zastawione były słodyczami, syropami oraz trzcina cukrową do żucia”. Grecja poznała cukier dzięki najazdowi Aleksandra Wielkiego na Pendżab w 327 r. – uczestnicy tej wyprawy nazywali cukier „suchym miodem nie pochodzącym od pszczoł”. Rzymianie cukru nie znali, a Arabowie uczynili z jego produkcji żyłę złotą – ok. roku 1000 na Krete założyli pierwszą przemysłową rafinerię cukru. Notabene arabska nazwa Kreta to Qandi, co oznaczało skrzystalizowany cukier. My także znamy to słowo – „kandyzować” to konserwować za pomocą cukru owoce czy warzywa.

Cukier przywieziony przez krzyżowców ze wschodu początkowo nazywano „solą indyjską” i przypisywano nim mięsa. Później używano go w kuchni zamiast miodu i wtedy zmienił nazwę na „indyjski miód”. Nie był tani i używano go jako leku do zasklepiania ran. Chirurgi europejscy stosowali metodę znaną jeszcze w czasach faraonów, gdzie mieszaną cukru i miodu zatrzymywano krwawienie z ran. „Cukier przyspiesza bowiem wzrost nowej tkanki, osuszając ranę i osłabiając rozwój bakterii przez ich odwadnianie” – pisze Molenda.

Jeszcze w XV w. w Europie cukier trzymany był w sejfach, sprzedawano go w aptekarskich dawkach, a pozwalali sobie na niego jedynie najbogatsi. Dzisiaj uważany jest za słodką truciznę. Wszystko jest jednak dla ludzi i wszystko można, byle z umiarem. Dlatego dzisiaj proponujemy słodki akcent, którym będzie karmelizowana cebulka. Tak przygotowana cebulka to doskonały dodatek do sałatek, np. z kozim serem, kanapek, wędlin, mięs czy tart – świetnie wzmacnia smak, np. smak tarty z wędzonym łososiem.

Karmelizowana cebulka

- 2–3 cebule, najlepsze szalotka lub czerwona
- 1 duża łyżka octu balsamicznego
- 1 duża łyżka octu winnego
- 4 duże łyżki cukru brązowego
- sól i pieprz – duża szczypta
- 4 łyżki oliwy do smażenia

Cebulę kroimy w piórka, smażymy na średnim ogniu ok. 20 min, podlewamy octem balsamicznym i winnym, nadal smażymy, dodajemy sól i pieprz, na koniec dodajemy cukier i smażymy jeszcze ok. 5–7 min. do całkowitego rozpuszczenia się cukru. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zaproszą, nie zaproszą?

Otwieranie skrzynki pocztowej musi być sporym stresem dla nowojorskiej elity mody. Czy znajdą tam upragnioną elegancką kopertę z logo Metropolitan Museum of Art i zaproszeniem na doroczny bal MET? Szacowna nowojorska świątynia sztuki wysokiej daje tej imprezie tylko miejsce. O reszcie, mniej szacownej, decyduje Anna Wintour, bezwzględna władczyni mody, której jedna pochwała wznosi na szczyt, a krytyka kończy żywot w zawodzie. W wieku 73 lat ta drobna dama w ciemnych okularach wciąż dyktuje światu, co i kto się teraz liczy.

A co się liczy? W roku 2023 świat ma przestawić się na dobry gust. Nie będzie to łatwe po dekadzie kiczu, kampu i „nośta, co chceta”. Przełaczamy się na elegancję. Żeby zebrać miliony na kolejny rok funkcjonowania Metropolitan, pani Wintour postanowiła przeprowadzić czystkę wśród gości. Koniec z wulgarnością, waleniem po oczach nagimi pupami, koniec z krzykliwymi kreacjami.

Wśród członków jury wybierającego najlepsze stroje znajdzie się Roger Federer, Szwajcar reprezentujący kulturę na korcie. Tematem balu będzie hołd dla Karla Lagerfelda, genialnego następcy Chanel. Ten zawsze wiedział, gdzie jest granica, której nie należy przekraczać. W odróżnieniu od niejakiego Alessandro Michele z domu mody Gucci, który



FOT. GILBERT CARRASQUILLO/GETTY IMAGES

wprowadzie podwoił obroty marki, ale którego kolekcje były kwintesencją kiczu i złego smaku. Ostatnio popisał się także niejaki Demna Gvasalia w domu mody Balenciaga. Miściaczki sado-maso itp. Faceta wprowadzie nie wywalił, ale kazali mu siedzieć cicho i bez wybryków, każdy jego pomysł będzie sprawdzany pod lupą na okoliczność poprawności estetycznej.

Szczególne powody do niepokoju mają panny Kardashianki – matka i pięć córeczek, gwiazdy oglądanego od wielu lat show. Główna gwiazda, Kim, ma 349 mln fanów na Instagramie. Panie znane są głównie z sekstaśm, sztucznych rzęs oraz tyłków napompowanych helem. Zaprosić je na majowy bal oznaczałoby dla Anny Wintour i całej imprezy porażkę równą upadkowi Credit Suisse. I już wiadomo – szefowa zachowała się konsekwentnie. Kardashianek na balu MET nie będzie.

Cóż pozostaje? Za 250 tys. dol. kupić stolik i zaprosić, kogo się chce. No, ale to już nie to samo. © ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pogrom Tatarów

Drewniany i podmurowany kościół w Nowosielcach koło Przeworska pw. Marii Magdaleny to miejsce zacieklej obrony i zwycięstwa miejscowej ludności nad Tatarami 13 czerwca 1624 r. Wybudowany pod koniec XVI w. i konsekrowany przez biskupa lwowskiego Jana Dymitra Solikowskiego znajduje się w obronnym miejscu, na wzniesieniu otoczonym pierwotnie stawami i ciekami wodnymi. I dziś podejście do niego, zwłaszcza od północy, nie należy do łatwych. W XVII w. był zapewne wzmocniony dodatkowymi fortyfikacjami ziemnymi – murem, parkanami, zaopatrzonymi w wilcze doły i kobylice.

5 czerwca 1624 r. 6 tys. dzikiej ordy nohajskiej przekroczyło granice Rzeczypospolitej pod Śniatyniem na Pokuciu. Tatarzy pod wodzą Kantymira, bejlerbeja Oczakowa, zaprzysięłego

wroga Lachów, zwanego w Polsce Krwawym Mieczem, skierowali się na północny zachód – na Przemyśl, gdzie założyli kosz pod dzisiejszą Medyką. Stąd czambuły ruszyły na rabunek, czyniąc straszne spustoszenia na ziemiach przemyskiej i sanockiej, uderzyły na Rzeszów, Przemyśl, Łańcut, Przeworsk, Jarosław, Krosno i Sanok. Kantymir był tak pewien zwycięstwa, że wysłał spod Medyki list do króla Zygmunta, drwiąc z niego i zapowiadając, że pośle swoje oddziały aż do morza. „Za pomocą bożą chorągiew naszą pod stolicę Waszą postawiwszy, zagony nasze do Białego Morza

(Bałtyku) rozszerzyć bardzo sobie życzymy” – pisał.

Najazd był okrutny, ale w wielu miejscach chłopci, miejscowa szlachta i duchowieństwo stawili opór. Franciszek Kotula wylicza przynajmniej kilkanaście warowni wiejskich, opartych zwykle o kościół, dwór lub dogodnie do obrony wzniesienie, w których miejscowa ludność broniła przed ordą. Jest ich tak wiele, że szkoda, iż nie powstał pomiędzy nimi szlak turystyczny. Do takich ufortyfikowanych punktów należały: Brzoza Królewska, Giedlarowa koło Leżajska; Kosina, Żurawiczki koło Przeworska; Tuli-głowy i Chłopice pod Jarosławiem; Mrowla i Świlcza pod Rzeszowem; Krasna, Malawa i Sonina pod Łańcutem; Lubienia, Połomia i Hyżne; Lutcza, Blizne i Haczów pod Krosnem. A także opisywane przez nas Nowosielce, w której miejscowy wójt Michał Pyrz, dawny żołnierz wojsk kwarcianych, a także proboszcz – ks. Kisiel – zebrali wokół siebie mieszkańców w umocnionym kościele, razem z ruchomym dobytkiem i zwierzętami.

Wśród obrońców znalazł się też artylerzysta – beznogi Franek Dudek lub Dudka, być może kościelny, który brał udział w bitwie pod Cecorą cztery lata wcześniej i celnie raził wrogów ze śmigownicy. Przez cztery dni, od 9 czerwca, z zapiekłą chłopską zawziętością typową dla wschodnich kresów Rzeczypospolitej mieszkańcy odpierali ataki Tatarów. Wedle legendy zginął porażony z działka dowódca czambułu, co ostudziło nieco bojowy zapał ordyńców. Kiedy 13 czerwca parobek Jasiek rozpędził im konie, odstąpili od oblężenia i popędzili, aby odszukać wierzchowce.

Nie tylko Nowosielce obroniły się wówczas przed najazdem. Tatarzy nie byli w stanie zdobyć

Rzeszowa, w którym dowodził jego właściciel – kasztelan sandomierski i starosta biecki Mikołaj Spytek Ligeża. Kolejna zaciekle obrona miała miejsce w Bliznem koło Brzozowa, gdzie z miejscowymi chłopami stał czoła Tatarom Jan Lasko, przy czym nie jest jasne, czy bronił się na miejscowej ufortyfikowanej górze czy w kościele, który zbudowany został pod koniec XV w. i jest jednym z cennych zabytków Podkarpacia.

Obrona Nowosielce przetrwała w lokalnej tradycji aż do dzisiaj. W 1936 r. usypano tu kopiec ku czci bohaterskiego obrońcy Michała Pyrza, który znajduje się na północ od kościoła, koło przedszkola. Uroczystość 29 czerwca stała się okazją do ogromnej manifestacji, na której zgromadziło się nawet ok. 200 tys. ludzi, w znacznej części chłopów. Jak w 1624 r. przepędzili oni Tatarów, a w 1936 przegonili marszałka Śmigłego-Rydza, który razem z kilkoma innymi działaczami próbował, jak współcześni politycy, „podpiąć” się pod uroczystości. Zagniewany wyjechał, kiedy przemarsz delegacji zmienił się w manifestację antysanacyjną, a jemu samemu wręczono rezolucję domagającą się zmian. Oto, jak dyplomatycznie dementował doniesienia o ucieczce sanacyjnej „Wiarus”: „Generał Śmigły-Rydz nie mógł już dłużej pozostać w Nowosielcach, nie mógł czekać do wieczora na przemarsz tych mas, obliczanych przez samych chłopów na około 200.000 ludzi. Odjechał, żegnany okrzykami zebranych”. Że okrzyki te domagały się zmian w rządach i rozpisania wolnych wyborów, tego już autor nie napisał, a okolicznościowy film z tych wydarzeń przygotowany przez Polską Agencję Telegraficzną nie pokazał. ©



FOT. DOMENIA PUBLICZNA



I RZECZYPOSPOLITA

Nowosielce

RYS. OBA



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

Wojny żywnościowe

Mieliśmy do czynienia z ciekawym zjawiskiem – dwiema wojnami żywnościowymi zakończonymi porozumieniem ponad podziałami. Okazało się, jak to zwykle ostatnimi czasy, że Ukraina wszystkich pogodziła.

Ale do przysłowiowej rzeczy. W styczniu gruchnęło, że Unia dopuściła do obrotu (nie pierwszy raz) kontrowersyjny rodzaj żywności, oparty na mące zrobionej z mielonych świerszczy. Gruchnęło strasznie, bo wielu dopiero się dowiedziało, że toto od dawna pałęta się po żywności, tylko nikomu nie chce się rozwikłać łańcuchów opisów wielkości mróweczki na spisie zawartości produktu. Dostało się zlewaczalej Unii, prawaki zadęły w trąby. Ci, którzy się interesowali, uwierzyli. Wierzący w Unię popukali się zaś w głowę, zagryzając nieświadomie świerszczem, bo im wytłumaczono, że prawaki zwariowały i żadnego robactwa w ludzkiej paszy nie ma. Czyli odbyły się gęsta wojny polsko-polskiej ze wskazaniem na remis.

Potem zaczęła się nowa afery. Ukraińskie zboże musiało przejechać przez Polskę, bo porty zablokowały onuce, by dostawami ratować głodującą Afrykę. Nie wiadomo, jak tam Afryka, ale wyszło, że raczej pogłodują polscy rolnicy, bo tańsze i gorszej jakości zboże zdemolowało polski rynek i ceny, a ukraińskie ziarno przeobraziły się w biało-czerwone na papierach. Do

tęgo minister tym wszystkim zawiadującym powiedział, że wie, kto to zrobił i kto na tym skorzystał, ale... nie powie. I też zaczęła się zadyma, bo – przed wyborami tylko – każdy chce mieć dobrze z chłopami, nawet miastowi (politycy). Krzywdą odbyła się poważna, próbuje się wzmocnić ten cios w ewidentnie propisowskie rolnictwo. Ale też tak trochę głupio narzekać w Polsce na coś ukraińskiego i tylko Konfederacja, co do której już

Nie wiadomo, jak tam Afryka, ale wyszło, że raczej pogłodują polscy rolnicy

dawno zdecydowano, że jest ekspozyturą onucyzmu, nie miała się czego bać i wałęsa w rząd na całego.

Cały ten radosny oberek wojen żywnościowych skończył się, jako się rzekło wcześniej, porozumieniem ponad podziałami, odbyłym w kolorze niebiesko-żółtym. Odkryto bowiem, że w ukraińskim zbożu znajdują się robaki. Obie więc strony pogodziły swe tematy i zarzuty w jednym. Ukraińcy sprzedali blisko swoje towary, kto miał zarobić – zarobił, łącznie z karmą dla wiecznie głodnych sensacji mediów. O Afryce tylko nic nie wiadomo.

Tak los prosto pisze po liniach krzywych. ©©



Jan Pospieszalski

#WARTO

Pospolite ruszenie

Zakaz pracy sprawia, że większość rodziców mających na utrzymaniu dziecko z poważną niepełnosprawnością woli utracić prawo do świadczenia 2458 zł miesięcznie i zarabiać na pracę w Polsce dostają bez problemu cudzoziemcy z „krajów trzecich”, natomiast rodzice dzieci niepełnosprawnych pobierający zasiłek pielęgnacyjny nie mogą pracować. Zatrudniani są nawet niepełnosprawni.

Sprawa ta od lat bulwersuje środowisko rodziców, stąd okupacje dzieci na wózkach w Sejmie. Z tego też powodu przygotowany został obywatelski projekt ustawy znoszącej zakaz pracy. Niezależnie MRIPS, widząc społeczne oczekiwania, przygotował nowy projekt świadczenia wspierającego, skierowanego do osób niepełnosprawnych. I choć przedstawiona przez premiera i ministrów nowelizacja określona została jako przełomowa, to niestety nie odpowiada ona na istotne potrzeby opiekunów.

Ponadto obwarowana jest wieloma warunkami, które wykluczają wiele grup. Przypomnijmy – rodzice i opiekunowie osób z niepełnosprawnościami (a jest to środowisko liczące niemal 3 mln osób, w tym 1 mln ze znacznym upośledzeniem) czekali na prosty nowy przepis, tymczasem rządowe skomplikowane regulacje sprawią, że na komisjach orzekających większość zostanie wykluczona. Świad-

czenie wspierające w wysokości 3200 zł skierowane zostanie w rzeczywistości do bardzo wąskiej grupy osób z niepełnosprawnościami, ponieważ funkcjonalna ocena punktowa sprawi, że o najwyższe świadczenie będzie mogło wnioskować jedynie ok. 50 tys. Możliwość podjęcia pracy otrzymają tylko opiekunowie pobierający świadczenie pielęgnacyjne, którzy dostaną ocenę funkcjonalną osoby z niepełnosprawnościami, a wynik tej oceny będzie wynosił minimum 70 punktów. Pozostali opiekunowie otrzymujący świadczenie pielęgnacyjne nadal będą mieli zakaz pracy. Ponadto podjęcie pracy przez rodziców i opiekunów zostało dodatkowo obwarowane limitem dochodów – sześciokrotności minimalnej płacy.

Te i wiele innych biurokratycznych barier, a ponadto totalna cyfryzacja procedur, nie tylko komplikują uzyskanie świadczeń, lecz także wykluczają osoby starsze, nieporuszające się sprawnie w wirtualnej rzeczywistości, a takich jest przecież ogromna grupa. Zdumiewa, że w przypadku „500+” można było stworzyć prosty system, a tu mnożone są karkołomne i trudne do spełnienia bariery. Dlatego potrzebne jest pospolite ruszenie, by zebrać wymaganą liczbę podpisów pod obywatelskim, przejrzystym i sprawiedliwym projektem znoszącym zakaz pracy dla opiekunów. Więcej na: stopzakazowipracy.pl. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wątek niemiecki

Swięta minęły, ale echa rozmów o jajkach, kiełbaskach i święconkach pobrzmiwają, a jakże. Stop. Donald Tusk przyatakował Kukiza Pawła wpisem twitterowym: „Inflacja szaleje. Najbardziej podrożały majonez, jaja i Kukiz”. Stop. Nawizał w ten sposób do bardzo dziwacznej konstrukcji, że jeśli fundacja związana z Kukizem dostała pieniądze na cele statutowe, to znaczy, że Kukiz się władzy sprzedał. Stop. Jaki prywatny interes ma z pieniędzy fundacyjnych Kukiz, nie wiadomo, ale się sprzedał i już. Stop. Znany nasz rockman Kukiz ma – jak wiemy – niewyparzoną klawiaturę i nią się odmachnął świętecznie. Stop. Napisał: „Nie nazywajcie (proszę) Tuska Niemcem, bo to obraza dla Niemców! Ale jeśli już koniecznie musi być wątek niemiecki, to mówcie o nim po prostu »Wurst« (kiełbasa). Zawsze najdroższa w koszyczku i pasuje do jaj”. Stop.

Lider buddyzmu tybetańskiego znany jako Dalajlama zaproponował chłopcu, żeby mu posłał język. Stop. Buddyzm raczej się w Polsce nie przyjmie, ale promocję miał na całym świecie huczna. Stop.

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek pozostał ministrem edukacji i nauki po tym, jak odrzucono wotum nieufności wobec niego. Stop. Oczywiście byliśmy najpierw świadkami wystąpień sprzecznych, a emocjonal-

nych. Stop. Z części wynikało, że Czarnek jest beznadziejny i niereformowalny, a z drugiej części, że jest absolutnie fantastyczny i niereformowalny. Stop. Oczywiście opozycja wiedziała, jak przebiegnie głosowanie, ale nie omieszkła nam zafundować spektaklu z wiadomym końcem. Stop. Tutaj wplotę fragment Edwarda, który – zdaje się – ma coś wspólnego z naszym Sejmem. Stop. „Życie to jest teatr mówisz ciągle opowiadasz / Maski coraz inne coraz mylnie się nakładają / Wszystko to zabawa wszystko to jest jedna gra / Przy otwartych i zamkniętych drzwiach / To jest gra”. Stop. Jesteśmy widzami, ale też sponsorami tych fikołeczków, warto pamiętać. Stop.

Franek Sterczewski, najbardziej znany polski biegacz, a przy okazji poseł, uradował się wieściami z Niemiec. Stop. Na Twitterze zamieścił entuzjastyczne: „Wtem: Niemcy legalizują marihuanę. Dorośli będą mogli prywatnie uprawiać marihuanę w określonych ilościach. Posiadanie maksymalnie 25 gramów marihuany nie będzie karane. No i elegancjo! Nie mam wątpliwości, że w Polsce to tylko kwestia czasu”. W sumie jak oglądam niektórych posłów i słucham ich wystąpień, to miałbym poważne problemy z jednoznacznie wskazaniem: ujarany czy też w swojej życiowej formie. Stop. © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Rozum i wiara

Ciężkie czasy nastały dla wyznawców tzw. religii klimatycznej. Od dawna są utrzymywani w stanie kontrolowanej hysterii, szerzonej przez klimatycznych kapłanów i kapłanki. Główną z nich jest dziecięca prorokini – Greta z Krainy Łodów – nie przypadkiem nagrodzona za swoje wizje doktoratem w dziedzinie teologii Uniwersytetu Helsińskiego.

Jak poinformowali jednak naukowcy z Uniwersytetu Alabamy w Huntsville, od trzech lat średnia temperatura na Ziemi spada – chociaż teoretycznie powinna rosnąć. Ten „niepokojący” trend potwierdzają dane z badań satelitarnych i oceanograficznych, uzyskane przez agencję badań kosmicznych (NASA) oraz agencję oceanów i atmosfery (NAOO). W marcu najbardziej niepoprawnym klimatycznie miejscem w USA okazał się stan Utah. Średnie temperatury były tam aż o 5 st. C niższe od przeciętnej z 30 lat. Amerykańscy badacze opublikowali więc raport, w którym uspokajają dezorientowanych klimatyczną niesubordynacją czytelników. Obszar nadzwyczajnego chłodu nazywają w nim „kieszonką zimnego powietrza”, rozciągającą się – bagatela – od Kalifornii, przez Kanadę, Morze Norweskie, aż do Indii i północnego Pacyfiku. Jeśli połowa globu da się zmieścić w „kieszonce”, to wyobraźmy sobie wysokość „kieszonkowego”, którego domagać się

mogą klimatyczni guru od sponsorujących ich globalnych instytucji.

Co ciekawe, trwające od trzech lat światowe ochłodzenie klimatu zdaje się nie mieć związku z ilością emitowanych do atmosfery gazów cieplarnianych. Ich stężenie, zdaniem badaczy, właśnie osiągnęło kolejne szczyty. Wyjaśniający tę sprzeczność uczeni posługują się językiem żarliwej wiary, z którego dumna musi być „teolog” Thunberg. „Ostatnie lata były chłodniejsze” – przyznaje prof. Szymon Malinowski, fizyk z Uniwersytetu Warszawskiego. „Ani te dane, ani inne nie pokazują spowolnienia globalnego ocieplenia. I nie mogą pokazywać – bo nadal dynamicznie rosną koncentracje gazów cieplarnianych” – dodaje. Niestety, nie znaleziono jeszcze sposobu na przekonanie krnąbrnych danych do tego, jakich procesów „nie mogą” pokazywać. Zdesperowani uczeni odwołują się więc do języka komentatorów sportowych. „W tym roku będą bite rekordy, [...] spodziewamy się rekordowych temperatur” – wieszczy prof. Malinowski. Więcej emocji wkładają w swoje prorocтва uczeni zza Atlantyku: „Przejsię do nowego El Niño może dać szansę na próbę bicia rekordowo wysokich temperatur, wywołanych przez El Niño siedem lat temu”. Szansa na rekord jest. Czy pogoda stanie na wysokości zadania? Może pomogą jej sędziowie? © ©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Idą...

Bardzo współczuję dziennikarzom, którzy usiłują czegoś dowiedzieć się od polityków opozycji totalnej. Najczęściej patrzą oni na takich dziennikarzy z obrzydzeniem i odmawiają odpowiedzi, zapowiadając, że z nimi w ogóle nie będą rozmawiać. Jeśli nie usłyszą, że są żulikami, to i tak dobrze. W przypadku szczególnej łaskawości na zadane pytanie nie otrzymują konkretnej odpowiedzi, tylko wywody na zupełnie inny temat, w których jeśli nie padają zapowiedzi wsadzenia rozmówcy do więzienia, to są to mgliste oświadczenia rzeczy niesprawdzalnych lub pouczenia, że „wszystko jest jasne”, choć nie

piętrowe kłamstwo, ignorancja, zapowiedź rzeczy niewykonalnych lub że polityk zamierza zrobić to, co już jest zrobione.

Nietrudno też zauważyć, że przywódcy opozycji stale gdzieś idą. Idą razem lub osobno, ale stale idą. To znaczy mówią, że idą, bo nie idą, ale siedzą lub stoją i mówią, że idą. Na dobrą sprawę kierunek marszu jest istotny, ale ciągle nie możemy się dowiedzieć, gdzie oni idą, a w związku z tym, gdzie chcą nas zabrać ze sobą. Bo żeby mieli nas zostawić w spokoju, to chyba trudno sobie wyobrazić. Dla pewnej części społeczeństwa to może być atrakcyjne – tak słuchać, że ktoś za nich idzie, podczas gdy oni mogą sobie

jak najbardziej oddalić od PiS, który wydaje się im czymś ze wszech miar odrażającym. Jest w tym jakaś myśl, ale jeśli się przyjrzeć kierunkom działania obozu rządzącego, to można z grubsza ustalić, jaki będzie kierunek tego marszu „jak najdalej od PiS”. Skoro PiS Polskę zbroi, to może to być kierunek na rozbrowienie. Jeśli PiS rozdaje pieniądze publiczne, to może to być marsz ku odbieraniu Polakom pieniędzy. Jeśli PiS uszczelnił budżet, ograniczając kradzież pieniędzy publicznych, to jasną alternatywą jest rozszczelnienie budżetu, by można było sobie swobodniej poczynać w tym zakresie. Jeśli PiS uniezależnił Polskę od Niemiec i Rosji, to nasuwa się prosty wniosek: opozycja pragnie Polskę od tych państw uzależnić. Jeśli PiS stara się umacniać dobre imię naszego kraju, to opozycja zapewne będzie szła ku oczernianiu Polski. Pewne kroki w tym kierunku już zresztą zrobiono.

Metafora marszu dotyczy nas wszystkich. Wszyscy jesteśmy w drodze i musimy w swojej skali dokonywać wyboru kierunku, ale w przypadku niektórych polityków jest to o tyle ważne, że powinniśmy wiedzieć, gdzie nas ze sobą chcą zabrać. Ponieważ co do kierunku marszu jest wśród polityków opozycji wiele niedomówień i jawnych sprzeczności, ich zapewnienia, że idą, budzą niepokój i robią wrażenie, że ich ruchy marszowe nie prowadzą w żadnych konkretnym kierunku. Mówiąc ściślej, powstaje wrażenie, że kręcą się w kółko. Jest w tym jednak jakaś nadzieja: może nie pójdą na zatracenie i nas tam nie zabiorą, a może nawet i po wyborach będą się tak w kółko kręcić i zostawią nas w spokoju. ©©

Nietrudno zauważyć, że przywódcy opozycji stale gdzieś idą. Idą razem lub osobno, ale stale idą. To znaczy mówią, że idą, bo nie idą, ale siedzą lub stoją i mówią, że idą. Na dobrą sprawę kierunek marszu jest istotny, ale ciągle nie możemy się dowiedzieć, gdzie oni idą...

wiadomo co, oraz że „wiemy, jak to zrobić”, choć także nie wiadomo co, a jeśli ktoś tego nie rozumie, to sam sobie wystawia świadectwo. Jeśli dziennikarz powtórzy ze zdumieniem tezy wywiadowanego polityka, to usłyszysz, że gada bzdury, co jest o tyle prawdą, że bzdura jest bzdurą niezależnie od tego, kto ją wypowiada. Więc tylko w tym rzadkim przypadku rozmówca dziennikarza nie mija się z prawdą o sobie.

W ogóle to polityków opozycji strach o coś pytać, bo można usłyszeć, że chodzi o to, by nie było takich pytań, że pytający sam się wpisuje w coś tam lub – ostatecznie – że „zabieram panu głos”. Jeśli cudem wydobydź się jakąś odpowiedź, to okaże się, że są tam jakieś

siedzieć, ale naprawdę to tak nie będzie: jak oni gdzieś pójdą, to wezmą nas ze sobą. I powstaje pytanie: dokąd.

Marsze polityków opozycji są o tyle dziwne, że zamiast określenia kierunku bardzo często mówią oni, że przechodzą z jednej grupy do drugiej, czyli powiadają z całą powagą, że idą w poprzek. Oczywiście jest to znakomity temat dla mediów, w których nieprzerwanie trwają rozważania, kto z kim idzie, i domysły, kto pójdzie do kogo w bok i co tego wyniknie. Na ogół wynika niewiele, ale rozważaniom owym nie ma końca, a wierszówki oraz czas antenowy jest czym zapęłnić.

Jedno wydaje się dość jasne: idąc, politycy opozycji starają się

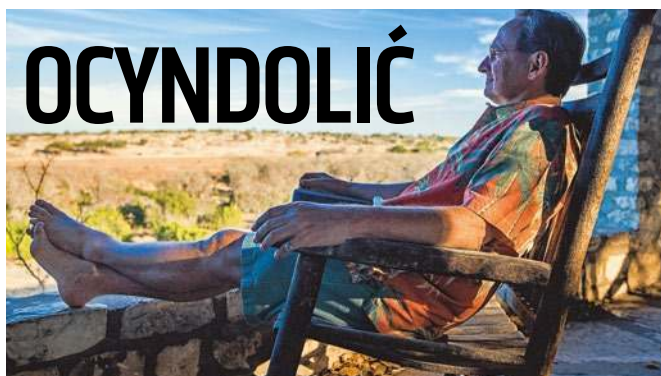
Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdybyśmy chcieli zilustrować, w jakim stanie jest Ameryka, możemy pokazać Joe Bidena.

Ameryka jest taka jak on: niedołęga, ledwo zipie, wlecze nogami i ma demencję. Dałbyś Bidenowi do potrzymania swój portfel? Ja bym nie dał, bo zgubi. A dałbyś Bidenowi do zainwestowania swoje pieniądze? Ja bym nie dał, bo ten starszy pan nie kojarzy, co się dzieje dookoła, i to nie jest jego wina, lecz po prostu jego cecha. Jedni się starzeją bez utraty bystrości umysłu, inni z. A czy powierzyłbyś Bidenowi obronę twojego kraju lub przynajmniej domu? Czy ufasz, że Biden jest sprawnym intelektualnie przywódcą NATO?

Zaufanie do przywódcy przekłada się na zaufanie do mocy państwa i waluty. Coraz więcej krajów deklaruje odejście od dolara. Widzą, że się Ameryka wali, więc przechodzą na walutę chińską.

To teraz rzut oka na Polskę: Glapińskiemu też nie dałbym mojej forsy do inwestowania. Nie dziwi mnie więc, że Polska nie jest krajem, do którego zlatują się inwestorzy. I zapytam jeszcze: Czy gdyby twój dom był zagrożony atakiem, powierzyłbyś ochronę Błaszczakowi? Mówię o twoim konkretnym domu, gdzie mieszkają twoja żona i – powiedzmy – dwie córki i ty. Czy do ochrony twojego domu i mienia wynająłbyś Błaszczaka? Lub firmę ochroniarską prowadzoną przez Błaszczaka? A gdybyś miał prawo sam się bronić i potrzebował dokonać zakupów stosownego sprzętu, to czy zaufałbyś Błaszczakowi, że on ci za twoje pieniądze skompletuje najlepszy sprzęt i amunicję, a do tego w dobrej



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANISAW.SUSNICKI

cenie, i że się nie da oszwać ani ocyganić, ani ocynolić? Zaufałbyś w sprawie obrony i zakupów Błaszczakowi?

Ci dwaj to tylko takie dość łatwe przykłady. Dla kontrastu podam dwa inne i tym razem będą to osoby bystre, sprytne, rzutkie. Niekoniecznie kryształowe, ale przynajmniej sprawne umysłowo.

Czy powierzyłbyś swój portfel Hillary Clinton? Ja bym nie powierzył, ale już nie dlatego, że zgubi, lecz dlatego, że sprzeniewierzy. A Trumpowi? Czy powierzyłbyś swoją forszę do zainwestowania? Owszem. Nie całą naraz, ale – owszem – powierzyłbym, i to bez większego wahania.

I tak to działa na arenie międzynarodowej – ludzie inwestują lub angażują się we współpracę z Ameryką, myśląc takimi „prywatnymi” kategoriami. Czy powierzyłbym Ameryce ochronę mojego domu lub zakupy broni dla siebie i rodziny albo czy dałbym Ameryce moje oszczędności do inwestowania?

A gdy ktoś patrzy na Polskę i myśli w podobnych kategoriach „prywatnych”, to kogo widzi i co sobie myśli? Glapiński, Błaszczak, Morawiecki – czy to są ludzie, którym warto zostawić portfel?

Morawiecki dał się zrobić w konia, gdy wynajął największy samolot świata, by przewieźć do PL transport wadliwych masek na głę. To samo można było przewieźć kilkoma

mniejszymi samolotami szybciej i taniej – ten ukraiński kolos nie był potrzebny, bo on jest (był) przeznaczony do transportu dużego sprzętu, a nie drobny. Czyli Morawiecki dał ciała. Dał się też zrobić Chińczykom, u których kupował te bezużyteczne maski. Czy po tamtych doświadczeniach powierzyłbyś mu ochronę twojej rodziny przed jakąś prawdziwą pandemią? Czy zaufałbyś, że będzie wiedział, co należy robić? Ja nie.

A czy on się zna przynajmniej na ekonomii? Prowadzenie państwa to ekonomia. Czy Morawiecki się zna na pieniądzach? Na podatkach? Na prowadzeniu firmy? Czy ktokolwiek w Radzie Ministrów się zna?

Czy którykolwiek z nich prowadził kiedykolwiek własne przedsiębiorstwo? Bo teraz prowadzą NASZE przedsiębiorstwo o nazwie Polska. Czy mają kwalifikacje i jakie? Stawiam tezę, że żaden nie ma żadnych konkretnych kwalifikacji, i proszę mnie przekonać, że jest inaczej.

Czy Błaszczak kiedykolwiek bił się na pięści w piaskownicy? Nie? To nie nadaje się do prowadzenia wojny z Ruskimi. Czy Morawiecki kiedykolwiek prowadził własną firmę czy zawsze był jedynie zatrudniony u kogoś? Jeżeli był zawsze zatrudniony u kogoś, czyli zawsze był podwładnym, to nie nadaje się na przywódcę, na premiera, na generała, na wodza. Nadaje się na adiutanta i... raczej nim jest.

Premier Morawiecki jest czymś adiutantem. Obserwacja

ta mnie NIE cieszy. Martwię się stanem mojego kraju, który kocham, w którym mam życie (nie całe, ale sporo), w którym mam gospodarstwo rolne, prowadzę firmy. MARTWIĘ SIĘ więc, gdy widzę, że premierem w moim kraju jest adiutant, a nie samodzielny suwerenny przywódca.

Samodzielny jest Orbán i dlatego akceptuję jego wady. Samodzielny jest Erdoğan, który wcale mi się nie podoba, ale prowadzi Turcję za uzdę i umie rozgrywać zarówno Unię Europejską, jak i NATO, a nawet Rosję i USA. Natomiast Morawiecki, Macron i Trudeau to adiutanci, co widać z daleka. Podobnie Tuszk, Balcerowicz... Każdy z nich to laufer, a nie hetman – adiutant, a nie wódz.

Czymi są adiutantami, strach sprawdzać. Prawdopodobnie są adiutantami Klausa Schwaba, ale... mogą sami o tym nie wiedzieć, bo oni są typem adiutanta, któremu jest obojętne, kto wydaje rozkazy, byle tylko ktoś je stale wydawał, bo bez rozkazów nie wiedzą, co robić.

Morawiecki bez przerwy ogląda się na rozkazy z Unii Europejskiej. Zero własnej inicjatywy – zawsze czeka na jakiś rozkaz. Dlatego Jarosław Kaczyński go wybrał i osadził na stolcu premiera (bez pytania narodu o zgodę, a nawet o opinię). Jarosław sam nie chciał być premierem, ale jednocześnie chciał mieć władzę premiera, więc poszukał sobie adiutanta. I teraz Jarosław jest szarą eminencją, Morawiecki adiutantem szarej eminencji, natomiast Polska nie ma przywódcy. W tej sytuacji bardzo łatwo nas ocynolić lub zwyczajnie najechać i wziąć w posiadanie jako ziemię bezpańską. ©©

PS Słowo „ocynolić” pochodzi z tej samej gwary nadwiślańskiej, z której pochodzą słowa takie jak „cymes”, „sziksa” i „szmok” (pol. ćwok); dziś znane bardziej w Nowym Jorku niż w Warszawie.

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCIKOWY
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYPCZAK, P. CHMIELEWSKI:
„OGIEŃ W KOŚCIELE”, BP J. E. STRICKLAND:
„ŚWIATŁO I ZACZYN” ORAZ KARD. W. J. EIJK,
A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~537~~ zł

219,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 318 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2cec5d3532

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

KONAJĄCE GETTO – STRACENĆCZA WALKA ŻYDOWSKICH BOJOWNIKÓW

Powstańcy z getta jak żydowscy buntownicy
z Masady – ostatni tekst śp. Macieja Rosalaka



Prawicowi bohaterowie – Dlaczego bojownicy Żydowskiego Związku Wojskowego zostali skazani na zapomnienie?

Układ ze skorpionem – Efekty porozumienia prymasa Stefana Wyszyńskiego z władzami komunistycznymi

Lew, pot i łzy – Gladiatorzy potrafili w Rzymie osiągnąć status niemal celebrycki.
Najlepsi z nich zarabiali istne fortuny

Trzech z Virtuti Militari – Każdy z nich bił bolszewików 20 lat wcześniej. W 1939 r. dostali się do ich niewoli i stali się ofiarami ludobójczego mordy

Pięć minut Zaremby – Genialny urbanista w niezwykłych okolicznościach został pierwszym prezydentem polskiego Szczecina

Fatalne skutki Perejasławia – Bohdan Chmielnicki pragnął niezależnego państwa, ale jego polityka doprowadziła do poddania ziem ukraińskich Rosji

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**